GAZETA POLSKA CHICAGO

BOŻE ZBAW POLSKĘ

PISMO LUDOWE DLA POLONII W AMERYCE.

No. 25. Chicago, Illinois, Czwartek dnia 20go Czerwca 1912 roku. Rok 40.

Entered as Second Class Matter June 25th 1885 at the Post Office at Chicago, Illinois, under Act of March 3rd 1879.

Ogromna manifestacya we Lwowie.

Jak Lud polski uczcił 250 rocznicę założenia uniwersytetu.

Stolica Galicyi raz jeszcze stwierdza swój polsko-narodowy charakter.

Jubileusz Uniwersytetu lwowskiego.

W dniu 29 maja Uniwersytet lwowski obchodził 250-tą rocznicę swego istnienia.

Jest to święto, w którem z gronem profesorów i młodzieży, [illegible] hołd "Almae Matri" łączy się cały ogół polski, umiejący szanować dobra kultury narodowej [illegible] wartości niepożytej spuścizny przodków. Ognisko kultury Zachodu zostało zapalone przez Jana Kazimierza na najdalej na Wschód wysuniętej placówce polskiej, a jakkolwiek zmienne losów koleje sprawiły, iż na czas pewien zostało zgaszone, dziś płonie ono nowym blaskiem, gromadząc tysiące młodzieży polskiej ze wszystkich stron Polski, skupiając siły naukowe, których wiele zajmuje zaszczytne miejsce w dziejach nauki nietylko polskiej lecz i wszechświatowej.

Wielkiem i rzadkiem świętem jest święto trzechwiekowego blizko istnienia ogniska kultury zachodniej wśród narodów, które do dziedzictwa kultury rzymskiej, będącej kultury zachodniej praźródłem, zgłosić się mogły stosunkowo późno, wyprzedzone przez inne, szczęśliwiej sytuowane narody Europy. Pięciowiekowe przeszło istnienie Wszechnicy Jagiellońskiej oraz trzywiekowe blizko istnienie Wszechnicy lwowskiej świadczy wymownie, iż naród polski, odkąd stał się uczestnikiem kultury zachodniej, był nietylko jej spożywcą, ale i krzewicielem, pracując samodzielnie nad jej rozwojem, niosąc jej pochodnię poprzez burze dziejowe, które pozbawiły go własnego bytu państwowego, lecz nie pozbawiły miłości dla tej kultury ani możności, w najcięższych warunkach, pracy dla jej dobra.

Przebieg uroczystości.

Rano, przy pięknej pogodzie, rozpoczął sie uroczysty obchód 250-lecia uniwersytetu lwowskiego.

Już po godz. 8 rano poczęła się zapełniać świątynia katedralna, której wnętrze pięknie udekorowano zielenią, kwiatami i makatami. W zakrystyi zgromadzili się członkowie senatu. Duchowieństwo i kler powitały arcyb. Bilczewskiego, poczem otwarły się podwoje zakrystyi i wszedł cały senat w togach i pedele z berłami.

Przy ołtarzu zasiedli: arcybiskup Teodorowicz i biskup Bandurski, na honorowych miejscach: marszalek Badeni, szef sekcyi dr. Ćwikliński, jako reprezentant rządu, wicepr. namiestn. Grodzicki, dalej senat lwowskiego uniwersytetu, rektor akademii krakowskiej dr. Szajnocha z dziekanami, rektor uniwersytetu w Koloszwarze p. Fabini w bogatej delii węgierskiej, rektor uniwersytetu czerniowieckiego ks. Syghyn, prof Assboth z Budapesztu, prof. Dobrzycki z Fryburga, rektor politechniki lwow. Fidler, rektor akademii weterynaryi Królikowski.

W stallach zasiedli: prezydyum Koła polskiego dr. Leo, Stapiński i hr. Skarbek, prezyd. Neuman, wicepr. dr. Stahl z gronem radnych, wicepr. Dembowski, grono posłów parlamentarnych i sejmowych, naczelnicy władz i instytucyi: [illegible], Szlachtowski, Rybicki, Wopaterni, Engel itd.

Za senatem ustawiły się deputacye stow. "Skała", "Gwiazda", cechów ze sztandarami, dalej Sokolstwo w wielkiej liczbie, młodzież akademicka ze Lwowa, Krakowa i zagranicy, młodzież żeńskich zakładów naukowych, i liczna bardzo publiczność.

Tłum ludzi nie mogąc pomieścić się w kościele, stał na ulicy.

W czasie nabożeństwa które celebrował arcybiskup Bilczewski w otoczeniu całej kapituły i kleru, śpiewał chór akademicki "Veni creator" i mszę Gounoda, a znakomita artystka p. Korolewicz-Wydowa odśpiewała kilka stosownych pieśni.

Po nabożeństwie przemówił od ołtarza ks. arcybiskup Bilczewski.

Duchowieństwo odśpiewało przy końcu "Te Deum Laudamus".

Uroczysty pochód.

Po godz. 10 zaczął się formować pochód. Niezwykły to był na ulicach Lwowa pochód. Nigdy nie widziano jeszcze w pochodzie manifestacyjnym całego senatu akademickiego w uroczystych togach.

Na czele kroczyli Sokoli ze starszyzną. Najpierw Macierz ze sztandarem, drużyny "Sokoła" II i obu innych dzielnic miasta, delegacya ochotniczej straży pożarnej "Sokół", deputacya "Gwiazdy", szereg chorągwi cechowych, kilkaset młodzieży akademickiej w szeregach, wszystkie wydziały uniwersytetu lwowskiego, osobno szedł rektor dr. Finkel, przy nim rektorzy uniwersytetów Fabinyj, który zwracał powszechną uwagę swym strojem węgierskim i ks. Saghyn z Czerniowiec, za nimi pedele z berłami.

Kolejno szli członkowie prezydyum Koła polskiego, prezydyum miasta, radni miasta w kontuszach, goście, reprezentanci różnych instytucyi naukowych itd.

Szpaler honorowy przy senacie i reprezentacyach tworzyła wzdłuż pochodu młodzież akademicka.

Pochód przeszedł wśród gęstych szpalerów publiczności ulicami Teatralną, pl. św. Ducha, ul. Karola Ludwika, Akademicką i Chorążczyzny do gmachu Towarzystwa muzycznego. Najwięcej publiczności zgromadziło się na pl. Maryackim, pod pomnikiem Mickiewicza, gdzie wznoszono okrzyki: "niech żyje polski uniwersytet" i w ul. Chorążczyzny.

Przed gmachem Tow. muzycznego pochyliły się przed senatem sztandary Towarzystw rękodzielniczych i cechów, Sokolstwo ustawione w szeregi wzniosło czapki w lot, młodzież akademicka odkryła głowy i wznoszono okrzyki na cześć uniwersytetu.

O godzinie wpół do 11-ej zaczęła się zapełniać sala Tow. muzycznego. W niedługim czasie rozpoczęła się uroczysta Akademia.

Sala była szczelnie wypełniona. Na estradzie zajęli miejsce senat i goście. Panie zgromadziły się na galeryach.

Po odśpiewaniu kantaty Różyckiego przez chór akademicki przemówił rektor dr. Finkel. Mowę rektora nagrodzono oklaskami.

O godzinie 12 zaczął przemawiać prezydent m. Neumann, witając gości.

Następnie kolejno przemawiali, szef sekcyi Ćwikliński, Zoll [senior], rektor Szajnocha, rektor ks. Saghyn, prof. Assboth, rektor Fabinyi, prof. Dobrzycki, rektor Fiedler. rektor Królikowski itd.

Odczytano też nazwiska mianowanych doktorów honorowych.

50-tysięczna manifestacya wieczorna.

Puls Lwowa bił przez cały dzień tętnem przyśpieszonem. Widać to było w czasie rannego pochodu, widać było po twarzach tych, którzy uczestniczyli w akademii, poznać było po entuzyastycznych okrzykach, jakiemi na ulicy witano senat akademicki, profesorów, delegatów węgierskich i innych gości.

Po południu miasto miało fizyognomię ogólną, a tylko zwieszające z dachów i okien białoamarantowe chorągwie zdradzały, że Lwów obchodzi jakąś uroczystość.

Niespodziankę Lwów dopiero gotował na wieczór.

Już około pół do ósmej wieczorem zaczęły się gromadzić na ulicach Karola Ludwika tłumy publiczności. Tłumy te rosły coraz bardziej, aż wreszcie około 9 chodniki stały się niemożliwe do przebycia.

Pochód formował się w ul. 3-go Maja, Marszałkowskiej i Słowackiego. Około godz. pół do 9-ej. ruszył ku ulicy Karola Ludwika.

Było istotnie coś imponującego w tym pochodzie. Drogę otwierała i rozświetlała grupa młodzieży ze sztandarem i kilku pochodniami. Obok czoła pochodu szedł oddział straży pożarnej. A potem nieprzejrzane tłumy uczestników, obok starszego pokolenia młodzież akademicka, kobiety obok mężczyzn, mieszczanie i robotnicy obok dygnitarzy. Chorągwie łomotały nad głowami tłumów, pochodnie trzaskały, rzucając żółto czerwonawą łunę, smugi dymów szły za pochodem leniwo, jakby zdziwione tym niebywałym we Lwowie zjawiskiem.

A tłum płynął poważnie, majestatycznie, to w rozśpiewaniu, to w takt dwóch muzyk, płynął — zda się bez końca. Fale ludzkie z chodników porwane siłą masy, spływały w strumień pochodu, tworząc zbitą masę, wypełniając po brzegi koryta szerokich ulic.

Na czele szli skauci, potem stowarzyszenia i deputacye "Gwiazdy", "Skały", "Lutni", towarzystw kupieckich i przemysłowych, dalej młodzież gimnazyalna, potem organizacye miasta Lwowa. — Powszechną uwagę na siebie zwracał potężny orszak organizacyi narodowej 6. okręgu z tablicą "ON6" na czele i wielu pochodniami. Za drugą orkiestrą szły niezorganizowane ale już nieprzebrane tłumy obywatelstwa m. Lwowa, które z biegiem pochodu rosły i rosły, tak, że zdawało się, iż cały Lwów wyległ na ulicę dla uczczenia jubileuszu swego uniwersytetu.

Pochód szedł ulicami: Trzeciego Maja, Jagiellońską, Karola Ludwika, Akademicką i był tak olbrzymi, że kiedy czoło pochodu czekało już pod uniwersytetem z pochodniami, koniec pochodu był jeszcze na ulicy Karola Ludwika. Na plac pod uniwersytetem dopuścił komitet tylko 8 tysięcy ludzi, ponieważ zachodziło niebezpieczeństwo stłoczenia. Tylne oddziały parły i przerywały kordon strażacki, ale naogół panował zupełny i wzorowy spokój. — Tłumy zgromadzone pod gmachem uniwersytetu śpiewały pieśni patryotyczne, dwie muzyki grały polskie melodye. Wszystkie pochodnie gromadziły się zwolna pod gmachem, rozświetlając obszerny plac krwawem światłem.

Od czasu do czasu wyrywały się z tysiącznych piersi okrzyki: "niech żyje polski uniwersytet we Lwowie! Niech żyje senat! Niech żyje prezydent Neuman!" Okrzyki te podawano sobie z ust do ust, wznosząc je kolejno i kolejno powtarzając. Muzyka grała za każdym okrzykiem "tusz".

Kiedy w okolicy uniwersytetu większa część pochodu się zgromadziła, wśród tłumów zapanował niebywały entuzyazm. Nadchodzących profesorów, prezydenta Neumana i członków rady m. Lwowa przepuszczono długim szpalerem, wśród entuzyastycznych okrzyków na cześć rady m. prezydenta Neumana i uniwersytetu.

Przemówienia

Na dany znak trąbki zapanowała tak wielka cisza, jak w kościele. W ciszy rozległ sie donośny głos radnego Ohlyego, który przemówił imieniem rady miejskiej i obywatelstwa lwowskiego, oddając hołd uniwersytetowi, rektorowi, wszystkim fakultetom i ślubując uroczyście imieniem miasta Lwowa, że polskości tego uniewersytetu bronić będzie wszelkiemi siłami. P. Ohly zakończył: uniwersytet lwowski był polskim jest polskim i zawsze będzie!

Tysiączne tłumy podjęły to hasło, podawały sobie z ust do ust i naraz cały obszar przed uniwersytetem, cała ulica św. Mikołaja, plac Fredry, aż hen do ulicy Akademickiej rozgrzmiał długimi, entuzyastycznymi oklaskami, które grzmiały wśród okrzyków, grania dwóch muzyk, trzasku pochodni z łopotu wielu chorągwi.

Potem przemówił gorąco prof. Twardowski, podkreślając entuzyastyczny, niebywały udział całego miasta, kraju i Polski w uroczystości jubileuszowej. Stanowisko społeczeństwa polskiego — mówił prof. Twardowski — daje gwarancyę, że nie wrócą nigdy już te czasy, kiedy się rwała nić nauki polskiej i tradycyi. A jeśli uniwersytet zawsze stoi na czele życia narodowego, to jest nadzieja, że stanie na czele i wtedy, kiedy naród klęknie przed ołtarzem oswobodzonej ojczyzny.

Znów porwały się tysiączne oklaski i popłynęła wśród dźwięków muzyki "Pieśń Legionów".

Potem nastała raz jeszcze cisza, od człowieka do człowieka, od orszaku do orszaku szedł poszept: "Mówi rektor Finkel".

Te tysiączne tłumy — mówił rektor — gmach nasz otaczające, dowodzą, jak głęboko kocha miasto Lwów swój uniwersytet i jak serdeczną miłością jest z nim związany. Dzięki wam za tę miłość, za zapał, entuzyazm i współudział w jubileuszu. Obywatelstwo m. Lwowa i rada miejska niech żyje!

Dziesiątki tysięcy piersi podniosły ten okrzyk, pochyliły się chorągwie i pochodnie.

Mowę rektora słyszała zaledwie jedna część publiczności przed gmachem uniwersyteckim zgromadzona. Odezwały się tedy wołania: Mówić z rampy! Wyszedł więc rektor na rampę i przemówił krótko do tłumów zgromadzonych na ulicy. Mikołaja, składając hołd obywatelstwu lwowskiemu, wzywając do spokojnego rozejścia się.

Po odśpiewaniu kilku pieśni, wśród dźwięku muzyki, pochód zaczął się cofać. Naprzód ruszyła muzyka, potem młodzież akademicka, potem część obywatelstwa. Ruszył pochód przez ulicę Fredry, Batorego ku ratuszowi, śpiewając pieśni patryotyczne.

Przed ratuszem zgromadziło się koło 10 tysięcy ludzi, wznosząc okrzyki na cześć prezydenta Neumana.

Do uczestników przemówił prof. Grabski, podnosząc znaczenie polskiego uniwersytetu i kończąc, że lwowski uniwersytet pozostanie polskim i że w mieście Lwowie oprócz polskiego, innego nic będzie!

Po odśpiewaniu kilku pieśni tłum zaczął się rozchodzić. Młodzież podążyła na Strzelnicę, gdzie odbył się komers akademicki.

Około godziny 10-ej zapanował w mieście spokój!

TEODOR ROOSEVELT.



Copyright, 1912, by American Press Association.

Obecnie jest gościem w Chicago. Prezydentem zostanie z pewnością — tego chce lud.

Car boi się Warszawy!

Na poświęcenie soboru prawosławnego nie przybył.

Chełmszczyźniacy na Jasnej Górze. Uszkodzono pomnik cara. Recepta na drzwiach obory. "Czarownik". Rozzuchwalenie się Rusinów. Hr. Gołuchowski marszałk. Galicyi. Kopiec Kościuszki uszkodzony. Wystawa powstania Styczniowego. Rusini w Pradze. Wyzyskiwacze. Korespon. z Poznania.

Nowe wrzenie w Chinach.

KANTON. — Od dni szeregu dają się tu we znaki nowe rozruchy rewolucyjno-bandyckie: piraci i bandyci dawniejsi uformowali armię "rewolucyjną", która wraz ze spiskiem Mandżurów uknuła zamach celem usunięcia przemocą gubernatora wojskowego Kantonu. Przyszło wielokrotnie do krwawych walk i starć ulicznych; rządowi żołnierze rozpędzili bandy pirackie na razie, ale sytuacya jest mimo to bardzo niepewna. Handel ustał, składy pozamykane, a papiery rządowe spadły w wartości o 30 procent! Wiele osób zginęło i jakie są w mieście szkody, nie da się oznaczyć.

PEKIN. — Bez podania powodów i przyczyn minister-premier Tang Czaui odjechał onegdaj do Tien Tsinu. Wywołało to wielki niepokój w sferach rządowych. W mieście i okolicy daje się zauważyć silne wrzenie rewolucyjne, w okolicy przyszło już nawet do utarczek; przyczyny całego tego ruchu trzymane są w tajemnicy,

Co słychać w świecie.

ROZRUCHY NA WĘGRZECH.

BUDAPESZT, Węgry. — Rozgoryczenie między ludem, które powstało, gdy hrabia Tisza został powołany na prezydenta Izby poselskiej Sejmu Węgierskiego, doszło do punktu kulminacyjnego, gdy poseł Kovacs strzelił kilkakrotnie do hr. Tiszy, nie ustępuje.

Ostatnio znowu przyszło do krwawych zajść na ulicach miasta a parlament został otoczony wojskiem. Doszło do scen, które teraz na porządku dziennym. Posłowie opozycyjni dobijali się do bram parlamentu, ale straże nie chciały wpuścić tych z nich, którzy są wykluczeni na okres kilku posiedzeń.

Na to cała opozycya demonstracyjnie odeszła. Zaraz potem na ulicach poczęły się gromadzić tłumy ludu, które poczęły śpiewać hymn Kossutha i inne rewolucyjne pieśni.

Na tłum napadła policya i rozegnała go. Stało się wśród wielkiego zamieszania. Wiele osób odniosło rany.

Hr. Tisza usprawiedliwiał swe postępowanie względem opozycyi. Tłomaczył, że z sejmowych obrad zostali usunięci tylko ci sejmowi posłowie, którychby nie cierpiano w żadnym parlamencie. Na temże posiedzeniu przyjęto zmianę regulaminu, która daje przewodniczącemu większą władzę umożebniającą temsamem złamanie opozycyi. Zmiana ta jest tylko tem umożliwiona, że opozycyi nie było w Izbie, gdyż większość rządowa przeciw opozycyi niema dwóch trzecich głosów.

Ostatecznie Sejm się odroczył na tydzień.

Na Wielkim Warydynie lud urządził wielką demonstracyę wybijając wszystkie szyby.

W całym kraju wrze.

ADWOKAT MOWI TRZY TYGODNIE.

RZYM, Włochy. — Proces kamorzystów przeciągnie się do nieskończoności dzięki długim mowom obrońców.

Jeden z nich niejaki adwokat Lioy przemawiał z rzędu trzy tygodnie.

Gdy nie myślał kończyć, kilku kamorzystów, chorych na gruźlicę lub na wadę serca zażądało, by przestał mówić, bo oni tymczasem poumierają.

To tak uraziło adwokata, że zrzucił biret i togę i wyszedł z sądu, porzucając niegodziwych owych klientów.

WIOSKI ZASYPANE PRZEZ WULKAN.

SEWARD, Ala. — Parowiec, przybyły z Uyak, położonego nad cieśniną Szelikowa na wyspie Kodiak, doniósł we wtorek wieczorem do Seward, że ludność tamtejsza nie jest zagrożona przez wybuch wulkanów; zachodzi jednak obawa, że 7 małych wiosek rybackich, które liczą razem 200 mieszkańców, a które leżą na półwyspie Alasce w pobliżu wulkanu Katmai, zostało zniszczonych podczas czwartkowego wybuchu. Pośród wiosek zamieszkałych przeważnie przez tubylców, znajdują się Cold Bay, Katmai, Kanatuk, Douglas, Savanoosky i Kamgamute.

Wulkan tymczasem przybrał swoją normalną formę i atmosfera tak się wypogodziła, że do dotkniętych miejscowości wysłano łodzie ratunkowe.

Z wyspy Afognak nie nadeszły dotychczas żadne wiadomości. Ta wyspa położona kilka mil na północ od Kodiak, liczy około 600 mieszkańców. W Seward spadł we wtorek drobny deszcz, przesycony siarką, który zniszczył wszelką roślinność i wżera się także w metal.

WŁOSI ZABIJAJĄ 500 TURKOW.

RZYM, Włochy. — Urzędowe telegramy z Trypolisu donoszą, że Włosi odparli gwałtowny atak Turków.

Podobno 500 Turków zginęło przy tem. Z Włochów miało zginąć 31, a rany odniosło 50.

REWOLUCYA W KOREI.

SOUL, Korea. — Generalny prokurator Japończyk, ogłosił materyały do wykrycia spisku na generał-porucznika hr. Terauchi, Japończyka, generał-gubernatora Korei.

Prokurator twierdzi, że baron Yunchiho, przywódca koreańskiej tajnej organizacyi od roku 1905, planował zdobycie niepodległości dla Korei i skierowanie mocarstw przeciw Japonii.

Po zaanektowaniu Korei przez Japonię w 1810 roku, baron Yunchiho, zdecydował, że trzeba zamordować hr. Terauchi. Plan ten stara się wprowadzić w życie grupa spiskowców.

Organizacya knująca owe antyjapońskie spiski ma wielu członków w Ameryce i Rosyi. Ogółem aresztowano 122 uczestników rzekomego spisku. Z pośród aresztowanych 19 jest studentów, a 20 duchownych i nauczycieli.

Prokurator sądzi, że doradca rządu koreańskiego, Amerykanin Durham White Stevens, zamordowany w roku 1908 i były generał gubernator Korei, zabity w 1909 roku, padli obaj z ręki członków owego tajnego stowarzyszenia.

W Korei podobno wre.

ANGLICY LOKUJĄ MILIONY W ROSYI.

LONDYN, Anglia. — Anglia lokuje ogromne kapitały w Rosyi. Zwłaszcza jedno z przedsiębiorstw zasługuje na uwagę z powodu swego wspaniałego charakteru.

Na starym Dnieprze pomiędzy miastami Ekaterynosławiem a Aleksandrowskiem są sławne "porochy", rodzaj wodospadów, które tamują komunikacyę okrętową. W tem miejscu towary są zawsze przeładowywane, a pasażerowie muszą przesiadać się. To przeładowywanie kosztuje ogromne sumy — to też wiele ludzi myślało już o tem, by rzekę w tem miejscu w jakiś sposób uregulować, a siłę wodospadów użyć celowo.

Ostatnio myśl tę podjął gubernator Kaukazu, książę Worncew Daszkow i z jego inicyatywy firmy angielskie, które zajmią się uregulowaniem spławności Dniepru.

KINEMATOGRAF BEZ DRUTU

WIEDEN. — Pisma wiedeńskie podają wiadomość o nowym wynalazku, za którego pomocą można przesyłać obrazy kinematograficzne na daleką przestrzeń.

Właściwość aparatu polega na tem, że się wysyła obrazy zapomocą akumulatora o sile pół miliona Volt i odpowiednich masztów do stacyi teatru, w którym na płaszczyźnie, powleczonej selenem, obrazy jak najdokładniej się odbijają.

Dotychczasowe próby, przesłane na odległość 505 mil, dały nadzwyczajne wyniki. Będziemy więc mogli w przyszłości oglądać w kilka godzin po dokonanem zdjęciu a więc np. wieczorem w Chicago, co się stało rano w Nowym Yorku lub w San Francisco.

PRZEDSTAWIENIA W KOSCIOŁACH.

BERLIN. — Tutejszy dziennik "Morgenpost" przynosi ciekawą wiadomość, jakoby Watykan zgodził się, aby w kościołach katolickich pod pewnymi warunkami zezwolono na przedstawienia kinematograficzne.

Papież postawił jako warunek, aby przed przedstawieniami usunięto z kościoła Sakrament, aby meżczyźni i kobiety siedzieli oddzielnie i aby kościoły były odpowiednio oświetlone. Oprócz tego, przedstawienie zależy każdym razem od zezwolenia biskupa.

Oczywiście rozchodzi się tu o przedstawienia treści religijnej z przeznaczeniem dochodu na cele dobroczynne.

POD WPŁYWEM WROŻBY.

DORTMUND. — Onegdaj toczył się przed sądem w Dortmundzie ciekawy proces. Jako oskarżony stanął młody robotnik, który chcąc się dowiedzieć o przyszłości swojej, poszedł pewnego dnia do wróżbiarki. Wynik wróżby okazał się niepomyślny, wróżbiarka bowiem oświadczyła klientowi swemu, że czeka go półroczne więzienie.

Zabobonny młodzieniec wziął sobie do serca tę przepowiednię, że się upił, a będąc już pijany oświadczył jednemu ze znajomych, iż wróżka powiedziała chyba już prawdę, bo czuję chęć do bójki. Istotnie wkrótce po tej rozmowie wszczął sprzeczkę z przechodniami i zranił ciężko jednego z nich nożem. Sąd skazał go na dwa lata więzienia.

A więc w każdym razie wróżka miała racyę.

STRASZNA ZEMSTA.

W Aleubias, prowincya Walencya, majster Ollala wpadł na ślad dowodzący, że żona zdradza go z jednym z jego przyjaciół. Przekonawszy się o zdradzie, wymyślił piekielną zemstę, umocował bowiem pod łóżkiem żony gilzę dynamitową, którą przez sufit połączył z przewodnikiem elektrycznym, umieszczonym w pokoju na pierwszem piętrze. W tym pokoju Illala obrał sobie punkt obserwacyjny. Nie długo czekał. Kochanek stawił się punktualnie, w chwili zaś ekstazy miłosnej Ollala nacisnął guzik.

Skutek był straszny. Cały dom, wprawdzie niewielki, zamieszkały tylko przez tę rodzinę, wyleciał w powietrze. Ciała kochanków okropnie porozrywane, znaleziono daleko od miejsca wybuchu. Dziwnym zbiegiem okoliczności Ollala wraz z podłogą wyleciał w powietrze, ale dziwnym zbiebiem okoliczności spadłszy na ziemię nie został nawet zadraśnięty. Natychmiast stawił się na policyi i bez najmniejszych skrupułów opowiedział o wszystkiem.

ARESZTOWANIE FAŁSZYWEGO LEKARZA.

PARYŻ. — Aresztowano człowieka, mianującego się dr. Macaura. Ten pseudoktor wynalazł rzekomo środek leczniczy, skuteczny na wszystkie choroby. Zapomocą szeroko rozgałęzionej reklamy cudowne to lekarstwo miało olbrzymi odbyt i dr. Macaura zgarnął miliony. Przeciągnął jednak strunę, i kiedy zewsząd poczęły napływać ostrzeżenia i skargi, w to wdała się władza pociągając pomysłowego doktora do odpowiedzialności. Początkowo osadzono go nawet w więzieniu, po złożeniu jednak 50,000 franków puszczono go na wolną stopę. Skorzystał on z tej wolności i czmychnął gdzieś w świat daleki, zostawiając tę bagatelkę rządowi.

KAPRYŚNA KSIEZNICZKA.

LONDYN. — Jedna z najbardziej lubianych i popularnych księżniczek angielskich jest Patrycya Caunaught, ukochana siostrzenica Edwarda VII. Trudniej sobie wyobrazić istotę obdarzoną od losu. Młoda księżniczka jest ładna, bogata, pochodzi z królewskiej rodziny, posiada wiele wdzięku i wesołego dowcipu. Nic też dziwnego, że rodzina i całe otoczenie rozpieściło i zepsuło trochę dziewczynę. Księżniczka Patrycya jest bardzo kapryśna, po kolei odrzucała najlepsze partye świata:

Króla Alfonsa hiszpańskiego, dlatego, że nie pochodzi z dosyć starożytnego rodu.

Króla Manuela portugalskiego z powodu jego złego charakteru.

Następcę tronu niemieckiego z powodu zbyt wielkiego zamiłowania tego księcia do flirtu

Księcia Eitel-Fritz, drugiego syna Wilhelma, bo jest za gruby.

Księcia Saks-Koburg-Gotha, a no, bo jest zniewieściały.

Księcia Krzysztofa greckiego dlatego, że nie jest dobrym żołnierzem.

Książe Gustaw duński jest za bliskim jej kuzynem.

Książe Wilhelm szwedzki jest za szczupły i bez temperamentu.

PROCES MORDERCY HR. TRIGONA.

RZYM. — Rozpoczęto tu sensacyjny proces przeciw baronowi porucznikowi Paterno, który zamordował kochankę swoją hrabinę Julię Trigona, gdy ta mu nie chciała udzielać dłużej pomocy pieniężnej.

Morderstwo to w swoim czasie poruszyło wszystkie warstwy społeczeństwa swą ohydą, a obecny zaś proces odbywa się przy natłoczonej sali sądowej.

Paterno z płaczem opowiada o swoim czynie.

Poznał hrabinę w klubie szlacheckim w Palermo. Był jak mówi, "lwem salonów", 12 arystokratek ubiegało się o jego względy, ale on zakochał się w hrabinie Trigona i nie chciał słyszeć o innych kobietach.

Hrabina znacznie starsza od porucznika, a ozięble traktowana od męża, który patrzał przez palce na jej postępowanie, odwzajemniła miłość Paterny.

Romans trwał długo. Paterno, aby jak najczęściej widywać kochankę, wynajął w mieście aż 4 pokoje, w których ją przyjmował w różnych porach dnia.

Pomimo ostrożności, wkrótce całe miasto wiedziało o tym stosunku. Hrabina otrzymywała codziennie anonimy, a szwagier jej, ks. Palma, wymawiał jej to nieraz brutalnie.

Mąż hrabiny nie zważał na romans pięknej Julii, która też wyjeżdżała z kochankiem na dłuższe wycieczki do Szwajcaryi i do Niemiec. Jeździła zawsze z dziećmi, boną i pokojówką.

Wszystko to były kosztowne rzeczy. Baron szybko znalazł się bez pieniędzy. Hrabina pożyczała mu spore sumy przez pokojówkę, a Paterno, który miał kosztowne przyzwyczajenia wydawał pieniądze bez skrupułu.

Wreszcie i hrabina znalazła się w kłopotach pieniężnych, a gdy Paterno wciąż domagał się coraz więcej większych sum, na spłatę zaciągniętych długów, hrabina coraz bardziej chłodła ku niemu.

Paterno doszedł do nieprzytomnej zazdrości. Zabronił kochance bywania na balach dworskich. W zamku królewskim oszalały kochanek zrobił jej sławną scenę, którą sam tak opisuje:

— Pewnego wieczora, dowiedziałem się, że pomimo mojego zakazu był u hrabiny baron Florio, o którego byłem bardzo zazdrosny. W najwyższem oburzeniu udałem się do Kwirynału do pomieszkania hrabstwa. Usłyszawszy szmer, hrabina wyjrzała za drzwi. Błagałem ją, żeby mi przysięgła, że mnie jeszcze kocha. Ujrzałem na niej medalion, pamiątkę naszego pierwszego spotkania i zerwałem go z niej, wołając: "Zabiję cię! I wybiegłem. W kilka dni później nastąpiła katastrofa.

Paterno opowiada, że chciał się zabić w jej oczach i dlatego sprowadził ją do hotelu Rebecchino. Kiedy przyszła, chciał ją objąć, jak zwykle.

Ale Julia była ze mną zimna, jakoby lód. Paterno klęknął przed nią i błagał:

— Powiedz mi Julio, co ci jest, powiedz mi naprawdę!

I przyłożył sobie sztylet do piersi.

Ona milczała, chociaż on jeszcze ją błagał: "Powiedz, czy mam odejść?"

Tu Paterno rozpłakał się i dodał:

— Gdy milczała, zasztyletowałem ją!

Sędzia jednak pyta zimno?

— Pierwszy cios zadałeś jej pan z tyłu, drugi w szyję, a potem jeszcze zagłębiałeś sztylet w przeciętej arteryi sennej.

Paterno wzdryga się i szepce:

— Niewiem o tem!

— Chciałeś pan posiąść jej majątek?

— To oszczerstwo!

Ale, nieubłagany sędzia stwierdza jeszcze, że kiedyś Paterno uderzył hrabinę w twarz, a przedtem jeszcze uczynił to samo innej kochance.

W końcu pokazuje sędzia Paternie krwią splamiony sztylet, jak go znaleziono po wykryciu zabójstwa.

Na ten widok Paterno chce uciekać. Żandarmi go chwytają. A Paterno pada na krzesło i krzyczy:

— Chcę umrzeć!

I więcej nie mógł mówić.

ROZMAITOSCI.

Rodos.

Zajęta obecnie przez Włochów a mało znana wyspa Rodos posiada 23 wiekową historyczną, nieraz świetną, przeszłość... po której nie wszystkie jeszcze ślady zaginęły.

Wprawdzie z budowli wzniesionych przez Greków, a szczególnie przez słynnego Hippodamusa z Miletu nie zostało ani śladu, ale zachowały się jeszcze bastyony i fortyfikacye średniowieczne z w. XIV, zbudowane przez zakon rycerski Joannitów, który po zdobyciu Jerozolimy przez Saladyna osiadł na Rhodosie. Do dziś dnia pozostało z tej epoki wiele kościołów, oczywiście pozamienianych oddawna na meczety.

Pierwszymi panami wyspy, jeszcze w pierwszem tysiącleciu przed Chrystusem, byli Fenicyanie, którzy skolonizowali wyspę i założyli na niej miasta: Lindos, Jalysos i Kameiros. Zwolna jednak ustąpić musieli przed napływem szczepów helleńskich przeważnie doryckich. Miasta na wyspie Rodos weszły w skład w tak zwanej doryckiej hexopolis, do którego należały także Hallikarnassos, Knidos i Kos. Potęga wyspy szybko poczęła wzrastać pod wpływem greckiej literatury. W 3 i 4 stuleciu przed Chrystusem stolica wyspy Rodos, tej samej nazwy, była nietylko miastem handlowem i portem wojennym morskim, rozkwitły w niej także sztuki piękne i nauki. Eschines założył tu szkołę wymowy, która jeszcze za rzymskich czasów była szkołą dobrą dla wyuczenia się retoryki. Powstała także szkoła rzeźbiarska, której jeden z pierwszych dzieł był wzniesiony u wjazdu do portu kolos Rodyjski, zaliczony przez starożytnych do siedmiu cudów świata. Na budowę olbrzymiego posągu Heliosa, o wysokości 32 metrów, przeznaczono sumę 300 talentów, odpowiadających mniej więcej kwocie 300,000 dolarów.

Za czasów Aleksandra Wielkiego wyspa pozostawała pod władzą Macedonii; po jego śmierci zdołała odzyskać samodzielność opierając się zwycięsko przez rok oblężeniu "zdobywcy miast", Demetryusza. Na ten czas przypada okres największego jej handlowego rozkwitu. W czasie rzymskich wojen na greckim wschodzie, Rodos wiernie dotrzymywał sojuszu z Rzymianami, odzyskując w zamian za oddane przysługi rodzaj autonomii. Wierność Rzymowi także przyniosła Rodosowi wielkie a ciężkie straty. W czasie wojny domowej Rodos oświadczył się za Cezarem przeciw Pompejuszowi. A po zamordowaniu Cezara, Cassius pokonawszy flotę rodyjską, zrabował miasto, wymordował głównych przewodców stronnictwa cezaryańskiego na wyspie, uniósł ze świątyń skarby. Po wielu latach dopiero podniósł się Rodos z tego pogromu. Samodzielność nominalną zachował jeszcze długo, aż do czasów Dyoklecyana. Uchodził za osobną prowincyę i nosił nazwę łacińską provincia insularum. Chwałę jego opiewał Horacy, a Strabo stolicę wyspy nazwał najpiękniejszem z miast greckich. Wznoszono coraz to nowe budowle, gmachy, świątynie, zdobione przepysznemi posągami. Według Liciniusa Mucianusa liczba arcydzieł rzeźby na Rodosie wynosiła 3,000. Gdy Nero wśród swoich zatargów z Agrypiną nosił się z myślą zrzeczenia się tronu, wybrał Rodos za swoją rezydencyę.

Po upadku Rzymu nosił Rodos losy bizantyńskiego imperyum i sam także zwolna podupadał. Ostatni okres rozkwitu nastąpił dla niego, gdy zakon Joannitów w r. 1309 owładnął wyspą. Okres ten trwał z górą dwa wieki. W roku 1522 Soliman zdobył miasto i wyspę po długiem oblężeniu. Oblężenie to należy do najświetniejszych czynów wojennych XIV wieku. A bohaterski obrońca wyspy, Wielki Mistrz Villiers de l'Isle Adam, ustąpić musiał przed turecką przemocą, zastrzegając sobie odpłynięcie z wyspy z honorami wojskowymi. Odtąd pozostawał Rodos pod panowaniem Turcyi. W ciągu wieków doszedł do zupełnego upadku. Obecnie okupowana przez Włochów wyspa, i należąca dotychczas do tureckiego wilajetu Dżesairi Bati Sefid, liczy zaledwie 11,000 mieszkańców.

Wielcy ludzie.

Wyszła obecnie z pod prasy książka znanego uczonego niemieckiego. Uczony zastanawia się nad zagadką, dlaczego maleńkie Ateny dały tylu wielkich ludzi, twórców cywilizacyi starożytnej, i założycieli podwalin całej obecnej cywilizacyi europejskiej, a olbrzymie Stany Zjednoczone, które rozwinęły się do bajecznych rozmiarów swój przemysł i handel, wydały nie więcej niż dwóch, trzech ludzi wybitniejszych. Ostatecznie odpowiedzi stanowczej Oswald na to pytanie nie daje, ale zaprzecza, by istniało jakieś ukryte prawo przyrody, obdarzające pewne kraje geniuszami daleko szczodrzej.

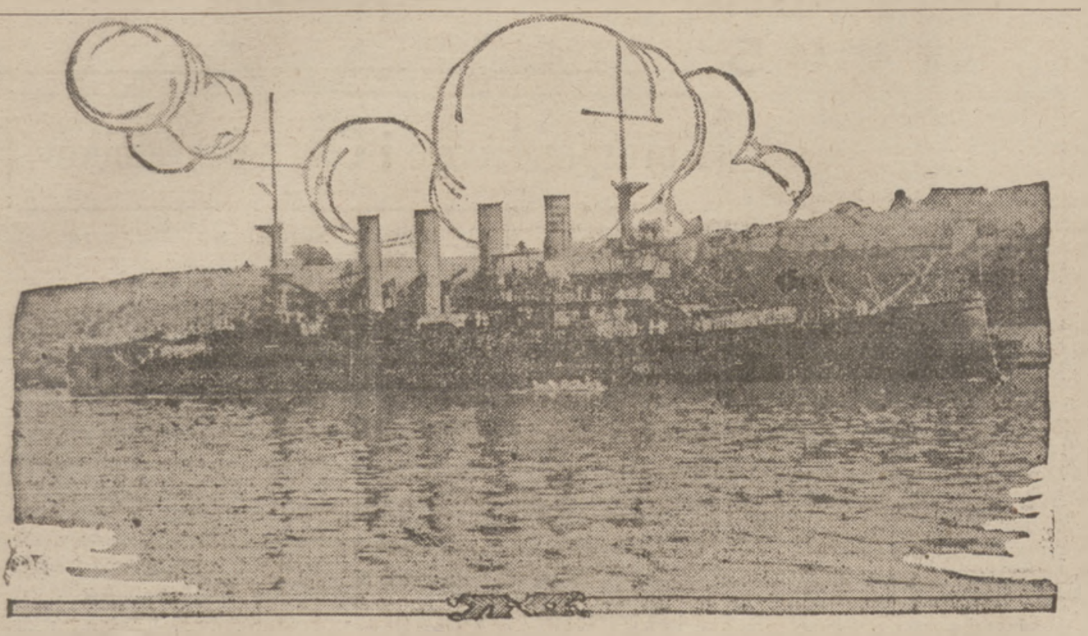
Przechodząc następnie do analizy duszy "ludzi wielkich" Oswald zapewnia, iż dochodzą oni do największego rozwoju swych zdolności umysłowych i duchowych koło 30 roku życia. Większość wielkich już w 25 roku stawia sobie cel określony i idzie do niego wytrwale i naprzód.

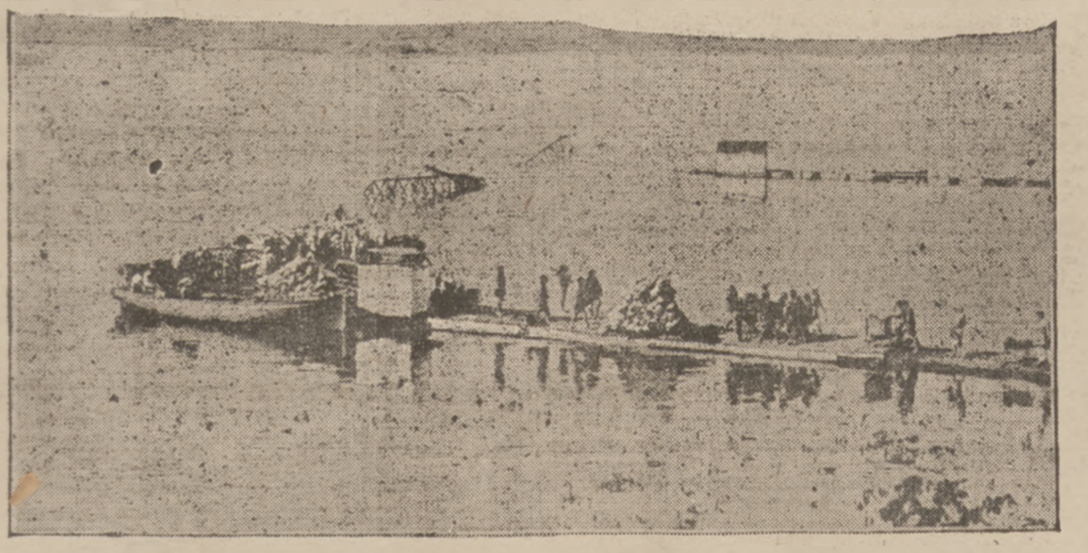
Z warstw społecznych, warstwa ludowa, chociaż najliczniejsza, nie daje prawie wcale naprawdę wielkich ludzi. Arystokracya nie może się również bardzo szczycić, a wyjątek stanowi tylko arystokracya angielska, która obdarzyła Anglię całym szeregiem wybitnych uczonych, wodzów i polityków. Najpłodniejszą pod względem genialności warstwą jest warstwa średnia. W Niemczech pierwsze miejsce pod tym względem zajmują rodziny pastorskie, które wydały najwięcej słynnych Niemców

Genialni ludzie nie tworzą prawie nigdy dynastyi. Dzieci ich zwykle nie odznaczają się zdolnościami, a często są wprost upośledzone pod względem umysłowym i duchowym. Oswald nie zgadza się na to, by tak zwane "cudowne dzieci" były skazane stanowczo na to, że po dojściu do pełnoletności staną się zwykłymi przeciętnymi ludźmi.

Zdaniem autora wszyscy ludzie wielcy wykazywali niezwykłe zdolności już we wczesnem dzieciństwie. Mozart w ósmym roku życia posiadał już wszystkie tajemnice kontrapunktu, a William Thomson, sławny chemik angielski, wstąpił do uniwersytetu w 10 roku życia.

Marynarze amerykańscy lądujący na Kubie; krążownik Washington w przystani, w Hawanie.





Photos by American Press Association.

Co słychać w kraju.

KONGRESMAN ZABITY PRZEZ POCIĄG.

WASZYNGTON, D. C. — Gdy kongresman Robert E. Wicliffe ze stanu Luoisiana przechodził przez tory kolei Southern Railway przy Potomac parku, nagle najechał nań pociąg tejże kolei i zabił go na miejscu. Szedł on sobie na ryby i tak był zamyślony, że nie zauważył pędzącego pociągu. Maszynista tłómaczy się, że za późno spostrzegł kongresmana, aby mógł wczas zatrzymać pociąg. Zabity kongresman liczył 38 lat życia, był demokratą i w kongresie służył przez dwa terminy. — Żona jego zemdlała, gdy się dowiedziała o śmierci męża.

PRZYZNAŁ SIĘ DO OTRUCIA OJCA.

GREENSBURG, Pa. — Elmer Watt 18 letni chłopak przyznał się w sądzie, że to on otruł własnego ojca, wsypawszy mu trucizny do gorzałki, którą pił.

Tłómaczy się on, że chciał uwolnić matkę, siebie i resztę rodzeństwa od znęcania się nad niemi ojca pijaka i awanturnika, który nie był wart życia na świecie.

Ojcobójcę uwięziono i będzie on procesowany za morderstwo w pierwszym stopniu.

DRUGA ZONA MU SIĘ SPALIŁA.

BELOIT, Wis. — Pani Franciszka Peck, żona farmera spaliła się na węgiel w domu. Suknie jej zajęły się od gazolinowego piecyka i kobieta w jednej chwili stanęła w płomieniach. Zanim na jej krzyk nadbiegli sąsiedzi, tak się strasznie poparzyła, że zmarła w kilka godzin, a była to już druga żona tego farmera, która w ten sposób zginęła.

WALKA Z HANDLARZAMI MIĘSA.

NEW YORK, N. Y. — Nietylko w Chicago żydówki wypowiedziały wojnę rzeźnikom sprzedającym mięso koszerne po bajecznie wysokiej cenie, ale tak samo w Nowym Yorku rozpoczęły one krucyatę i bojkot przeciw hurtownym i detalicznym składom mięsa.

Gdy jeden z żydów kupił parę kur i niósł je do swojej Racheli, by mu przyrządziła z nich kolacyę, nagle opadły go różne Sary Ryfki i Gitle, które zaczęły go okładać, czem tylko która mogła.

Biedny Srul schronił się do apteki, ale i tam nie miał spokoju, bo rozindyczone żydówki wpadły za nim a gdy aptekarz ujął się za napadniętym, żydówice zniszczyły całe urządzenie wewnętrzne, proszki, plastry i linimenty, wyrządzając na kilkaset dolarów szkody.

Policyanci aresztowali kilka awanturniczych żydówek, ale musieli z niemi wpierw stoczyć regularną batalię.

ODZYSKAŁ ROZUM PO 25-CIU LATATCH.

NEW YORK. — Samuel B. Haslet, milioner, skutkiem nieszczęśliwej miłości stracił rozum przed 25 laty i żył jak zdziczały w odosobnieniu. Nagle w tych dniach przez jakieś wstrząśnienie nerwowe odzyskał zmysły i pamięć, ale dziwi się on, że wszystko teraz koło niego inaczej wygląda, nie tak, jak on pamięta. Lekarze nie pozwalają mu poznawać odrazu wszystkiego, gdyż obawiają się, że przez to może znowu postradać zmysły. Nic nie pamięta, co się z nim działo przez czas ten długi i zdaje mu się, że wstał z głębokiego snu. Liczy on obecnie 78 lat życia.

SPRZEDAŁ ŻONĘ — MUSI IŚĆ DO WIĘZIENIA.

AUSTIN, Texas. — Sąd apelacyjny miał ciekawą sprawę do załatwienia. Chodziło bowiem o oryginalny czyn J. B. Claytona, który sprzedał żonę, a później zabił Roberta Gibsona. Skazano go na 10 lat więzienia. Clayton był malarzem a Gibson salunistą.

Rok temu Gibson i Clayton grali w karty. Clayton przegrał, a nie mając pieniędzy, zaproponował Gibsonowi, aby zabrał jego żonę i dom za długi. Gibson zgodził się na tę umowę. Żona Claytona obecna przy tej zgodzie nie protestowała wcale. Clayton opuścił tę miejscowość a Gibson zamieszkał w jego domu.

Po kilku dniach Clayton powrócił, lecz żona nie wpuściła go do domu, a Gibson odpędził go strzałami z rewolweru.

Gibson w trzy miesiące później udał się z żoną do St. Angelo. I tam spotkali się w teatrze, przyszło później do kłótni, podczas której Gibson zginął.

"WUJ SAM" USPOKAJA KUBĘ.

WASZYNGTON, D. C. — Amerykański poseł w Havanie, Beaupre, otrzymał od rządu federalnego polecenie, by zapewnił rząd kubański, iż Stany Zjednoczone nie zamierzają interweniować na Kubie.

Stany Zjednoczone wysyłając statki i wojsko, nie mają bynajmniej zamiaru interweniować, ale tylko mają na celu obronę obywateli swoich i obcych państw.

HAVANA, Kuba. — Powstanie na Kubie nie ustaje, mimo, że kilku murzyńskich przywódców dostało się do niewoli. Koło El Cobre obszańcowują się marynarze amerykańscy, bo im grozi atak murzynów.

ZMARŁ PRZEŻYWSZY STO LAT.

RICHMOND, Ind. — Zmarły tu Michał Greeley, skończywszy lat sto, zasnął w Panu.

Poprzedniego dnia obchodził on setną rocznicę swoich urodzin i był zupełnie zdrów i wesół, a na drugi dzień był trupem.

PADŁA TRUPEM W TANCU.

ATLANTIC CITY, N. J. — Pani Agnieszka E. Day, tańcząc taniec tak zwany "turkey trot", zasłabła nagle i za chwilę była już trupem.

Tańczyła ona z mężem swoim w własnym domu, gdy ją śmierć spotkała. Lekarze stwierdzili pęknięcie krwionośnej żyły u niej.

EDISON NIE DAŁ OFIARY NA KOLEGIUM.

ORANGE, N. J. Słynny wynalazca elektryk Tomasz Edison, zaprzeczył stanowczo pogłosce, jakoby on ofiarował $2.500.000 na kolegium technologiczne w Bostonie. Powiada on, że pieniądze swoje potrafi lepiej użyć w dziedzinie wynalazków, niż dawaniem na jakiekolwiek kolegia, czy uniwersytety. Powiada Edison, że chociażby miał bilion dolarów, toby nie dał ani centa na różne zakłady, gdyż ofiary takie mogą dawać tylko tacy miliarderzy, jak Rockefeller, Carnegie, Frick i inni, którzy nie wiedzą co robić z pieniądzmi, a pragną jedynie rozgłosu.

ZABURZENIA W PERTH AMBOY, N. J.

PERTH AMBOY, N. J. — Strajki robotnicze w tem mieście o podwyższenie płacy doszły do zenitu. Onegdaj wieczorem około 2,000 strajkierów chciało zniszczyć budynki należące do firmy American Smelting and Refining Co. — podłożyli oni pod fabrykę ogień. A gubernator Wilson rozkazał zawezwać szeryfowi milicyi stanowej, któraby przywróciła porządek.

Strajk ten rozpoczął się kilka tygodni temu, do którego to strajku należą wszystkie kategorye robotników. Jest to kontest pomiędzy organizacyami robotniczemi, American Federation of Labor, która jest więcej umiarkowaną organizacya i Industrial Workers of the World, która jest nastroju rewolucyjnego.

W chwili, kiedy na miejsce pożaru przybyła straż ogniowa i rozpoczęła akcyę ratunkową, strajkierzy obrzucili strażaków kamieniami, kawałkami drzewa. Trzech strażaków zostało z tego powodu rannych.

Strajkierzy nie chcieli ustąpić, mając na celu zniszczenie powyższej firmy. Szef Cumings zawezwał wówczas straż ogniową, aby zwróciła swe sikawki na tłum, ale to nie pomogło. Aby więc ocalić 10 milionów, która to suma została wyłożona na te fabryki, poczęto strzelać do tłumu.

Komunikacya pomiędzy kilkoma miasteczkami została wstrzymana, ponieważ strajkierzy obrzucili kursujące tramwaje kamieniami.

Zakłady American Smelting Co. i Barber Asphalt Co. oraz Standard Uuderground Co. zostały zaopatrzone w polowe armatki i reflektory. Światłami temi operują całą noc, aby nie dopuścić nikogo ze strajkierów do zbliżenia się do zakładów i podłożenia ognia lub dynamitu.

W godzinę po powstaniu zaburzeń w zakładach American Smelting Co. tłum podpalił stacyę elektryczną pod firmą United States Lead Co., która została doszczętnie przez pożar zniszczona. Po zapaleniu stacyi, tłum rzucił się z siekierami ku słupom telegraficznym i tym, na których zawieszony jest przewodnik tramwajowy. Policya, która przybyła w międzyczasie w niedość znacznej liczbie, dała kilka salw z rewolwerów do tłumu strajkierów. Ile padło ofiar od tych strzałów, trudno jest powiedzieć.

Rozruchy przybierają tutaj faktycznie rozmiary rewolucyi na małą skalę. Szeryf Bollschweiler przyjmuje setki nowych szeryfów którzy porozstawiani po całem mieście, strzegą porządku i spokoju.

Jeśli tak dalej pójdzie, jak do tej pory, to gubernator Wilson powoła pod broń milicyę.

Do strajku przyłączyło się ostatnio 1.110 dziewcząt z fabryk cygar z Perth Amboy. Wydano policyi rozkazy strzelania ostrymi ładunkami, tak, by zabić każdego kto będzie się skradał do zakładu w złych zamiarach.

PERTH AMBOY, N. J. — Około 2000 strajkujących robotników z fabryk American Smelting and Refining Co. usiłowało wtargnąć do tej fabryki, aby nabić łamistrajków, którzy zajęli ich miejsce i zniszczyć urządzenia we fabryce. Strajkierom zastąpili drogę deputy szeryfi, patrolujący koło fabryki i wywiązała się dość zacięta walka. Na deputy szeryfów posypały się cegły i kamienie, na co napadnięci odpowiedzieli strzałami karabinowymi, uśmiercając jednego strajkiera, jednego łamistrajka i stróża fabryki, którzy dostali się w linię tych strzałów.

Prócz tych trzech zastrzelonych jest siedmiu rannych, w tem sześciu robotników i jeden deputy szeryf.

Aresztowano sześciu strajkierów, u których znaleziono broń ukrytą. Są oni oskarżeni o wszczynanie rozruchów i podburzanie do gwałtów.

Między strajkierami i ich sympatykami wrzenie. Zanosi się tam na wielki rozlew krwi.

Fabryka, gdzie trwa strajk, kosztowała 5.000.000 dolarów.

W fabryce Terra Cotta Co zakończył sie strajk, a 250 robotników powróciło do pracy.

Kompania częściowo zgodziła się na żądanie robotników.

STRASZNA ZBRODNIA.

VILLISCA, Iowa. — Jakiś dotąd niewyśledzony zbrodniarz do domu Józefa Moore dostał się i tam zamordował śpiącego siekierą Moore'a, jego żonę i czworo dzieci i dwie panienki, które bawiły tam w gościnie. Zbrodniarz po śmierci znęcał się nad ofiarami— gdyż je porąbał siekierą w straszny sposób. W sypialniach, gdzie pomordowano nieszczęśliwe ofiary, znaleziono pełno krwi i kawały ciała, które zbrodniarz porozrzucał. W kilku miejscach są krwawe odciski palców, po których możnaby poznać zbrodniarza — gdyby podejrzany był ujęty.

Zorganizował się oddział zbrojnych obywateli, którzy wraz z detektywami i deputy szeryfami poszukuje zbrodniarza, przeszukując każdy zakątek, gdzieby się ów morderca mógł ukryć. Posyłano po psy gończe do Beatrice, Nebr. i gdy te przywiozą, rozpocznie się tropienie śladów mordercy, który może wpadnie w ręce sprawiedliwości.

Motywy tej strasznej zbrodni nikomu nie są znane.

Zbrodniarz zamordował swoje ofiary, gdy te były pogrążone w głębokim śnie, gdyż nie zauważono żadnych śladów walki i ciała pomordowanych leżały w pozycyi jak się położyły do snu. Tylko jedna 15 letnia panienka Stillings, snać się obudziła i chciała się ratować przed śmiertelnym ciosem, sądząc z jej pozycyi i wzniesionej ręki do góry.

Zbrodnia ta tak tajemnicza, całem miastem wstrząsnęła do głębi. Dom Moore jest położony pomiędzy wieloma innymi domami, a jednak sąsiedzi nic nie słyszeli podejrzanego. Pomordowanych znalazła sąsiadka, która słysząc rżenie w stajni koni Moore'a i nie widząc nikogo koło domu, poszła zobaczyć, co się tam dzieje.

Nie mogła jednak drzwi otworzyć, gdyż były zamknięte na klucze, a klucze te zabrał ze sobą zbrodniarz.

Tknięta złem przeczuciem, sąsiadka zaalarmowała policyę, która przemocą wtargnęła do wnętrza.

Podobne zbrodnie zostały spełnione przed kilku miesiącami w Colorado Springs, gdzie też siekierą wymordowano sześć osób.

Zdaje się, że to ten sam jakiś maniak zbrodniczy dopuszcza się tych morderstw, a złowić go nie można.

WAŻNA DECYZYA SĄDOW FEDERALNYCH.

WASHINGTON, D. C. — Sędziowie najwyższego sądu federalnego White, Day Van Devanter i Pitne, orzekli, że człowiek przekraczający jakieś prawa federalnie może być karany sądownie i w innym stanie.

Dotąd bowiem praktykowało się że przekraczający ustawy krajowe w jednym stanie, gdy schronił się do innego stanu, już nie mógł być karany — chyba, że wrócił z tamtego stanu i został aresztowany.

Rezultatem tej decyzyi było uznanie winnym kilku osobników, którzy nieprawnie przywłaszczyli sobie grunta rządowe, a ścigani przez sąd, schronili się do innych stanów, opuszczając ten, gdzie zabrali grunt.

KSIĘZNA UCIEKŁA Z AMERYKANSKIM CHŁOPAKIEM.

ST. LOUIS, Mo. — Doniesiono tu z Wiednia, że amerykański chłopak T. G. Peter, 20 lat liczący z St. Louis, zdobył serce 27 letniej księżniczki Chamare, która już 2 razy była zamężna. Uciekła ona z owym Amerykaninem i zapewne gdzieś go poślubi. Podobno księżna Chamare zakochała się w Amerykaninie za jego szybką i karkołomną jazdę na łyżwach kółkowych "roller skates".

Chłopak doniósł swoim rodzicom w St. Louis, że jedzie z księżną, jako swoją małżonką do Ameryki.

ŚMIERC MILIONOWEJ BIEDACZKI.

MEMPHIS, Tenn. — Policya znalazła w ubożuchnym domku staruszkę Karolinę Cloth, która żyła samotnie przez 40 lat. Była uważana za nędzarkę. Co jednak za zdziwienie było policyi, gdy w pudełku stojącem blisko zwłok staruszki znaleziono pieniądzy i bondów rządowych na przeszło milion dolarów.

Niema ona żadnych krewnych w Memphis. Pochodziła z Niemiec a mąż jej był szynkarzem i piekarzem, na czem zrobił dobry interes.

Zmarła ona na udar sercowy.

Jednolite porto pocztowe.

Na wiosnę roku 1913 zapowiedziany jest światowy kongres w sprawie jednolitego porta pocztowego. W wielu krajach Europy a zwłaszcza w Niemczech, istnieje silna tendencya, aby zastępcy państw na tym kongresie wystąpili za jednolitem portem pocztowem [list ważący 20 gr. kosztować ma 10centymów, 10 fenigów, 10 g. itd.] Znaczenie tej reformy jest dla handlu znaczne i doniosłe. A zrozumiały to państwa dwa, jak Anglia i Niemcy, które dla poczynienia ulg eskortowi, zawarły szereg osobnych umów z państwami w sprawie porta. —

Układ powyższy łączy już obecnie Anglię z Egiptem, Niemcy zaś ze Stanami Zjednoczonymi, Chinami itd. Austro-Węgry opłacają jeszcze ciągle listy do powyższych państw po 25 gr. rząd, jak zaznaczają dzienniki powinien zawrzeć osobne układy, poza tymi, które już istnieją. Pozatem zastępcy Austro-Węgier powinni wystąpić za jednolitem portem, choćby nawet wagę listu zniżyć miano z 20 gramów na 15.

GAZETA POLSKA W CHICAGO.

Najstarsze czasopismo polskie w Ameryce.

Wychodzi co czwartek każdego tygodnia.

PRENUMERATA ROCZNA:

W Stanach Zjednoczonych ...

W Europie, Ameryce Środkowej i Południowej, Azyi, Afryce, Australii i Kanadzie $3.00

POSZUKIWANIA krewnych i znajomych nie wynoszące jednego cala druku na jeden raz 50 centów, następnie połowę ceny.

POSZUKIWANIA na jeden raz jak i ogłoszenia o założeniu jakiego przedsiębiorstwa dla abonentów naprzód płatnych, bezpłatnie.

PIENIĄDZE należy przesyłać przez Money Order, Express lub w liście registrowanym. Kwoty niższe od dolara można przesyłać w znaczkach pocztowych.

Rękopisów nie zwracamy.

Wszelkie listy i pieniądze adresować należy:

W. DYNIEWICZ PUB. CO.

1163 Milwaukee Ave., Chicago, Ill.

TELEFON: MONROE 1256.

GAZETA POLSKA W CHICAGO.

Oldest Polish Newspaper in America

APPEARING EVERY THURSDAY

ESTABLISHED 1873 by W. DYNIEWICZ.

Represents the interests of over 3,000,000 Poles residing throughout the United States & Canada.

Subscription Two Dollars per Year.

RATES OF ADVERTISING ON APPLICATION.

Gazeta Polska w Chicago, read in all the States and Territories of the Union, in Canada, Mexico, Central America, South America, in Great Britain, Ireland, France, Germany, Austria, Servia, Switzerland, Turkey in Asia, Africa, Australia, and in all the provinces of ancient Poland, is really a *First Class Advertising Medium.*

All communications ought to be addressed:

W. DYNIEWICZ PUB. CO.

Publishers of "Gazeta Polska,"

1163 Milwaukee Ave., Chicago, Ill.

We have over 1000 works of our own Publication and Edition, and Imported Books.

Bolesław Prus a Polacy w Ameryce.

Ubył nam jeden z największych wodzów narodu, który także na rozwój naszego społecznego życia w Ameryce wywiera wpływ bardzo znaczny.

Zdajemy sobie z tego sprawę wyraźniej dopiero dziś, po jego śmierci, podobnie zresztą jak i cała Polska, która dopiero w chwili pogrzebu Bolesława Prusa uprzytomniła sobie dokładnie, kogo straciła.

Od czasu wielkiego pochodu w roku 1905 Warszawa nie widziała tak wielkiej manifestacyi.

Ćwierć miliona ludzi wyległo na ulice oddając hołd zwłokom wielkiego pisarza.

On sam nie znał za życia całej potęgi swojego wpływu w narodzie.

Gdy przed czterema laty zauważył ktoś w rozmowie że znajduje się wśród ludzi kroczących na czele narodu, Prus uśmiechnął się dziwnie i rzekł:

— Tak samo jak dziad z krzyżem idzie na czele pogrzebu i skręca z Tłomackiego na Powązki...

Nie wiedział i dopóki żył nie miał sposobu na sprawdzenie potęgi swojego wpływu na ogół.

Dopiero wieść o śmierci — ujawniła w całej pełni szacunek i miłość odczuwaną przez szerokie masy narodu.

W dniu jego pogrzebu, nietylko Warszawa, ale cała Polska reprezentowaną była przy trumnie drogie wszystkim kryjącej zwłoki, ze wszystkich stron Polski napływały telegraficznie wyrazy żalu, poświadczające solidarność ogólną kół jeszcze szerszych.

Tylko my w Ameryce nie wiedząc o niczem, nie wzięliśmy w żadnej formie udziału w tej podniosłej manifestacyi.

Wieść o śmierci ''nauczyciela narodu'' doszła nas dopiero za dwa tygodnie. Nikomu jakoś w Polsce nie przyszło na myśl, że wartoby i ''czwartą dzielnicę'' powiadomić o tym wypadku.

Sądzono zresztą może, że uczynią to regularni korespondenci stowarzyszonej prasy. Wszakżeż umarł człowiek znany, pisarz tłomaczony na wszystkie prawie języki, sławy światowej... Przekonać się mogła przy tej okazyi opinia w Polsce, jak mało sprawami naszego narodu interesuje się prasa całego świata, informowana o naszych sprawach, przez korespondentów hołdujących potężnym rozbiorcom naszej ojczyzny, lub pozostających na służbie żydowskiej.

Gdyby kilku uliczników warszawskich pokaleczyło jakiegoś żydka na ulicy wiedziałby o tem cały świat. Wszystkie większe dzienniki amerykańskie miałyby telegramy prosto z Warszawy, a w ''edytoryałach'' pojawiłyby się uszczypliwe notatki o ''ciemnym i nietolerancyjnym polskim motłochu.''

Umarł wielki pisarz, ćwierć miliona ludzi wzięło udział w pogrzebię— milczenie!

. . . .

Skrzepił się naród przy tej trumnie drogiej poczuciem własnej solidarności i przekonaniem, że praca życia wielkiego nauczyciela nie poszła na marne, nam, stokroć cięższem wydaje się przekleństwo tułaczki a obojętność sytych i skutkiem tego coraz bezmyślniejszych społeczeństw obcych, zabolała mocniej niż zwykle.

Bo i my tutaj znaliśmy i kochali Prusa wraz z resztą narodu. Jest on obok Sienkiewicza jedynym pisarzem, którego dzieła nigdy prawie nie leżą na półkach naszych bibliotek, a znajdują się w każdej pilnie i z przejęciem czytane. Prasa nasza, w lepszej swej połowie, skrzętnie i zawsze informowała o wszystkiem co wyszło z pod jego pióra, często też przedrukowując jego pełne głębokiej myśli kroniki.

Wpływ Prusa na społeczeństwo polskie w Ameryce i na kształtujące się u nas pojęcia o istocie pracy społecznej i obowiązkach obywatela, jest równie wielki jak w Polsce.

Ci wszyscy, którzy wystąpili z nowym a niedostatecznie jeszcze zrozumianym **programem narodowej jedności** — wysuwając na pierwszy plan **interes narodu** i domagając się podporządkowania mu wszystkich interesów organizacyjnych, klasowych i parafialnych, Prusowi w znacznej części zawdzięczają tę wiarę z którą do pracy w tym kierunku się zabierają.

On też pierwszy, kiedy garstka dziennikarzy tutejszych zamyślała zorganizować się w towarzystwo, jako prezes Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy z Warszawy, pospieszył nam z serdeczną doradą i życzeniami pomyślności w tem przedsięwzięciu.

List ten w archiwach towarzystwa L. i D. w Ameryce staje się dziś najdroższą naszą pamiątką.

Wpływ Prusa na nowy, obecnie zresztą dopiero kształtujący się w nas kierunek społeczny, odczuł też jeden z jego najzawziętszych i namiętnych krytyków, ks. Paweł Tudyka, C. R., który też z pewnego rodzaju drwinami przytoczył następujący ustęp z jego artykułu pod tytułem ''Od upadku do odrodzenia'':

''Nasz społeczny organizm nie posiada jedności faktycznej; jeżeli zatem chce istnieć i rozwijać się, musi zdobyć potężną jedność ideową. Tę ideową jedność trzeba — nie tyle stwarzać, gdyż elementy jej istnieją, ile raczej — wydobyć z pod stosu partyjnych albo chwilowych interesów i zbliżyć do siebie rozmaite części, ażeby wytworzyła się jedna całość: dusza społeczna.''

Zwolennicy nowego u nas kierunku nigdy wprawdzie nie odwoływali się na ten ustęp, nie mniej przeto jest on dla nich pierwszem przykazaniem, co widocznie odczuł nawet ks. Tudyka C. R., który go... z drwinami, przytoczył, bo mając przed oczyma jedną tylko jedność z... Rzymem, żadnej innej już nie uznaje...

Są jednak i w Polsce księża, podzielający zapatrywania ks. Tudyki. Z chóru jednogłośnego hołdu złożonego pamięci Prusa, wyłączyła się ''Myśl Katolicka'' która zbyła ten wypadek krótką notatką zakończoną ubolewaniem: ''Prus katolikiem nie był!''

Był pono i na indeksie... a mimo to, był człowiekiem wierzącym.

''Zdrowie ducha wymaga — pisał — ażebyśmy równie często myśleli o życiu wiecznem, jak o jedzeniu i rozrywkach''. — Śmierci się nie bał. Przed obawą śmierci broniła go wiara w wielkość Boga. ''Nie wiem co ze mną zrobisz Panie, ale cokolwiek zrobisz, będzie lepsze od moich teoryi.''

Wiarę w Boga i religię uznawał zasadniczo za konieczne dla doskonalenia się i szczęścia ludzkości. Odmiany wyznań i kultów pozostawiał zupełnie swobodzie indywidualnej, najwyżej ceniąc te, które się historycznie i cywilizacyjnie zżyły z danym narodem i stały się integralnym składnikiem jego umysłowości i świadomości.

Spokojnie zatem ponad krytyką ks. Tudyki C. R., możemy przejść do porządku dziennego.

Naród nasz, a częścią jego jest także nasze wychodźtwo skoro raz uprzytomnił sobie konieczność stworzenia **narodowej jedności** reprezentującej jedną duszę społeczną, nie cofnie się już z połowy drogi i celu dopnie z pewnością.

Skończą się wkrótce — (jak pisze Ignacy Grabowski z okazyi śmierci Prusa) — harce pojęć, spory o poglądy, rozłamy niedorzeczne i nie odpowiadające żadnej rzeczywistej potrzebie. Pod naciskiem niebezpieczeństw w ciągu lat kilkudziesięciu dojdziemy do takiej solidarności, że każde lenistwo będzie uważane za zdradę ojczyzny. A uwolniwszy się od ugoru lenistwa, będziemy naprawdę uzdrowieni i zdolni do ludzkich zapasów z narodami cywilizowanymi.

POWRÓT DO POLSKI.

Ktokolwiek nosiłby się z myślą powrotu do Kraju, a pragnąłby zasięgnąć informacyi co do stosunków, kupna ziemi, lub osiedlenia się w mieście, celem prowadzenia handlu, lub przemysłu, niech zwraca się z zupełnem zaufaniem do ogólno polskich instytucyi emigracyjnych, względnie do redakcyi ich pism urzędowych:

1. ''Wychodźca Polski'' Erywańska 2, Warszawa, Russian-Poland.

2. ''Polski Przegląd Emigracyjny'', Radziwiłłowska 21, Kraków, Austrian-Poland.

Wszelkie informacye z pierwszej ręki, zasługują na zupełną wiarogodność.

CZERWIEC.

21 P. Alojzy Gonzaga. LATO.
22 S. Pauliny.
23 N. Agrypiny.
24 P. Jana Chrzciciela.
25 W. Febronii p.
26 S. Jana i Pawła męcz.
27 C. Władysława kr.

Chicago, Ill., dnia 20 Czerwca 1912.

Uwagi Redakcyi.

''Dziennik Chicagoski'' ogłaszał w ostatnich dniach zabawy następujących klubów młodzieży amerykańskiej polskiego pochodzenia: ''Penelope'' (dlaczego nie Xantipe?) ''Embroidery Circle'' — jest to klub panien z Jadwigowa; ''Art Needle Work Club'' ''Silvia'', ''Triangle B. A.'' i ''Hickory Camp Athletic Ass'n.'' Jak widzimy, dosyć sporo.

* * *

''Nowiny Polskie'' (ciągle jeszcze ''polskie''!) konstatują w jednym z ostatnich numerów, że młodzież ''polska'' nie lubi wprawdzie czytać pism polskich i woli angielskie, ale zato daleko lepiej obeznaną jest z zasadami wiary świętej niż starsze pokolenie. To samo pismo rozwodziło się niedawno bardzo obszernie o potrzebie założenia katolickiego dziennika w języku angielskim. Postęp, jak widzimy, na całej linii.

* * *

Niedawno prasa nasza (z wyjątkiem ''Nowin'' i ''Dziennika Chicagoskiego'') rozpisywała się dość obszernie o zamachu przygotowanym przez tutejszą katolicką hierarchię kościelną w Stanach wschodnich na rozmaite ślady narodowości napływowych w kościele. Obecnie ''Polak w Ameryce'' podnosi nowy dowód ''przywiązania do katolików'' obcych narodowości ze strony I. Em. ks. Kardynała Farley który powiedział mniej więcej co następuje: ''Największy kłopot z mieszkańcami obcej narodowości jest ten, że gromadzą się oni w oddzielnych dzielnicach stwarzając osobne kolonie. Nie jestem zwolennikiem tego systemu. Ja myślę, że byłoby dla nich lepiej, pod względem ekonomicznym i religijnym gdyby nie mieszkali oddzielnie. Mieszkając wspólnie z Amerykanami, usunęliby wiele rzeczy niepożądanych ze swego środowiska, przyswajając sobie wiele rzeczy pożytecznych''. Co za wzruszająca troskliwość i przywiązanie do tych ''obcych'' biedaków. Nie różni się ono chyba niczem od owego współczucia, troskliwości i przywiązania, którem Polaków pod zaborem pruskim darzą potomkowie Krzyżaków, ustawicznie ubolewający nad nędzą tych, którzy się zgermanizować nie dali.

* * *

Troskę dalszą w kierunku ustawicznego ''doskonalenia'' narodowości obcych biorą na siebie rzymsko-katolickie dyecezyalne rady szkolne, które podobno wyłącznie i jedynie mają prawo stanowienia o podręcznikach dla szkół parafialnych i dlatego właśnie ''Polska Macierz Szkolna'' okazuje się.. zupełnie zbyteczną!.. Narodzie Polski, jesteś bodaj najszczęśliwszym ze wszystkich na ziemi. W Polsce myśli i troszczy się o ciebie Moskal, Prusak i Austryak, a tutaj Ajrysz, Włoch lub Niemiec... ty zaś możesz spokojnie rozmyślać o zbawieniu swej duszy...

* * *

Najmędrszym między dziennikarzami polskimi w Ameryce stanie się niebawem pan Orpiszewski, albowiem ze wszystkich stron jest ''pouczany'' o rozmaitych kwestyach.

* * *

W Chicago odbył się bankiet urządzony przez reprezentantów kilku gazet niemieckich i żydowskich na cześć p. Hammerlinga, prezydenta ''amerykańskiego'' towarzyszenia gazet obcojęzycznych''. Polacy, ponieważ stowarzyszenie to, a zwłaszcza jego organ: ''The American Leader'' prowadzony jest w duchu amerykanizatorskim, udziału w tym bankiecie nie wzięli. Byli na nim tylko reprezentanci ''Dziennika Chicagoskiego''.

* * *

Straszna walka wre obecnie w Chicago i w chwili, kiedy Gazeta Polska idzie pod prasę nie można jeszcze przewidzieć jej rezultatu. Roosevelt, czy Taft — oto pytanie, na które wszyscy jak najrychlej pragnęliby mieć odpowiedź. Nigdy jeszcze kraj ten nie widział podobnej walki o nominacyę na urząd prezydenta, ale też nigdy jeszcze wszechwładnym trustom nie przeciwstawił się człowiek takiej siły moralnej jak Roosevelt. We wtorek rano, ogół zwolenników Roosevelta, a więc ogromne masy ludu pracującego, był przekonany, że jeżeli Taft w myśl życzeń reprezentantów trustów tutejszych otrzyma większość delegatów na konwencyi, izba się podzieli na dwie połowy i — Roosevelt dostanie również nominacyę, a potem ogół rozstrzygnie. Ciekawą byłaby potem cała kampania przedwyborcza, kto wie, czy nie ciekawszą jeszcze jak obecna konwencya.

CO INNI PISZĄ.

W uwagach redakcyjnych wspominamy w kilku słowach o nowym dowodzie... troskliwości jednego z najwyższych dostojników Kościoła Rzymsko-Katolickiego w tym kraju o... nasz los i... nasze szczęście.

Z tego samego powodu powiada ''Polak w Ameryce'' z Buffalo co następuje:

''Nie mamy najmniejszego powodu posądzać ks. Kardynała o złą wolę, lub niechęć ku nam, przeciwnie, wierzymy, że On przemawiał w najlepszej intencyi wskazania emigrantom a więc i nam Polakom, drogi do szczęścia doczesnego i wiecznego.

A jednak, jaka w tych słowach jest straszna ironia losu!

My, prawdziwi wygnańcy Ewy, szczuci nieraz jak dziki zwierz w swej własnej ojczyźnie, za to, że chcemy pozostać sobą. My przybyli tutaj nietylko z myślą o kawałku chleba, lecz wierzący w ideały wolnościowe ziemi Washingtona, my, cośmy omal nie najwierniejszym ojców narodem, my naraz otrzymujemy wezwania ''wynarodowić się'' by otrzymać szczęście doczesne i wieczne.

Mędrcy, czytający w pismach powiedzą:

''Jak wy śmiecie tak fałszować słowa kardynała, — przecież on o wynarodowieniu się nie mówił, on tylko chce, byście rozrzucili się po całym kraju, obcowali z innonarodowcami, a to umocnili się ekonomicznie i religijnie.

Możemy śmiało doczytać się w myślach Księcia Kościoła, że wówczas Polacy nie będą potrzebowali polskich kościołów, polskich szkół, polskich towarzystw, gdyż wszystko to czeka na nich w dostatecznej ilości u braci po wierze, naturalnie za odpowiednią opłatą.

Nie od roku lub dwóch, lecz od początku swego istnienia, ''Polak w Ameryce'', stojąc ściśle na gruncie katolickim popierał i popiera w stosunkach kościelnych supremacyę przedstawicieli narodu irlandzkiego.

Ajrysz, formalny niewolnik w swoim kraju, któremu dopiero w bieżącym roku, zaświtał promyk samorządu, znalazł w Ameryce podatny grunt do kultywowania ideałów religijnych narodowych.

I stała się rzecz zwykła u narodów przez długie lata ciemiężonych. Ajrysze doszedłszy do władzy zaczęli uciskać drugich. Anglo-Sasi nie dali się, Francuzi byli kulturalniejsi choć mniej solidarni, ale też równocześnie ulegli.

Dopiero gdy nastąpiła masowa emigracya słowiańska i Włoska, rozpoczęło się żniwo, ale tylko w jednym kierunku — religijnym. Polak mało wykształcony w kraju, nie znający języka, a przytem mocno podejrzliwy, trzymał się gromady.

I nie dziwnego, że po latach trzydziestu, gdy Amerykanie zaczęli się przyglądać baczniej koloniom polskim, jak spostrzeżono te zawarte dzielnice, żyjące poniekąd odrębnem życiem, podniesiono alarm.

Szowinizm zaczyna rozprzestrzeniać się coraz bardziej w polityce i prasie, a nawet... w kościele.

Ajrysze, naturalnym zbiegiem okoliczności, jako najliczniejsi katolicy, zajęli dominujące stanowiska w hierarchii kościelnej i dziś twardą ręką odpierają najmniejszy zamach na ich, jak twierdzą ''przyrodzone prawa.''

Z początku Polacy zajęci zanadto pracą o kawałek chleba nie zwracali na to uwagi, szczęśliwi, że mogli chwalić Pana Boga we własnym języku.

Nawet duchowieństwo nie chciało rozpocząć solidarnej akcyi w kwestyi wywalczania, choć częściowo równouprawnienia co historya Kongresów Katolickich i wysiłki tych kapłanów, którzy w przyszłość trzeźwiej patrzyli — jasno wskazuje.

Czasy te jednak minęły.

Dziś polacy stanęli mocniej ekonomicznie i mocniej narodowo.

Amerykanizacya kwitnie wyłącznie tam gdzie rozpierzchnięci rodacy nasi, już w drugiem pokoleniu wynaradawiają się.

Dziś zaczyna się coraz bardziej rozlegać głos ludu i duchowieństwa, chcemy Polskich Biskupów!

Akcya ta może jest w wielu wypadkach prowadzoną niewłaściwie, ale to nie zmienia jądra kwestyi, że prąd równouprawnienia przenika coraz większe warstwy. I dlatego też nie trzeba się dziwić, że na konferencyach biskupów, na Synodach prowincyonalnych, a nawet w przemówieniach kardynałów widzimy, że dotychczasowi wyłączni władcy dostojeństw kościelnych, zaczynają przeczuwać niebezpieczeństwo i radzić ''serdecznie'' emigrantom, by dla ich dobra rozpierzchli się wśród Amerykanów.

Nie trzeba być bardzo przenikliwym, by na zasadzie faktów, a nie przypuszczeń stwierdzić, że słowa J. Em. Ks. Kardynała Farley'a skierowane były głównie do Polaków.

Z narodów katolickich, emigrujących do Ameryki, Włosi pod względem religijnym są elementem bardzo wątpliwym, a co do ofiarności na cele kościelne, to takowej nie przyznają wcale.

Ogromna większość parafii włoskich utrzymywana jest ofiarnością reszty katolików.

Rusini mają odrębny episkopat, związany dosyć luźno z hierarchią rzymsko-katolicką.

Czesi pod względem religijnym są zupełnie indyferentni.

Litwini w poważnej liczbie są zarażeni prądem socyalistycznym.

Słowaków jest nie wiele i to dwóch obrządków. Nareszcie jesteśmy my, przeszło dwumilionowa rzesza wiernych Synów Kościoła Katolickiego, ale jednocześnie wiernych synów matki-ojczyzny.

Kościoły nasze, szkoły, instytucye ubezpieczeniowe i kulturalne wszystko to musowo nakazuje się z tem liczyć.

Ci, co pragną, by w morzu amerykanizmu zlały się wszystkie rzeki innonarodowe, nie chcą dla siebie źle, ale z tego jeszcze nie należy wnioskować że to jest dobrem dla nas.

Trzeba znać ducha narodu, jego historyę i ideały, a wówczas ręczymy, że każdy kapłan katolicki popierałby jak najgorliwiej zrzeszenie się Polaków co jest jedyną ostoją przeciw nurtującym prądom niewiary.

Być może, że dla polityki amerykańskiej byłoby lepiej by z Pitasów zrobiły się McPitt'y, z Klonowskich, McKlonn'y, z Gramlewiczów, McGramm'y, ale dla nas, cośmy ongi byli przedmurzem chrześcianństwa byłoby to samobójstwem narodowem.

I dlatego też oddając cześć należną J. Em. ks. Kardynałowi musimy przeciw jego zdaniu najkategoryczniej zaoponować nietylko ze względów narodowych, lecz i religijnych.''

Korespondencye i Głosy Czytelników

STRUSIA POLITYKA.

Szczerze jestem rad, że ks. A. Syski, redaktor Gazety Bostońskiej, zabrał jeszcze raz głos w sprawie Macierzy Szkolnej biorąc asumpt z artykułu przezemnie w tejże samej sprawie umieszczonego w Gazecie Polskiej. Takie otwarte i krytyczne traktowanie tej ważnej kwestyi może jej tylko wyjść na dobre. Artykuł ks. A. Syskiego nasunął mi kilka myśli i spostrzeżeń, z któremi chciałbym się podzielić z szerszym ogółem naszych rodaków.

Nie posiadam tej ciętości i barwności stylu co mój oponent, dlatego postaram się, aby odpowiedź moja była krótka i ściśle do rzeczy. Pominąwszy więc osobiste docinki (tyczące się np. mej pracy abstynenckiej), i rozmaite insynuacye autora, jak np. tę, że pragnąłbym działalność duchowieństwa ograniczyć do zakrystyi (o czem ani mi się nie śniło, gdyż przeciwnie chcę, aby duchowieństwo wspólnie ze świeckimi pracowało na wszystkich polach pracy narodowej i obywatelskiej) — chcę przedewszystkiem stwierdzić fakt, że nie miałem najmniejszej intencyi moim artykułem szkodzić naszym szkołom parafialnym, ale przyczynić się do ich podniesienia i ulepszenia za pomocą Macierzy Szkolnej.

Stwierdzam następnie z całą przyjemnością wiele punktów stycznych między mną a ks. Syskim, jak np. tej prawdy, że społeczeństwo świeckie powinno w zasadzie brać udział w sprawach szkolnych i parafialnych, jak i wogóle w całem życiu katolicko-narodowem, i że duchowieństwo chętnie przyjmie wszelką pomoc ludzi świeckich w tychże sprawach.

Uznaję także, że teorya od praktyki często się różni, ale stawiam jako zasadę, że właśnie tak być nie powinno, że dążyć powinniśmy ciągle do tego, aby teorya z praktyką się zgadzała, czyli starać się, aby nasze ideały religijne, społeczne i narodowe ciągle urzeczywistniać. Ta zgoda teoryi z praktyką nie powinna się odbywać kosztem zasad, za pomocą jakichkolwiek ustępstw lub kompromisów, lecz przez ciągłe dociąganie praktyki do teoryi, która zwykle wyprzedza i przewyższa pierwszą. Nie jestem też tak zazdrosnym o mój autorytet nauczycielski, abym miał ks. Syskiemu brać za złe gdyby chciał w dobrej intencyi wtrącać się do mego nauczania. Jestem pewien, że ks. Syski jako wychowawca młodzieży i senior w kapłaństwie mógłby mi udzielić wiele cennych uwag, którebym przyjął z największą ochotą i wdzięcznością.

Zgadzam się także z szanownym autorem, że każdy poszczególny członek parafii prowadzi kontrolę nad własnym proboszczem i sprawami parafialnemi; ale pytam się jaką kontrolę i gdzie? Kontrola to zazwyczaj słowna a nie rzeczywista, prowadzona po szynkach i ulicach, a nie na sali parafialnej razem z ks. proboszczem, jak być powinno. Taka kontrola szynkowa i uliczna oczywiście nikomu korzyści nie przynosi, lecz wprowadza zamieszanie i kłopot. Aby jej uniknąć, trzeba tego parafianina zainteresować do czynnej pracy wspólnej a wtenczas ustanie krecia robota podejrzanych jednostek, usunie się uprzedzenia i niechęci, bo każdy będzie czuł, że on sam jest żywym i czynnym członkiem parafii, a nie prostym tylko pachołkiem, płacącym swe podatki i krytykującym wszystkich i wszystko bez odpowiedniej znajomości rzeczy.

Braki i wady naszego szkolnictwa parafialnego, o których zresztą bardzo umiarkowanie i delikatnie, jak sądzę, wspomniałem w swoim artykule, zauważyłem przedewszystkiem w szkołach parafialnych polskich w Chicago, które uchodzą za najlepsze. Przyznaję, że w ostatnim roku nie byłem w bezpośredniej styczności z żadną polską szkołą parafialną — być więc może, że stosunki szkolne zmieniły się w tym roku na lepsze. Jeżeli tak rzeczywiście jest, to tylko winszować mi wypada i cieszyć się z takiego stanu rzeczy.

Co się tyczy Komisyi Edukacyjnej, na którą powoływałem się w moim artykule, to o ile wiem i pamiętam, zasiadali w niej nietylko duchowni ale i świeccy. Byłby to więc wzór doskonały dla Macierzy Szkolnej takiej, jak ją sobie wyobrażam.

Nie o to jednak głównie mi dzisiaj chodzi. Chciałbym przedewszystkiem zwrócić uwagę na to, co nazywam w naszych stosunkach **strusią polityką.**

Dziwna rzecz, z jakiem upodobaniem my Polacy-katolicy lubimy uprawiać tę strusią politykę, czyli ukrywać przed sobą własne nasze błędy i niebezpieczeństwa nam grożące. Boimy się wszelkiego autokrytycyzmu gorzej niż ognia. Nie chcemy i nie umiemy powiedzieć sobie w chwili stanowczej, że źle, że trzeba reformy. Będziemy raczej prawdę przed sobą ukrywali i używali półśrodków i środeczków, aby tylko sobie pokoju nie zakłócać, aby się nie wysilać. Ot, przysłowiona gnuśność i opieszałość słowiańska!

Tę strusią politykę uprawiamy

(Ciąg dalszy na str. 5-ej).

(Dokończenie ze str. 4-ej).

ze szczególniejszem zamiłowaniem jako katolicy. Zdaje nam się, że skoro mamy zapewnienie Chrystusa Pana, iż Kościół Jego wiecznie istnieć będzie, że możemy się oddawać błogiej bezczynności i wczasowi, że nic nam już czynić nie wypada, bo Opatrzność Boska nad nami czuwa.

Prawda, że Bóg czuwa nad Swym Kościołem i dał mu zapewnienie Swej Opieki, ale to nas nie uwalnia od pracy, od własnych wysiłków. Jesteśmy przecież żywymi członkami Kościoła, a nie martwymi. Szczególniej w sprawach nie należących wyłącznie do kompetencyi urzędu kościelnego, powinniśmy wszyscy bez wyjątku być czynni. Takie sprawy są np. organizacya nasza narodowa, szkolnictwo, obmyślanie form życia społecznego i politycznego, sprawy ekonomiczne i t. p.

Aby postęp na tych polach pracy był możliwy, musimy się koniecznie zgodzić na potrzebę rozumnej i poważnej krytyki, która daje nam poznać nasze braki i wady, w celu ich usunięcia lub naprawy. Krytyka taka jest uznana i stosowana wszędzie, gdziekolwiek znajdują się cywilizowane społeczeństwa. Trzeba ją starannie rozróżnić od tej pseudokrytyki, której zadaniem jest niszczyć, a nie budować i naprawiać. Zadaniem zdrowej, rozsądnej krytyki jest wykazywać błędy rzeczywiste, a nie zmyślone, jedynie w tym celu, aby się ich pozbyć, aby nasze instytucye społeczne podnieść i udoskonalić.

Zwykle jednak inaczej u nas się dzieje. Niechno ktoś ośmieli się podnieść głos prawdy lub przestrogi i wskazać na błędy, nawet powszechnie znane i odczuwane, podnosi się natychmiast głos bezkrytycznego protestu, jakoby czyniło się zamach na Kościół, na szkołę, lub inną instytucyę użytku publicznego. W najlepszym razie okrzyczy się takiego śmiałka modernistą |bo to teraz bardzo modne| — i rzecz skończona! Na to przecież żadnych dowodów nie trzeba: wystarczy tylko na głos zakrzyknąć: modernista! — aby jednym zamachem winnego oskarżyć, osądzić i zasądzić.

Polityka taka |strusia| może mieć tylko najzgubniejsze następstwa dla narodu i Kościoła, gdyż uniemożliwia wszelki postęp, wszelką reformę, a zniechęca jednostki dobrej woli, chcące z korzyścią i pożytkiem dla społeczeństwa pracować. Najgorszą przysługę wyrządza społeczeństwu ten, który występuje przeciwko słusznej i rozumnej krytyce.

Korzyść z bezstronnej i przedmiotowej krytyki jest ogromna: zapewnia bowiem ciągłość postępu i zapobiega rozmaitym nadużyciom, oraz chroni od obcych, wrogich żywiołów instytucye, dla której dobra pracujemy. Gdybyśmy np. katolicy mieli więcej poczucia tego samokrytycyzmu w sprawach naszych parafialnych i szkolnych, ułatwiłoby to nam niezmiernie pracę, a niedozwoliłoby brużdżenia i warcholenia obcych, niepożądanych czynników, jakoto rozmaitych liberałów, ateuszów itp. "Gdybyśmy się sami sądzili — powiada Apostoł — nie bylibyśmy sądzeni".

Krytyka taka z miłością i prawdą przeprowadzona nie powinna nikogo oburzać, ani gniewać, skoro jest w dobrej intencyi podjęta. Są pewne sprawy publiczne i społeczne, które nie cierpią żadnej tajemniczości, lecz wymagają otwartego, publicznego ich traktowania i omawiania. Chodzi bowiem o zdrowie i dobro społeczne! Łamy pism katolickich powinny stać otworem dla tego rodzaju krytyki, obchodzącej cały ogół polsko-katolicki. Jeżeli tylko wiecznie chwalić się będziemy, nigdy ani kroku naprzód nie postąpimy, lecz zawsze na miejscu stać będziemy. Pierwszym warunkiem jakiejkolwiek naprawy i reformy jest znać nasze wady i błędy, co jedynie przez rozumną krytykę może być osiągnięte.

Najlepszy przykład zgubnych skutków strusiej polityki mamy na naszej własnej, nieszczęśliwej Ojczyźnie, w której wszyscy nawzajem się chwalili i schlebiali, używając za przykładem królów saskich błogiego wczasu, jedząc, pijąc i bawiąc się bez żadnej myśli o jutrze, bez usiłowań ku naprawie złego, pocieszając się tem bezmyślnem zdaniem, że Polska nierządem stoi. W ostatniej wprawdzie chwili przebudził się naród ze snu i w Konstytucyi Trzeciego Maja potępił dawny bezrząd i ustrój społeczny, zaprowadzając nowy, sprawiedliwszy i lepszy od dawniejszego — ale, niestety, było już zapóźno. Baczmy i my, aby ratunek i środek na nasze wady i braki nie przyszedł zapóźno, lub nie przyszedł nam od wrogów. Tam, gdzie na wszystko patrzy się pobłażliwie przez szpary i uprawia się politykę "laisser-faire" |nazywam to strusią polityką|, wkradają się z czasem nadużycia, nieporządki, które wybuchają nieraz z żywiołową siłą, szerząc zniszczenie i zamęt. W historyi świeckiej i kościelnej mamy dużo przykładów takiej spóźnionej reformy i ratunku. Pseudo-reformacya Lutra np. byłaby zupełnie niepotrzebna, gdyby Kościół rządzący sam był zaradził wcześnie szerzącemu się złemu. Nastąpiło to jednak dopiero wtenczas, gdy już prawie całe Niemcy, Anglia, Szwecya, Dania i Szwajcarya były oderwane od Kościoła.

Nie potrzebujemy jednak aż tak daleko sięgać. Smutne wypadki częstochowskie pouczają nas wymownie, do czego prowadzi zamykanie oczu na złe, aby tylko nie drażnić, aby nie gorszyć. Skutek zwykle ten, że w końcu zło samo się wykrywa i nastaje większe jeszcze zgorszenie, które nieobliczalne szkody wyrządza społeczeństwu. "Pincipus obsta!" — mówi dobrze znane przysłowie łacińskie.

Toż samo i u nas się powtarza. Wydarzają się np. jakieś istotne nieporządki w jakiejś osadzie lub parafii polskiej. Pokrywamy to wszystko zwykle płaszczykiem milczenia, dobrodusznej pobłażliwości i wyrozumiałości dla siebie samych, tłumimy po cichu zło jak możemy, aby tylko się nie wykryło, aby uniknąć krytyki i zgorszenia lub szyderstwa wrogów. I cóż się dzieje? Niezadowolenie i niechęć długo tłumiona wybucha z wulkaniczną siłą, powstają zaburzenia i gwałty, a wierni odrywają się od Kościoła. Nie jestże to geneza całego ruchu niezależnego w Ameryce?

Na zakończenie objaśniam niezwykły tytuł niniejszego artykułu. Powiadają myśliwi, że gdy struś znajduje się w niebezpieczeństwie, zagrzebuje swą głowę w piasek, myśląc, że tem samem uniknie grożącego mu niebezpieczeństwa. Podobnie i małe dzieci, skoro ukryją swą główkę na łonie matki, sądzą, że ich nikt nie widzi i nic im już nie grozi. — Strzeżmy się zdradliwej strusiej polityki!

Ks. W. Kwiatkowski, C. R.

Z ERIE, PA.

(Korespondencya "Gaz. Polsk.")

Kolegium ks. ks. Misyonarzy pod wezwaniem św. Jana Kantego w Erie, Pa. przyjmuje uczniów w wieku między 11 a 15 roku życia do klasy przygotowawczej i I klasy kolegialnej. Opłata roczna wynosi $200 prócz wyprawy. Uczniowie zgłaszać się mogą listownie, dołączając: a. metrykę chrztu, b. świadectwo lekarskie, c. świadectwo moralności od swego ks. proboszcza, d. świadectwo ostatnie szkolne.

Program zakładu i bliższe wskazówki wysyła się na żądanie.

Zgłaszać się można do 1 września.

Rok szkolny rozpoczyna się 8 września uroczystem nabożeństwem.

Wszelkie listy prosimy przesyłać pod adresem:

Rev. Vł. Konieczny
Rector of St. John Kanty College,
Erie, Pa.
|G. 26|...

Z AMSTERDAM, N. Y.

(Korespondencya "Gaz. Polsk.")

Dzięki ofiarności i religijności ludu polskiego, stanął tu drugi wspaniały kościół polski pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela w dzielnicy zwanej "Filipiny" — a proboszczuje tam ks. Jan Nadak.

Budowa tego gmachu kosztowała $62.000. Przed pięciu laty w tem miejscu gdzie się wznosi wspaniała świątynia były tylko krzaki i zarośla. Dziś rozwija się coraz piękniej polska dzielnica.

— W dniu 9 maja zdarzył się tu tragiczny wypadek. Antoni Mikucki który pracował w fabryce, gdzie wyrabiają koperty, malował sufit przyczem tak nieostrożnie przysunął się do pasu transmisyjnego, że ten go porwał za ubranie i rzucił taką siłą o ścianę że na miejscu ducha wyzionął. Nieszczęśliwy liczył lat 41 a osierocił ośmioro drobnych dzieci, którym przed czterema miesiącami umarła także matka.

B. Jurewicz.

KORESPONDENCYA REDAKCYI.

Ob. S. Polczyński, Milwaukee, Wis. Roczniki z lat 1875 i 1876 spaliły się.

Ob. W. Magiera w Schenectady, N. Y. — Gazetom nie wolno podawać tego rodzaju ostrzeżeń. Jest to rzecz policyi.

Ob. W. O. w Wilmington, Del. Korespondencyi w tonie polemicznym pisanych nie pomieszczamy. Dział "wyjaśnień" zaprowadzimy później nieco, na razie zatem lepiej pytań nie stawiać.

Ob. B. I. z Three Rivers, Mass. Nie uznajemy "patryotyzmu" opierającego się na popieraniu "polskich zaluniarzy" i dlatego w koszu.

Z krainy przesądów.

Niema społeczeństwa najbardziej nawet ukształconego, któreby w zupełności otrząsło się z nieokrzesania i ciemnoty, zwanych zabobonem lub przesądem. Wprawdzie stają się one dzisiaj coraz bardziej cechą tej warstwy, która najmniej ociera się o cywilizacyę, nie brak jednak przesądów, którym chętnie, przez samą moc nawyknienia, ulegają ludzie, mający zkądinąd pretensyę do oświaty. Jestem pewny, że niejedna z pięknych moich czytelniczek chętnie odłoży podróż z piątku na sobotę, byle nie jechać w dzień "feralny".

Postaramy się w kilku treściwych słowach nakreślić obraz przechowujących się po dziś dzień u nas i sąsiednich nam ludów przesądów.

U południowych Słowian i w większej części krajów austryackich panuje zwyczaj zapraszania gościa do siedzenia, chociażby ten tylko chwilowo ukazał się we drzwiach. Jeżeli bowiem gość nie usiądzie, wyniesie z pewnością ze sobą sen dziecka.

Dla tych samych względów matki nie pozwalają kołysać próżnej kolebki, a w niektórych okolicach zawieszają też na drzwiach powijaki, by przepędzić "śpika", ilekroć dziecko nie da się uśpić i bardzo "matyjasi".

Mnóstwo przesądów przywiązuje się do liczby. Nieparzyste rzadko przynoszą szczęście. Jużto licho zawsze lichem. Wyjątek stanowią jedynka i trójka, prawdopodobnie wskutek wiary w jednego Boga i w trzy osoby Trójcy. Dlatego to trzykrotny znak krzyża, trzykrotne pokropienie wodą święconą, trzykrotne zaklęcie, trzykrotne nasmarowanie się maścią, wszędzie i zawsze mają działać zbawiennie.

Z liczb nieparzystych fatalna siódemka zawsze jest złowrogą, a bardziej jeszcze obawiają się trzynastki. W iluż to domach, ilekroć zbierze się liczniejsze towarzystwo, które dostrzegłszy fatalną trzynastkę za stołem, zwróceniem na to uwagi obecnych psuje najweselsze usposobienie. Najczęściej dobierają w tym razie czternastego biesiadnika, lub ktoś z obecnych ustępuje dobrowolnie. Trzynastka za stołem wróży bowiem rychłą śmierć jednej z siedzących za stołem osób.

Niektóre przesądy datują się jeszcze z czasów auspicyów rzymskich, t. j. wróżb z lotu ptaków i innych tym podobnych prognostyków. Starzy myśliwi dostarczyli nam niejednego przykładu. Znam ludzi, wolnych skądinąd od przesądów, nie umiejących się opędzić pewnej obawie na widok czarnego kota lub starej kobiety — nawijających im się naprzód na drodze, przy wyjściu rano z domu.

Tracą humor, przewidując w tem coś niedobrego dla siebie. Im szpetniejsza kobieta, tem gorsza wróżba. Wielu żywi dziwne uprzedzenie do ryżych, garbatych, jednookich, chromych, zyzowatych, zeszpeconych ospą, trądem, lub w jakikolwiek inny sposób "naznaczonych".

Zły to omen, jeżeli ktoś lewą nogą z łóżka wstanie, lub na lewą nogę but włoży; niektórzy mówią nawet: "wszystko mi dzisiaj idzie lewo".

Prawie wszędzie w Austryi przypadkowe oblanie kogoś kawą, piwem lub winem, wróży mu rychło chrzciny. Niedobrze jest położyć przez zapomnienie na stole but lub trzewik, lub sól rozsypać. Na zażegnanie złej wróżby, sypią trzykroć za siebie sól końcem noża i tyleż razy się żegnają.

Jeżeli chłop galicyjski przy rozsypaniu soli nie wymówi słowa, znak to dobry, w przeciwnym razie czeka go coś złego. Napewno spotka go jakieś licho, jeżeli przypadkowo położy bochenek do góry grzbietem. Służące spotkawszy raniutko kominiarczyka, poczytują to sobie za bardzo dobrą wróżbę, niektóre nawet kładą do woreczka kawałki miotły... by zawsze miały pieniądze. Znane jest chuchanie w dłoń, na szczęście, przy braniu zapłaty.

W niektórych miejscach to samo robią z drobiem, jeżeli nie okazuje chęci do żeru. Ten sam cel ma szmatka czerwona zawieszana niekiedy na klatkach.

Niech spadną nożyczki, pióro, nóż, widelec i utkwią ostrzem w podłodze — wyglądaj niespodzianych odwiedzin; niech zaskwierczy drzewo w piecu — skarży się w czyśćcu duszyczka; pluń w ogień trzy razy i zmów trzy zdrowaśki... a sprawisz jej niewysłowioną ulgę.

Spadnie obraz, zwierciadło lub inny przedmiot ze ściany, trzaśnie mebel, pęknie szklanka w szafie, zapuka coś nagle do okna lub do drzwi — wszystko to jest nieomylnym zwiastunem śmierci krewnego lub przyjaciela.

Wiadomo powszechnie, co wróży wołanie puszczyka i wycie psa. Tylko celny strzał i przybicie za skrzydła puhacza na drzwiach obory, odwrócić może nieszczęście. Zwykle gromadzą się wtedy przy oborze domownicy i wołają: teraz już nie wywołasz nikogo.

Kto na wiosnę usłyszy kukułkę, niech dobrze liczy, ile razy zakuka. Ptak wróży na lata jego życia. Jeżeliś usłyszał kukułkę przed świętym Janem, pomacaj kieszeń, jeżeli zabrzęczy — przez cały rok będziesz przy pieniądzach. W niektórych okolicach, jeżeli dwie osoby zowią się przypadkiem na jedno i to samo słowo, znaczy to, że zakochana parka w tym samym dniu się połączy. Kichnięcie oznacza wszędzie stwierdzenie prawdy tego, co się rzekło. Lud galicyjski i bukowiński utrzymuje, że kto w poniedziałek kichnie naczczo, temu przez cały dzień się nieszczęści.

Gdy drzwi się same rozewrą, lub coś zachrobocze w kominie, znak to nieomylny szczególnych jakich odwiedzin; na przyjęcie gości kot się umywa, na deszcz pies żre trawę.

Wszystkie prawie z wyliczonych przesądów przypominają nam żywo nasze dzieciństwo i lud, pośród którego wyrośliśmy. Piastuje on je jako tradycyę i żywi dla nich wiarę mniej więcej głęboką.

Cząsteczka, jakąśmy podali, daleką jest od wyczerpania przedmiotu. Ileż to przesądów przywiązywanych jest do urodzenia, śmierci, zamążpójścia, siewu, chowu bydła, pożaru, pogody i słoty.

Niektóre gospodynie, zanim się rozstasują na nowem locum, nie zaniedbują nigdy zawinąć kawałek cukru, chleba, soli i drzewa w papier, który chowają w kąciku mieszkania, przekonane, że dopóki tutka leżeć tam będzie nietkniętą, dopóty nie zabraknie w domu ani wiktuałów, ani piwa. Czterolistna koniczyna przynosi szczęście; powiadają też: szczęśliwe oko co ją zoczy, nieszczęśliwa ręka co ją zerwie. Zwykle zrywają ją dlatego zębami, tuż przy korzeniu.

Przypadkowe rozbicie szklanki rokuje pieniądze, ale zbicie lustra pociąga za sobą przez siedem lat kłopoty. Spotkanie pająka wieczorem wróży dobrze, źle jeżeli natrafisz nań rano. Dlatego to w wielu okolicach bez skrupułu zabijają rano pająka, wieczorem zaś poczytaliby sobie to za grzech. Galicyanie zwłaszcza żywią bogobojną cześć dla pająka, za nic w świecie go nie ruszą, ktoby go zabił dwakroć nieszczęśliwy.

W niektórych okolicach pająk, zwłaszcza krzyżak, jest wyrocznią przy grze w loteryą. W szklankę przykrytą podziurawionym papierem, wrzucają wypisane na karteczkach liczby do dziewięćdziesięciu, wpuszczają pająka i baczą na te, które najpierw go do góry wciągnie. Ułożony z nich numer wygrywa napewno.

Dość powszechnym jest przesąd, że w chwili spadania gwiazdy spełnia się wszystko cokolwiek pomyślimy. Wiedzą wszyscy, że kto w piątek skacze ten w niedzielę płacze i odwrotnie. Pchła na ręku — list w domu. Wieje wicher — ktoś musiał się powiesić; swędzi nos albo prawe oko — niechybny gniew; swędzi lewe — zobaczysz coś pięknego. Czknąłeś — ktoś z nieobecnych cię wspomniał; zebrała ci się ślina w bańkę na języku — ktoś cię ogadał. Zadzwoniło ci w uchu — trafna odpowiedź i tak bez końca.

Prawie wszystkie narody słowiańskie wierzą w szkodliwy wpływ uroku niektórych ludzi na zwierzęta. Niektóre przypisują go i słowu. Przy zwiedzaniu obory lub stajni baczą pilnie, aby wchodzący splunął przed progiem i nic się nie odzywał, bydlę bowiem urzeczone słowem słabnie wkrótce i zdycha. Urok wzrokiem przechodzi nawet na ludzi a zwłaszcza na dzieci: na psa urok, co za ładne dziecko, słyszymy często.

'Zwycięstwo' ks. hakatysty.

W Kluczborku przed izbą karną toczył się dnia 22-go maja proces o obrazę znanego księdza Fei. Ksiądz Feja napisał był w hakatystycznej i protestanckiej "Schles. Ztg." swego czasu artykuł, w którym napadał na Polaków, a osobliwie na duchowieństwo katolickie w Galicyi. Na ten artykuł odpowiedziano w obronie Polaków i polskiego duchowieństwa słów kilka w "Prawdzie" oleskiej, któremi się czuł obrażony ks. Feja i podał wniosek do prokuratora o ukaranie redaktora "Prawdy". W procesie wystąpił sam ks. Feja jako skarżyciel poboczny i nader gorąco domagał się ostrego ukarania redaktora. Rozmaite wnioski, stawione przez obrońcę, adwokata Kuderę, sąd odrzucił. Po trzygodzinnej rozprawie sąd skazał redaktora Bednarza na 500 marek kary i koszta. Przeciw temu wyrokowi będzie założona rewizya do Lipska, a pozatem poczynione zostaną starania, żeby się polscy biskupi i prałaci oraz inne duchowieństwo dowiedziało, co ks. Feja o nich w niektórych niemieckich gazetach pisał, a potem znajdzie się droga i do Rzymu, gdzie obszerne przedłożone będzie sprawozdanie z działalności pisarskiej ks. Fei i z procesów jego przeciwko naszym redaktorom.

Kongres żydowski w Katowicach.

Onegdaj rozpoczął obrady w Katowicach międzynarodowy zjazd ortodoksów żydowskich z udziałem także żydów warszawskich. Na zebraniu przedwstępnem przemawiali Munk ze Lwowa i Sznur z Tarnowa. Brauer z Hamburga mówił: "Tu, w Katowicach, powinniśmy jednogłośnie proklamować przed całym światem utworzenie naszego związku". Przemawiali rabin z Połtawy Markus z Krakowa. Rabin z Bazylei nawoływał do solidarności żydów "ze wschodu i zachodu".

Gaz. żyd. donoszą, że na międzynarodowy zjazd ortodoksów żydowskich wyjechali między innymi do Katowic członkowie zarządu gminy żydowskiej w Warszawie J. Wagmajster, Z. Białer, L. Prywes, H. Grosman, L. Dawidsohn, oraz kandydat M. Szwarcstein.

Z opisów tego kongresu zasługują na uwagę słowa członka komitetu organizacyjnego, p. Rozenheima, który rzekł:

"Kulturze światowej musimy przeciwstawić starą żydowską kulturę."

Dr. Frank stwierdził na kongresie że nowa organizacya "Związek Izraela" jest wynikiem narodowej działalności, jaką rozwinął syonizm.

Organizatorzy oznajmili że zbierają pieniądze na budowę fabryki "żydowskiej". Niejaki Faist ofiarował na ten cel 25,000 marek.

P. Szlosberg z Łodzi powitał kongres w imieniu łódzkiej gminy żydowskiej, obiecując pomoc z Łodzi na rzecz "fabrykacyi żydowskiej."

Przed zamknięciem kongresu ogłoszono rezolucyę taką: "Zebrani w Katowicach przedstawiciele nabożnych żydów, przestrzegających "tory" i przykazań we wszystkich krajach niewoli, po wysłuchaniu referatów, wyrazili zgodę i założyli "Związek Izraela |Agudas Izrael|, który będzie pracował dla wszystkich interesów żydów i judaizmu na podstawie wiary żydowskiej bez żadnego skłaniania się do jakiejkolwiek polityki."

Proces z powodu wyborów w Świecu.

W środę rozpoczął się przed sądem przysięgłych w Grudziądzu proces o rzekome rozruchy podczas wyborów dnia 26-go stycznia rb. Na ławie oskarżonych zasiadło 17 obywateli Świecia, a mianowicie:

Robotnik Antoni Łukowski, pomocnik fryzyerski Wieliński, pomocnik malarski Karol Inakiewicz mularz Józef Suskiewicz, pantoflarz Scharke, marynarz Andrzej Wilgorski, stolarz Gadziński, robotnik Piotrowski, krawiec Makowski, stolarz Leon Michałowski, malarz Bruno Hoffmann, marynarz Gajewski, robotnik Szymon Jurkiewicz, robotnik Franciszek Bona, pomocnik fryzyerski Ruminski, garncarz Bernard Krzyżanowski i pantoflarz Dombrowski. Oskarżonych bronią panowie adw. dr. Łaszewski i Wysocki z Grudziądza, Grabarz z Kwidzyna, Wawrowski z Świecia i 4 innych adwokatów z Grudziądza.

W sądzie.

Sędzia: — Powiedzcie mi, jak mogliście rozbić tak wielką i ciężką kasę?

Włamywacz: — Pan sędzia wybaczy, ale to jest już tajemnica mego zawodu!...

Trofea wojny z roku 1812.

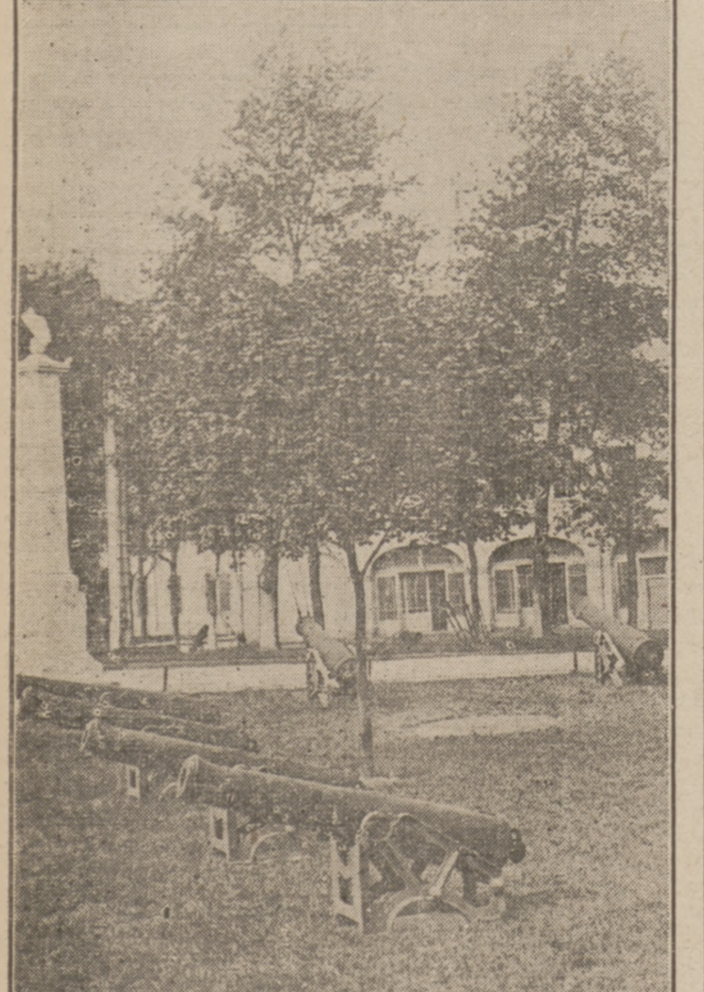


Photo by American Press Association.

W ogrodzie New York Navy Yard umieszczono siedem armat zdobytych na brytyjskiem okręcie wojennym Macedonian przez kapitana Decatur podczas wojny z Anglią w roku 1812. Bitwa morska z okrętem Macedonian była jedną z najważniejszych w tej wojnie.

Z Osad Polskich w Ameryce.

Z NOWEJ ANGLII.

Bijatyka na weselu. — Utopił się. — Nowy kościół. — Mordują się po pijanemu. Bigamista. — Para butów na spółkę.

W New Bedford Mass. ciągle bijatyki na weselach i zabawach polskich tak już naprzykrzyły się sędziemu Milliken, że nakazał on policyi przeprowadzić staranne śledztwo co do środków, za pomocą których możnaby awantury te powstrzymać. Bijatyki należą do zjawisk tak codziennych, że żadne wesele ani zabawa bez nich się nie odbędzie.

• • •

W Salem, Mass. dziesięcioletni Franciszek Kurzeński bawił się wraz z dwoma kolegami, jeżdżąc na deskach po wodzie przy jednej z węglarek, gdy w tem zdawało im się, że ktoś nadchodzi i chłopcy rzucili się do ucieczki. Dwaj z nich uszli do domu nie wiedząc nawet, że Kurzeński wywrócił się widać z deską i utonął. Dopiero późno wieczorem, nie wiedząc co się z nim stało, opowiedzieli oni o tem rodzicom Kurzeńskiego, rodzice zaś zwrócili się o pomoc do policyi, i po niedługich poszukiwaniach, znaleziono martwe zwłoki chłopca na dnie rzeki So. River.

• • •

W New Haven, Conn., w niedzielę, dnia 19 maja odbyło się poświęcenie kamienia węgielnego pod nowy kościół polski na narożniku przy ul. Eld i State. Ceremonii dopełnił biskup dyecezyi hartfordzkiej J. E. ks. Nilan, w asystencyi licznego duchowieństwa. Kazanie wygłosił ks. Cepka z Meriden. Z pośród księży polskich obecny był także ks. Głogowski z Philadelphii, który przedtem pracował w New Haven. Nowy kościół w New Haven, zbudowany będzie kosztem 75 tysięcy dolarów, pod wezwaniem św. Stanisława b.

• • •

W Ipswich, Mass., dnia 1go maja otwarte zostały saluny i tegoż dnia, podpiwszy sobie, niejakı J. Fido, polak pochodzący z Galicyi, zamordował na ulicy również pijanego polaka Jana Bardziela. Obydwaj pili z początku w salunie w dobrej zgodzie i dopiero kiedy zalali sobie głowy, przypomniały im się dawne urazy i w drodze do domu, Fido porżnął nożem Bardziela tak, że ten zaraz nazajutrz wyzionął ducha w szpitalu. Pogrzeb zmarłego odbył się z kościoła polskiego w Ipswich. Morderca jego zbiegł z Ipswich natychmiast i poszukuje go policya.

• • •

W Portland, Me., aresztowano Józefa Rudzińskiego, znanego również pod przybranem nazwiskie Macioszka, za bigamię. Rudziński uciekł od żony ośm lat temu i przyjechawszy do Ameryki, ożenił się z jakąś dziewczyną z Cambridge i zamieszkał z nią w Portland. Obecnie w poszukiwaniu za nim przyjechała ze starego kraju jego pierwsza żona i dowiedziawszy się gdzie on mieszka, dała znać o wszystkiem policyi, która zabrała pana brata do ula.

• • •

W Adams, Mass., do sklepu z obuwiem Franciszka Szeteli zgłosiło się równocześnie dwóch kulawych polaków — jeden z Adams, a drugi z Windsor, i kupili na spółkę parę butów. Jednemu z nich potrzebny był but na prawą a drugiemu na lewą nogę, to też doskonale podzielili się jedną parą, zyskując na tem, bo każdy zapłacił tylko za jeden but, podczas gdy przedtem, kupując w pojedynkę, musiał płacić za parę, gdyż nie chciano mu w sklepie sprzedać jednego buta z pary.

Z ERIE, PA.

Poświęcenie sztandaru gn sokolego.

We czwartek, dnia 4-go lipca odbędzie się w kościele św. Trójcy uroczyste poświęcenie sztandaru tow. gimnastycznego Sokół Polski No. 123. Gniazdo to należy do Związku Sokołów Polskich i jest pod opieką św. Kazimierza.

Prezesem tegoż jest pan Wawrzyniec Stachowski, a kapelanem ks. S. E. Niedbalski, który też dokona aktu poświęcenia.

Wielu wybitnych obywateli i obywatelek będą z tej okazyi chrzestnymi.

Uroczystość odbędzie się o godzinie 10-tej rano i zapowiada się wspaniale, jako wypada w dzień narodowego amerykańskiego święta. Spodziewanem przeto jest, że liczne szeregi towarzystw życzliwych udział wezmą w tej uroczystości.

Z CURTIS BAY, MD.

Wypadkowa śmierć przy pracy.

Ś. p. W. Walczak, liczący 24 lata, pochodzący z gub. Grodno, pow. Bielsk, przybył do Stanów Zjednoczonych przed dwoma laty. Początkowo pracował w kopalniach węgla w Pennsylvanii, skąd przed siedmiu tygodniami przybył do Curtis Bay. Tu dostał pracę w fabryce "Essikowni" u Davison Co. dnia 7 maja o godz. 3 po południu spotkał go nieszczęśliwy wypadek. Spadł na niego t. z. "tops", z ciężarem do 4½ tony. Został tak strasznie pognieciony, że zmarł w parę godzin po przywiezieniu go do szpitala Mercy, w Baltimore. Pogrzeb odbył się dnia 11go b. m. o godz. 4 po południu z kościoła św. Atanazego, na cmentarz św. Krzyża.

Ostatnimi czasy mieszkał p. n. 11 W. Cypress ul. u państwa H. Karwowskich, którzy zajęli się jego pogrzebem. Śp. W. Walczak nie miał tu nikogo z rodziny. Pozostawił w Europie osieroconego ojca, braci i siostry.

Z LOS ANGELES, CAL.

Bernard Górecki podpalaczem.

Bernard Górecki został skazany przez sędziego Lawlora na 5 lat pobytu w zakładzie karnym w St. Quentin za podpalenie. Udowodniono mu podpalenie domu pani Kat. Henry dnia 4 lutego. Za tę samą zbrodnię procesowany był Zygmund Kowalski, ale proces odłożono z powodu śmierci dziecka Kowalskiego.

Z MILWAUKEE, WIS.

Edward I. Słupecki na wolności.

Edward I. Słupecki, dawniej dobrze znany w Milwaukee agent realności, który przed 16 laty wyjechał z Milwaukee, pozostawiając za sobą długi, powrócił przed paru tygodniami do Milwaukee z Los Angeles, California i dobrowolnie oddał się w ręce policyi. W sądzie dystryktowym został uwolniony od wszelkiej odpowiedzialności, gdyż długi pospłacał.

Słupecki zwrócił wierzycielom $3,700. Pieniądze te uzyskał przez zaciągnięcie hipoteki na nowy dom w Los Angeles. Będąc w tem mieście, gdzie również prowadził interes sprzedaży gruntów przybrał nazwisko Shermana i dobrze mu się powodziło. Dwu synów Słupeckiego, jeden lat 14, drugi 12, uczęszcza do szkoły w Chicago. Zdaje się, że Ed. Słupecki pozostanie w Milwaukee i tu zacznie na nowo żyć, lub też wyjedzie do Chicago. Przedtem Słupecki brał czynny udział w życiu tutejszej Polonii i był majorem w stanowej milicyi.

Z SAGINAW, MICH.

Polak ukradł brylant.

Po zaciętej walce aresztował detektyw Parker Owen, Franka V. Bonusa, rzekomo polskiego robotnika, liczącego 35 lat, na którego padło podejrzenie, że jest sprawcą kradzieży brylantów, wartości $4000 na szkodę chicagoskiego milionera Ryana.

Bonus miał się bronić zaciekle i dopiero uległ silnym uderzeniom pałki policyjnej w głowę. Rany jego odniesione w walce są bolesne, ale widać, że niezbyt niebezpieczne, skoro nie odwieziono go do szpitala, lecz na stacyę policyjną.

Ryan został okradziony w piątek, kiedy znajdował się w "Palmer House." Wskazał on Bonusa jako sprawcę kradzieży, gdyż Bonus miał u niego dzień przedtem myć okna i rozglądać się w sytuacyi.

Po uwięzieniu Bonusa, zaprzeczał on, jakoby był sprawcą kradzieży dyamentów, ale były pewne poszlaki jego winy i te okazały się prawdziwe.

Ukradzione klejnoty odnaleziono.

Z WINONA, MINN.

Bilicki zginął pod kołami pociągu. — Szukają skarbów

Ludwik Bilicki, syn Andrzeja Bilickiego, zam. pod nr. 680 zach. 4ej ul., a zatrudniony na farmie Werdycha w Minnesota City, najechany został w poniedziałek nad ranem przez pospieszny pociąg kolei Milwauckiej około milę od Minnesota City. Przewieziono go do szpitala, gdzie po kilku godzinach żyć przestał. Miał on rękę poszarpaną, czaszkę pękniętą i kilka guzów na ciele. Nieboszczyk oprócz rodziców pozostawia czterech braci i cztery siostry. Pogrzeb odbył się w środę z kościoła św. Kazimierza.

• • •

Krewni pozostali po zmarłym Michale Zoppa w Prescott, na północ od Winony, poszukują teraz skarbów, kopiąc ziemię w rozmaitych miejscach. Zmarły, który był znanym skąpcem, składał przez całe życie swe oszczędności i chował na polu w różnych miejscach. Krótko przed śmiercią zaniemówił, a gdy żona go zapytała o skarbach, nie mógł jej już dać objaśnienia. Wkrótce umarł, a teraz poszukują krewni jego za skarbami.

Z DETROIT, MICH.

S. Wiśniewski zamordował Wiktoryę Gogolewską.

Straszna tragedya miała miejsce na Medbury ave.

Stanisław Wiśniewski, objawszy silnie ramieniem Wiktoryę Gogolewską, z ustami na jej ustach, przyłożył lufę rewolweru do jej policzka i strzelił, kładąc ją trupem na miejscu. Był to już piąty z rzędu strzał.

Gdy go oderwano od umierającej, Wiśniewski krzyczał w uniesieniu.

"Pocałowałem ją — pocałowałem ją raz zanim umarła. Jest to po raz pierwszy i ostatni. Teraz zabijcie mnie, jeżeli chcecie — ja nie dbam!"

Stanisław strzelił do niej pięć razy; dwa razy strzelił w jej mieszkaniu, drugie dwa gdy biegł za uciekającą po Medbury avenue, na widoku tłumu spacerowiczów i ostatni, gdy złapał ją i objął ramieniem, biorąc od niej ostatni pocałunek.

Józef Krause, który się znajdował po drugiej stronie ulicy, był zaledwie o kilka stóp od Wiśniewskiego, gdy ten strzelił po raz ostatni. Za chwilę Wiśniewski został powalony na ziemię przez Józefa Krause, podczas gdy brat jego, Karol Krause, wydarł Wiśniewskiemu z ręki rewolwer. Poczem bracia Krause zbili go do nieprzytomności. W kilka sekund zebrał się tłum ludzi, którzy chcieli wykonać samosąd nad mordercą i tylko przybycie policyi ocaliło go od strasznej śmierci z rąk rozwścieczonego tłumu.

Wiśniewskiego przewieziono najpierw na stacyę policyjną Canfield ave., lecz gdy tam nie można mu było przywrócić przytomności, przewieziono go do szpitala św. Maryi. Tam doktorzy uznali, że stan jego nie jest zbyt poważny.

Strzelanina rozpoczęła się w mieszkaniu w obecności matki i 13-letniego brata zamordowanej. Chłopiec ten — Dobiesław Gogolewski, wybiegł za Wiśniewskim, gdy ten gonił jego siostrę i ledwo nie zbił go z nóg, rzucając w niego cegłami.

Wiktorya Gogolewska miała 20 lat i mieszkała z rodzicami w domu pn. 625 Medbury ave. Przyjechała ona do Ameryki przed dwoma laty. Przez cały ten czas Stanisław Wiśniewski, lat 20, 1267 Dubois ulica, nie dawał jej spokoju, nagabując ją propozycyami małżeństwa.

Gogolewska odmawiała mu stale. Wiśniewski postanowił zamordować Gogolewską rok temu, gdy został po raz pierwszy przez nią odrzucony. Czas jednakże zabliźnił rany i wszystko zdawało się być zapomniane, gdy przed dwoma miesiącami Wiśniewski zaczął na nowo zwracać się do Gogolewskiej ze swemi afektami.

Wiktorya powiedziała matce swej, że ma zamiar skończyć ostatecznie z Wiśniewskim, ponieważ przeczuwała, co może nastąpić.

Około godziny czwartej po południu Wiśniewski wszedł do mieszkania Gogolewskich. Matka i brat Gogolewskiej znajdowali się w dalszych pokojach. Wiktorya zaś wyszła do frontowego pokoju i powiedziała Wiśniewskiemu, że nie życzy sobie nadal jego towarzystwa. Wiśniewski popatrzył na nią przez chwilę w milczeniu, jak mówi Dobiesław, który widział ich przez drzwi, prowadzące do następnego pokoju. Potem odpowiedział jej coś szeptem. Gogolewska powtórzyła jeszcze raz to samo. Wówczas Wiśniewski wyprostował się, w oczach zamigotały mu krwawe płomyki i sięgnąwszy ręką do bocznej kieszeni, wykrzyknął:

— A więc — umieraj!

Z temi słowy wyciągnął rewolwer i skierował lufę w jej stronę, pociągnął cyngiel dwa razy, podczas gdy oniemiała dziewczyna nie mogła się ruszyć z miejsca. Lecz naboje nie eksplodowały. Wiśniewski zaklął straszliwie i słowa jego przywróciły przytomność osłupiałej dziewczynie. Krzycząc w niebogłosy, wybiegła ona z domu — tuż za nią wybiegł Wiśniewski i wyciągnąwszy rękę, chwycił ją za włosy, rozrzucając je na plecy uciekającej. Dziewczyna wyrwała się i biegła dalej. Wiśniewski wówczas strzelił dwa razy — naboje eksplodowały, lecz żadna z kul nie dosięgła jej. Działo się to jeszcze na stopniach domu, prowadzących na ulicę.

Krzycząc i wzywając Boga na pomoc, Wiktorya z rozpuszczonemi na plecy włosami, biegła przez Medbury ave., tuż za nią biegł rozszalały Wiśniewski. W tem ujrzała otwarte drzwi w domu pnr. 635 Medbury ave. zamieszkałym przez pp. Zawilińskich i tam się skierowała, słysząc za sobą wystrzały rewolwerowe. Lecz drzwi zastała zamknięte, i tu ją złapał Wiśniewski.

Pierwsi przybyli na miejsce detektywi Zielke i Rick. Świadkami strzelaniny było wielu mężczyzn i kobiet, którzy mogli łatwo zatrzymać Wiśniewskiego, wyciągnąwszy tylko rękę, ponieważ uciekająca i goniący biegli tuż przy nich — lecz nikt nie miał na tyle odwagi, aby to uczynić.

Z SOUTH BEND, IND.

Uroczystość osdłonięcia naboju z okrętu Maine.

W ubiegły czwartek po południu na placu gmachu powiatowego przy nar. ulicy Main i Washington avenue, odbyła się wspaniała uroczystość odsłonięcia naboju [pamiątki] z okrętu bojowego 'Maine' zniszczonego wysadzeniem przez Hiszpanów w porcie hawańskim w roku 1898.

Na miejsce odsłonięcia przybyła reprezentacya umundurowanych Sokołów z gniazd M. Romanowskiego, Z. Balickiego i Gen. K. Pułaskiego i około naboju uformowano się w pół kole. Długą i wyczerpującą przemowę reprezentacyjną wygłosił adwokat Józef V. Wypiszyński, a w imieniu komisarzy powiatowych ofiarowany dar przyjął również po wygłoszeniu słów kilka, adwokat Herbert Warner. Aktu odsłonięcia naboju dokonała panna Marta Bilińska, pobok której stały dwie dziewczki, Wład. Bilińska i Rozpłochowska, trzymające amerykańskie chorągiewki. Panna Bilińska otrzymała prześliczny bukiet świeżych kwiatów.

Nabój powyższy powiatowi ofiarował miejscowy filantrop, ob. Ig. K. Werwiński, przez co podniósł znacznie imię miejscowych Polaków wobec obconarodowców.

POSZUKIWÁNIA.

Każdy abonent GAZETY POLSKIEJ ma prawo do jednorazowego pomieszczenia w tej rubryce ogłoszenia DARMO. Następne ogłoszenia płaci się 2 c. od słowa.

POSZUKUJE swego kolegi Br. Jelowieckiego, pochodzi z krakowskiej parafii, z okolicy Sułkany, ktoby o nim wiedział lub on sam, nech się zgłosi na adres: Antoni Jwanowski 305 W. Long AVe. DuBois, Pa.

CELESTYN POPŁAWSKI poszukuje brata swego J. Popławskiego. Rok temu przebywał w Boston, Mass. Niech się zgłosi na adres: Cel. Popławski Mosinee, Wis.

POSZUKUJE J. Nocoń swego kuzyna Ant. Porady i Hipolita Krzeszkiego i prosi obydwóch, żeby się zgłosili. Ja teraz jestem w Chester, Pa. z siostra. Adres: J. NOCON, 2114 Front str. Chester, Pa.

POSZUKUJE swego brata Teofila Labanowskiego, ma przebywać w Chicago, ktoby wiedział o nim lub on sam, niech da znać na adres: Zygmunt Labanowski 1121 — 5th st. LA SALLE, Ill. 22

JOZEF Kuczynski poszukuje swoich braci cioteczych Józefa, Jana i Walentego Andryszaka i Maryanny i Michała Kurowskich, którzy mają przebywać w Baltimore, Md. Ktoby z naszych czytelników wiedział o ich pobycie, niech zawiadomi Michała Kuczyńskiego, Manistee Oak Hill Mich.

NINIEJSZEM podaję do wiadomości publicznej, że poszukuję Andrzeja Słowińskiego, rodem z Galicyi a zamieszkałego w Lowell, który stąd drapnął. Ktoby wiedział o jego pobycie, niech napisze do K. Maliszewski, 19 South Str. Lowell, Mass.

ANDRZEJ Idlinski poszukuje swego brata Michała Idlińskiego, ktoby o nim wiedział niechaj się zgłosi, lub kto niech łaskaw zgłosi 803 Hastings Detroit Mich.

POSZUKUJE w ważnym interesie siostry Reginy Zagata, zamężna Regina Baran, pochodzi z Gronkowa powiat Nowy Targ, Galicya, przebywa podobno w Pa. Kto mi poda jej adres, otrzyma nagrodę. Stanislaw Zagata North Chicago, Ill.

POSZUKUJE żony, która 15 kwietnia odeszła z domu. Poszli z bortnikiem, wzięli ze sobą dziecko, chłopczyka ośmiomiesięcznego. W domu zostało jeszcze 6 dzieci. Oboje są jednakowego wzrostu po 5 stóp, ona blond włosy i górnych zębów niema. Ma lat 36 —, on ma wielki znak nad prawem okiem, jak go w kopalni pobito, liczy 25 lat, brunatne włosy, pochodzą z Prus. Chce zrobić porządek z dziećmi. Jak się nie dowiem gdzie oni są to ich policyjnie każę szukać. Za zawiadomienie wynagrodzę. J. Michalak BoX 190, Bentleyville, Pa.

POSZUKUJE Józefa Kolbusza rodem z Narkuszowy pow. Strzyżów, Galicya. Służył on przy wojsku w Przemyślu przy 8 pułku dragonów. Wyjechał do Ameryki jeszcze przed 6 laty. Zgłosić się pod adresem: Jan Niedzielski, Munising, Mich. P. O. BoX 14.

POSZUKUJE swego półbrata I. Urbańskiego, rodem z wioski Smolenta, gmina Szczawin Kościelny, pow. Gostyń, gubernia Warszawska, Królestwo Polskie. Potrzebny w bardzo ważnej sprawie. Niechaj się zgłosi do Fr. Sygulskiego, 926 Milton AVe. Syracuse, NY.

JEŻELI kto znał Antoniego Olczaka albo on sam to ogłoszenie widział, to proszę dać znać Janowi Olczakowi No. 1218 — 1th AVe Beaver Falls, Pa.

PASZUKUJE Aleks. Urbańskiego, ktoby wiedział lub on sam, niechaj się zgłosi na adres: J. Sarnicki, Mobile Pulley Mach. Works, Mobile, Ala.

JAN KWIATKOWSKI poszukuje swego syna, już minęło 11 miesięcy jak opuścił rodzicielski dom i nie daje znać o sobie. Niech się zgłosi lub ktoś doniesie do Jan Kwiatkowski, 143 Everett str. Toledo, Ohio.

POSZUKUJE polskiego balbierza, który się dobrze zna na swoim fachu. Stała praca i dobra pensya. Angielski język niewymagalny. Józef Mrówczyński, 760 N. Washington str. Wilkes Barre, Pa.

POSZUKUJE brata Marcela Stojek, przebywa w Detroit, Mich. Ktoby o nim wiedział, niech raczy podać adres lub on sam. Marcin Stojek, 5 Clover st. Newark, N. J.

A. MAJEWSKI z T. T. raczy podać adres Hornema M. Heaton, New Mexico.

POSZUKUJE w bardzo ważnej sprawie Adama Lompek. Ktoby wiedział jego adres lub on sam niech mi łaskawie doniesie. Fr. Muszyński, 22 Briggs st. Portland, Me.

D. K. POSZUKUJE Marcina Kalińskiego, zgłosić się pod 1825—3 AVe, WATERVLIET, N. Y.

FRANEK JAWOR, Kochana Siostro, Rozalio Jawor, proszę zgłosić się listownie, adres. FRANK JAWOR, P. O. Corey, Alabama BoX 476.

WALERY Wyrwicz poszukuje żony swojej Michaliny z domu Pietkiewicz — średniego wzrostu, silnie zbudowana, na twarzy czerwona, włosy czarne, wyjechała w ubraniu bronzowem z Adamem Holek lat 25, bez wąsów, na twarzy czerwony, włosy jasnoblond, włosy do góry zaczesane, wzrostu średniego, silnie zbudowany. Ktoby wiedział o miejscu ich pobytu, niech raczy donieść pod poniżej podanym adresem a otrzyma $5.00. W. WYRWICZ, 107 Abot st. Lawrence, Mass.

C. i K. KONSULAT austryacko-węgierski w Pittsburgu, Pa. poszukuje Dmytra Sawczuka, pochodzącego z Głuszkowa, powiatu Horodenka, w Galicyi, 41 lat liczącego, mieszkającego w ostatnim czasie w Vandergrift, Pa. Ktoby wiedział o nim, niechaj da znać KONSULATOWI austryacko-węgierskiemu w Pittsburgu, Pa.

W SPRAWIE SPADKOWEJ Raniszewskiego wzywa się niewiadomych z miejsca pobytu prawnych spadkobierców, ażeby na podstawie wyroku z dnia 31 grudnia 1900 roku zgłosili sw. oświadczenie do spadku po uznanym za zmarłego piekarzu i cukierniku, Stanisławie Kostka Raniszewskim z Poznania, z udowodnieniem praw do spadku po tymże zmarłym do dnia 8-go czerwca 1912 roku, godziny 12 w południe i takowe zgłosili w niżej podpisanym sądzie.
GNIEZNO, dnia 8 go lutego 1912 roku, Królewski Sąd.

POSZUKUJE do Spółki dobrego i prawdziwego Buczera Polskiego, pieniądze niewymagalne, aby był tylko dobry biznesista. Ktoby się zgłosił, proszę pisać na adres: Mr. Jaworski 56 Arthur str. Hamilton Ont. Canada. 22

MARCIN KUMORASKI z gub. Radomskiej powiat Sandomierz, wieś Zajeziorze poszukuje swego ojca, który przemieszkiwał w Nowym Yorku, a teraz niewiadomo, gdzie. Przyjechałem do Ameryki 7 Maja tego roku. Proszę mi dać znać do: WHITE STONE Baks 150 LI. NY.

POSZUKUJE swoich stryjecznych braci Józefa i Feliksa Gołasieńskich, 6 lat temu przebywali w Chicago, ktoby o nich wiedział lub on sam, niecnaj się zgłoszą na adres:
Anna Stachowiak P O BoX 133 Bremond TeXas. 24

POSZUKUJE Pani Urbańskiej, która mieszkała 5256 Maplewood w ważnej sprawie. Proszę się zgłosić jutro do A. Przekwas, 1400 W. DiVision ul. Chicago.

POSZUKUJE w bardzo ważnej sprawie Józ. Szujewski Jana Pelco. Dawniej zamieszkiwał przy 8-ej AVe. i Grant ulicy. Ktoby o nim wiedział, niech łaskawie da znać pnr. 12 Center ulica, Milwaukee, Wis.

POSZUKIWANY Julian Suchocki — Miller Shmith wzrostu 5 i pół stóp a towarzyszka wzrostu 5 stóp. Mają przy sobie 1800 rubli w rewersach lub kuponach. Kto pierwszy doniesie o tej parze, otrzyma $50 nagrody. Augustyn Sawulianis 603 ByX St. Homestead, Pa.

POSZUKUJE swego syna Stanisława Lewandowskiego, opuścił dom w dzień Bożego Narodzenia, ma lat 18, wzrostu średniego, twarz biała, pociągła, nos mierny a mówi po angielsku i po polsku. Kochany synu, jeżeli żyjesz to wróć do nas bo cię opłakujemy. W domu wszystko dobrze. Może kto będzie wiedział z naszych rodaków, to niechaj raczy nam donieść o jego pobycie. Fr. Jan Lewandowscy, 52 East 24th St. Bayonne, N. J.

POSZUKUJE siostry Anny Klejnowskiej która przebywała w Bostonie, ktoby o niej wiedział, to niechaj da znać na adres. Aleksander Klejnowski 173 Main st. Passaic, N. J.

POSZUKUJE Jakób Patla swego syna Jana Patle, który zginął bez wieści. Wybierał się do kraju, ale w kraju go niema, za podanie jego adresu zapłacę 5 dolarów. Jakób Patla, lb 162 Jerome, Pa. Somerset Co.

POSZUKIWANY Jest Jakób Maniecki przez matkę. Niech się zgłosi pod adresem Marya Piwowarczyk, dla Borowskiej, ul. Brzeska No. 7 mieszk. 15 Warszawa Poland Rusia, Europe.

POSZUKUJE Teklę Chmielowicz po mężu Chmielowiec, córkę Józefa i Maryi Wąsików z Poręb Dębskich w Galicyi. Do Ameryki przybyła przed 10 laty i początkowo kilka miesięcy mieszkała u Jana Piaseckiego w New Yorku. Poszukuję ją w bardzo ważnej sprawie. Kto mi poda jej adres, dam $20.00 nagrody.
Jakób Chmielowicz Greyrok Place, Chester, NY.

POSZUKUJE swoich krewnych Wiktora Karola i Zygmunta Specyalskich z p. Lipnowskiego ze wsi Maliszewo i Ad. Kołkowskiego i Jana Łukaszewskiego S. Łukaszewski, który jest tu od paru miesięcy w Ameryce. Ktoby o nich wiedział lub oni sami, niechaj dadzą znać do S. Łukaszewskiego 257 W Central AVE. TitusVille, Pa. 26

POSZUKUJE swego sąsiada Konstantego Lipskiego Adam Subartowicz. Lipski mieszkał na północnej stronie miasta pnr. 4631 So. Ashland AVE. gdzie chwilowo zamieszkuje.

KATARZYNA KWASZOWSKA poszukuje rodziców Józefa i Anieli Ogorzałków, którzy pochodzą z Galicyi. Przebywali w mieście Cohous NY. Ktoby o nich wiedział lub oni sami, niecha adresują: Katarzyna Kwaszowska 1338 Burnett AVE Syracuse, N. Y.

DLA uniknięcia rodzinnej nieprzyjemności poszukuje się w bardzo ważnej sprawie braci lub szwagrów B. Plena, pochodzącego ze starego Sącza. J. Kałużniak 80 Belmont AVe. Newark NJ.

POSZUKUJE Klementyna Płońska swego męża Wincentego Płońskiego z gub. Łomży powiatu Mazowieckiego, gminy Kowaleszczyzny, wsi Płonki Strumiane. Ktoby wiedział o nim albo on sam, proszę się zgłosić do: Klementyna Płońska 29 John str. Tarrytown, NJ.

POSZUKUJE Emilii Zukotyńskiej. Zgłosić się pod adres: Stefania Kostecka, 409 — 5th str. New York.

POSZUKUJE się w ważnej sprawie Katarzyny Mores lub Mares, która dnia 30 kwietnia 1911 roku była świadkiem śmierci p. Waleryi Bochenek w Cedar Rapids, Ia. przez wypadek elewatoru w hotelu Montrose w Cedar Rapids, Iowa. Katarzyna pracowała wówczas w hotelu jako pokojówka. Ktoby o niej wiedział lub ona sama, niechaj się zgłosi do Ant. Niemca 2221 Whipple ul. lub Ant. Perciwal, Pokój 1016 — 29 So. La Salle ulica, Chicago.

POSZUKUJE swego męża Józefa Sochackiego, który przebywał w Eccles, W. Virginia. Ktoby wiedział o nim lub on sam, niech da znać do Anny Sochackiej, 380 Oakland str. Brooklyn, N. Y.

POSZUKUJE roboty na farmie, jestem człowiekiem religijnym i polakiem. Zabrałbym także moją 16 letnią córkę, która rozumie się dobrze na pszczelnictwie i przy pracy farmerskiej. Ktoby z szan. Czytelników nastręczył mi taką farmę, dam wynagrodzenie 5 dolarów. Adres: Maciej Czajkowski, Sewart AVe. 211. Grand Rapids, Mich. 22

POSZUKUJE towarzyszki życia lub młodej kochającej wdowy., któraby posiadała jeden tysiąc dolarów — ja posiadam 50 akrową farmę i liczę lat 30. Proszę o fotografię. Błażej Gaddon Morgan Co. Stoners, Tenn. 22

WŁADYSŁAW BIEDRZYCKI poszukuje swoich kolegów Franciszka Kłonicka i Aleka Olszewskiego, niech się zgłoszą pnr. 580 Warren AVe. w salonie w Chicago.

POSZUKUJE siostry Julii Bonczak, która przebywała ostatnio na ulicy Bunker. Prawdopodobnie pracuje w restauracyi. Ktoby o niej wiedział, lub ona sama, niech się zgłosi na adres. St. Bonczak 1117 S. Jefferson ul. blisko 12-ej ulicy.

POSZUKUJE niejakiego Stanisława Naszewskiego. Kto go zna, niechaj się zgłosi do Teofil Cryż — 2112 Lubeck str. Chicago.

JAN KNIAZ poszukuje Stefana Kręta. Ktoby mnie o nim doniósł, dostanie 5 dol. nagrody. Martins Ferry Ohio, 509 Main str.

ANNA Giamżowa poszukuje swojego męża, pochodzi z gub. Kowieńskiej. Ona z gubernii Wileńskiej, pow. Trocki, gminy Somieliszki wsi Bugdańcy. Ktoby wiedział o niej, niech da znać do Anny Glamzowej 488 Main str. Hartford, Conn.

POSZUKUJE swego brata Ignacego Batdiga, ma przebywać w Detroit, Mich. Pochodzi z zaboru rosyjskiego, gub. Łomża, powiat Kolno, gmina Turosl, wieś Jorki. Ktoby wiedział o jego pobycie, niech da znać lub on sam nech się zgłosi do: Katarzyna Kalinowska, Ashfield, Mass. C. Thajer and Harmon. 26

POSZUKUJE Edwarda Jarmułowicza, w Ameryce przebywa 7 lat, pochodzi z Polski. Gub. Suwalska, i pow. gminy Kukow. Poszukuję go w bardzo ważnej sprawie. Proszę donieść mi o jego pobycie lub on sam niech się zgłosi do: Dominik Jarmułowicz, 11 Fifth St. 5 South Portland, Me.

POSZUKUJE towarzyszki życia. Jestem przystojnym kawalerem, blondynem, umiem mówić, czytać i pisać po polsku i litewsku i mam gotówki $900. Życzyłbym sobie panny od 18 do 25 lat. Adres: W. Domaszewicz 1432 E. 51 Ct. Cicero, Ill. 25

POSZUKUJE Władysława Jakiewicza, który niedawno temu bawił w Thornwood W. Va. a obecnie wyjechał niewiadomo dokąd. Przyjechał do niego brat ze starego kraju i chce go zobaczyć. Ktoby znał jego miejsce pobytu, niechaj da znać na adres: Józef Jankilewicz Thornwood, W. Va. BoX 1.

POSZUKUJE Wojciecha Zająca rodem z Brzozy Królewskiej. Przed laty przebywał w Passaic, N. J. Proszę się zgłosić na adres: Antoni Grabarz, GlenVille, Conn. lb 26

POSZUKUJE Władysława Borkowskiego i Augusty Kochalskiej, którzy dawniej zamieszkiwali w Buffalo, NY. Ktoby o nich wiedział lub oni sami, niech się zgłoszą do Aleksandra Borkowskiego, 2109 Jedenasta AVe, South Milwaukee, Wis.

Wiadomości z Chicago.

NAPAD NA DZIEWCZYNĘ.

Niemiła przygoda spotkała w niedzielę wieczór Karolinę Tuhaczkównę, zam. pnr. 1310 W. 15-ta ulica, która zatrudniona jest jako sprzedawaczka w jednym z największych składów w centrum miasta.

Panna Tuhaczkówna, biorąca czynny udział w życiu towarzyskiem, wracała właśnie z teatru z pewnym znajomym. Gdy się znalazła na 15-ej i Blue Island ave., gdzie wysiadła z tramwaju, by iść do domu, drogę jej zaszło dwóch drabów, z których jeden uprowadził ją w zaułek a drugi zajął się jej towarzyszem.

Oboje nie mając przy sobie żadnej broni i nie widząc nigdzie w pobliżu policyanta byli wprost bezsilni.

Rabusie zabrali pannie Tuhaczkównej piękną złotą branzoletkę z 10-dolarówką i inne drobiazgi, zaś jej towarzyszowi zabrali złoty zegarek i pewną sumę pieniędzy.

Poczem grzecznie się im ukłoniwszy, umknęli. Wszelkie pościgi okazały się daremne.

SPŁOSZONY RABUŚ.

Do domu agenta realnościowego J. L. Kostki, zam. pnr. 1836 Ashland ave. dostał się w nocy jakiś rabuś z zamiarem zapoznania się bliższego z kasą właściciela.

"Niestety" spłoszony został zanim zdołał dobrać się do łupu. Była godzina mniej więcej 11 w nocy, gdy zamieszkali w tym samym domu małżonkowie Zabelkowie wrócili do domu. Uwagę ich zwróciło to, że drzwi do domu były otwarte. Zdjęta trwogą pani Zabelkowa wybiegła po schodach na górę i tam ku swemu przerażeniu zobaczyła jakiegoś nieznajomego mężczyznę starającego się ukryć w cieniu.

Narobiła naturalnie krzyku nie mało, budząc tem samem Kostkę i jego brata.

Na krzyk kobiety rabuś zawinął się jak fryga i zniknął. Wszelkie poszukiwania ze strony cbu Kostków i innych lokatorów nie dały żadnego rezultatu. To samo i z policyą, która dotychczas łotrzyka nie umiała odszukać.

Pewna metoda napaści daje policyi w ręce dowody, że ten sam rabuś próbował już ograbić dom Janusza Ferskiego.

Dzieje się to pod okiem policyi na Hinman ulicy.

POLACY SUROWO UKARANI.

Jednomyślność i solidarność w okładaniu policyanta razami przepłaciło drogo grono —Polaków z dzielnicy Town of Lake.

Cała awantura rozegrała się przed szynkiem Piotra Kozaka pn. 1433 W. 45-ta ulica.

Z niewiadomych przyczyn przyszło mianowicie do sporu między salunistą Kozakiem a policyantem ze stacyi New City, Patrykiem McDonough. Do sporu wmieszali się inni lokatorzy wspomnianego domu i tak pani Anna Buc zamieszkała nad salunem, jej dwaj synowie Jakób i Franciszek, oraz lokator Józef Klimek.

Cała kompania opadła policyanta, pobiła go do nieprzytomności, podarła na nim mundur i odebrała mu rewolwer, pałkę i gwiazdę.

Onegdaj stawili się przed sędzią Scullym, który wydał wyrok bardzo surowy; skazał panią A. Bruce na $50 i koszta; synów po $100 i koszta. Klimka na $200 i koszta oraz Kozaka na $200.

Dzielna obrona adwokacka na nic się nie zdała.

KAROL WARECZKOWSKI ZABITY.

Podczas pauzy w nauce wybiegł 7-letni Karol Wareczkowski, zam. pnr. 3337 Auburn ave., uczeń ze szkoły litewskiej parafii św. Jerzego przy W. 33-ciej ul. i Auburn av. bawić się z kolegami w 'łapankę'.

Rezultat zabawy był jednakże fatalny. Chłopak zajęty zabawą nie uważał przed siebie i wpadł pod koła samochodu będącego własnością pogrzebowego Lestora H. Lanyona z pnr. 415 W. 63-cia ul. Samochodem kierował niejaki W. M. Kimball, z pn. 448 W. 63-cia ulica.

Automobil uderzył chłopaka z całą siłą i zabił go na miejscu.

Wypadek wydarzył się w oczach około 30 dzieci szkolnych ze wspomnianej wyżej szkoły. Kimball został aresztowany i osadzony na stacyi przy 35-ej ulicy. Tłomaczy się on, że jest niewinny i nic nie mógł zrobić, by wypadkowi zapobiedz.

Sam zajął się ofiarą, zawiózł ją do apteki, gdzie jednakże lekarz stwierdził jedynie skon.

Sam Kimball wezwał też policyę.

"TO BYŁ SZCZUR" A NIE WŁOSY.

Polak, Józef Totalski, zam. pnr. 3330 Illinois str., stawał na stacyi policyjnej przy 35-ej ulicy pod zarzutem dokonania napadu i pobicia pani Ewy Zolpence, swej dawnej gospodyni.

Pani Zolpence, u której Totalski 30-letni mężczyzna przed wyprowadzeniem się pod wyżej podany adres zamieszkiwał, opowiedziała sędziemu, że Totalski poturbował ją dotkliwie, targając ją za włosy. Stało się to w następstwie sporu, jaki wybuchł przy wyprowadzeniu się Totalskiego od swej gospodyni.

Wedle pani Zolpence, Totalski rozjątrzony sporem, miał chwycić wieszadło na ubranie i, zaczepiwszy hakiem za gospodyni włosy, ciągnął ją po pokoju, przyczem jej sporo włosów wyrwał.

— Co masz na to do powiedzenia? — spytał sędzią Totalskiego.

— Proszę pana sędziego, to jest tak, — odparł Totalski. — Machnąłem co prawda wieszadłem i zerwałem pani Zolpence fryzurę, ale to był "szczur" nie żadne oryginalne włosy.

W rzeczywistości badanie wykazało, że wyrwane włosy były sztuczne. To też sędzia napomniał Totalskiego i postawił go pod kaucyą na przeciąg sześciu miesięcy, nie dając żadnej kary.

SZCZĘŚCIE W NIESZCZĘŚCIU.

O szczęściu w nieszczęściu może mówić 27-letni robotnik budowlany, Polak, Władysław Kozera, zamieszkały pnr. 17 Indiana ulica.

Kozera zajęty był na dachu czteropiętrowym nowego budynku na rogu ulic Evanston i Leland. Układał tam właśnie i umocowywał stalową belkę, gdy nagle kawał muru zerwał się i runął w dół.

Kozera stracił grunt pod nogami i spadł razem z gruzami.

Wezwano zaraz ambulans policyjny, który zabrał rannego do szpitala braci Aleksyanów. Gdy lekarze zajęci byli badaniem i oglądaniem Kozery, ten nagle podniósł się i rzekł:

— Myślę, że wszystkie kości mam całe, w każdym razie nie czuję bym miał którą z nich złamaną. Nogi służą mi doskonale.

To mówiąc, ruszył ze szpitala. Wyszedł wogóle cudownym zbiegiem okoliczności zupełnie cało z katastrofy. Ma mianowicie ranę nieznaczną z tyłu głowy i szramę na ramieniu.

SZYMON KOZMINSKI UDAJE POLICYANTA.

W parku Lincolna rozegrała się zabawna scena, gdy prawdziwy policyant parkowy z jedną "gwiazdą" spotkał jakiegoś pseudo-policyanta z sześciu "gwiazdami".

Sprawa tak się miała, że jeden z policyantów parkowych natknął się na jakiegoś mężczyznę, który z powagą i godnością, wartą lepszej sprawy, kroczył z laską po parku, rozglądając się bacznie na wszystkie strony.

Na piersiach widniało u niego sześć blaszanych "gwiazd" z napisem "watch man". Zapytany, co jest za jeden, co tu robi i jaką odgrywa rolę, odparł nieznajomy, że nazywa się "Pan Salomon" i jest "policyantem parkowym."

Policyant nie zbudowany ani zastraszony owemi sześcioma gwiazdami, widząc, że ma do czynienia z waryatem, aresztował "Pana Salomona". Jest to obłąkany. Miał na sobie dwa surduty i dwie kamizelki.

Jest to zdaje się zamożny kupiec, handlarz maszynami od szycia, niejaki Szymon Koźmiński.

NA POŻYCZONEJ WODZIE.

Przez cały miesiąc pani Rozalia Grysińska, zam. pnr. 4738 S. Winchester ave. nie miała wody w swoim domu. Wszystkie rury wodne w domu, gdzie mieszka i gdzie prowadzi mały sklepik były popękane i departament wody musiał wodę zakręcić.

Kobieta powiada, że mieszkanie jej jest wprost niebezpieczne pod względem zdrowotnym. Z powodu braku czystej bielizny sześcioro dzieci brudno chodziło. Dzieci w wieku szkolnym nie uczęszczały do szkoły. Grożono jej procesem z tego powodu i dlatego sprawa wyszła na jaw.

Nim jej wodę zakręcono, Grysińska podobno bardzo często prosiła właściciela domu, niejakiego Tomasza Gryglaka, zam. pnr. 4738 So. Robey ulica, by rury dał naprawić. Nie chciał tego uczynić. Grysińska musiała żyć o pożyczonej wodzie.

Rury wodne w mieszkaniu pani Grysińskiej znajdowały się w złym stanie od października, a w czasie mrozu znacznie się pogorszyły. Na prośby kobiety właściciel podobno odpowiedział: Jak ci się nie podoba, to się wynoś.

Kobieta ma "lease" na to miejsce na pięć lat, i kontrakt upływa dopiero za trzy lata. Sklepik z cukierkami i drobnostkami, który prowadzi, daje utrzymanie całej rodzinie. Jej mąż jest inwalidą, niezdolnym do pracy. Najmniejsze dziecko liczy sześć lat.

Kobieta utrzymuje, że własnym kosztem chciała dać rury wodne naprawić, ale Gryglak zagroził jej zerwaniem i unieważnieniem kontraktu, jeśli to uczyni bez jego wyraźnego pozwolenia. Gryglak rzekomo chce koniecznie, by się kobieta z jego domu czemprędzej wyniosła.

Komisarz zdrowia nie może zmusić Gryglaka do zaprowadzenia zdrowotnych warunków w mieszkaniu Grysińskiej. Sprawę tę oddano do biura sanitarnego i to podobno już proces właścicielowi domu wytoczyło. Przesłuchy odbędą się w przyszłym tygodniu.

— Grylak groził sąsiadom, że ich skarżyć będzie za to, że mi wodę dawają — mówiła Grysińska. — Chwali się tem, że może wszystko zrobić, bo ma wpływ u polityków.

ODEZWA
do Szanownych Towarzystw polskich w Chicago.

Drodzy Bracia Rodacy!

Po długich latach ciężkich wysiłków zdołaliśmy wreszcie zdobyć się na naszem ukochanem Wojciechowie na wystawienie wspaniałej nowej świątyni Pańskiej, która ma być świadectwem naszej żywej wiary i zarazem ogniskiem zjednoczenia sił polskich we wspólnej zapobiegliwej pracy kulturalnej pod Znakiem Niezwyciężonego Krzyża Pańskiego i pod wezwaniem św. Wojciecha męczennika i naszego drogiego Patrona.

W dniu 30-go czerwca b. r. o godzinie 3-ej po południu odbędzie się uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego, którego dokona Jego Ekscelencya Najprzew. ks. Arcybiskup Quigley, podczas gdy kazanie wygłosi nasz ks. Biskup Rodak J. E. Paweł Rhode.

Liczni i dostojni goście z kleru i świeckich zaszczycą obecnością naszą parafię.

Wierzymy, że szczerem bratniem sercem podzielacie naszą radość i z ochotą pospieszycie, aby nam dopomódz w uroczystym pochodzie.

Będzie to dla nas i dla was i niewątpliwie dla całej Polonii doniosłem wydarzeniem, jeśli u Kamienia Węgielnego wszystkie staną Towarzystwa polskie.

Zapraszamy więc was, drodzy Bracia Rodacy, do udziału w pochodzie i prosimy o waszą najłaskawszą odpowiedź, a jeżeli Szanowne Towarzystwo uchwali wziąść udział w pochodzie to prosimy wydelegować swego marszałka na posiedzenie do sali św. Wojciecha, róg 16-ej i Paulina ulic, w niedzielę dnia 16-go czerwca o godzinie 4-tej po południu.

Zależy nam bardzo na tem, aby wobec okolicznych parafii obconarodowych zadokumentować powagę, solidarność i zrozumienie doniosłości tak pamiętnej chwili.

Niech obcy widzą, żeśmy Narodem solidarnym — a serca nasze niech odczują, że przy takiem wzajemnem poparciu, da Bóg — zmartwychwstanie.

Z bratniem pozdrowieniem

Ks. Kazim. Gronkowski, proboszcz, Franc. Kamiński, prezes komitetu, Franciszek P. Danisch, Klemens Beliński, Maryan Knutkowski, Onufry Grochowski, Jan F. Balcer, Win. Spychała, Franc. Czerwiński, Mar. Kadziewski, Jan Opalewski, Win. Górski, Franc. Giecewicz, Piotr Niedźwiedzki, W. Biskup, Stan. Świercz, Dominik Kadziewski, Franc. Kluczyński, Karol Dumanowski, Jan Doman, Franc. Schuster, Wiktorya Szymańska, Paulina Nagiel, Joanna Jaworska, Władysława Kozłowska, Helena Kwaśniewska.

Wszelkie korespondencye należy adresować:

Józef A. Dumanowski,
sekretarz.
1642 W. 20th st.,
Chicago, Ill.

POLKA UPADA Z TRAMWAJU.

Lekkomyślność tutejszej służby tramwajowej odczuwają dość często mieszkańcy naszego miasta.

Konduktor zazwyczaj nie da dość czasu, by módz wsiąść lub wysiąść z tramwaju i podróżni muszą wykonywać karkołomne skoki.

Mężczyźnie idzie to jeszcze jako tako, ale kobietom sprawia to większą trudność i stąd pochodzą wypadki sprowadzone upadkiem.

Stanisława Krymska, zam. pnr. 1409 N. Ashland ave. odwiedziła swego brata w Hawthorne, od którego powracała tramwajem Ogden ave.

Dojechawszy do Ashland ave. wyszła na tylną platformę by z tramwaju zejść. Konduktor zapytał się jej, czy ma zamiar zejść, a otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, zatrzymał tramwaj.

St. Krymska zaledwie stanęła jedną nogą na bruk uliczny, nagle tramwaj ruszył z miejsca i Krymska została szarpniętą i rzuconą o bruk uliczny.

Tramwaj pojechał w dalszą drogę. Wypadek ten widziało wielu mężczyzn, więc pospieszono za tramwajem.

St. Krymska wprowadzona do tramwaju cierpiała wiele z powodu rany na lewej ręce i łokciu i potłuczonego boku. Konduktor nie zawezwał pomocy lekarskiej, ale ujechawszy kilka bloków, wysadził ją następnie na Madison ul. i kazał jechać do domu, a sam dawszy znak do odjazdu szybko odjechał.

Panna Krymska wskutek szumu i bólu głowy została na miejscu i wkrótce zgromadziło się wiele przechodniów, pytając o przyczynę.

P. Krymska przybyła parę miesięcy temu z kraju, nie włada językiem angielskim.

Jeden z Anglików dowiedziawszy się, że p. Krymska jest Polką, zatelefonował około godziny 8:30 wieczorem do p. F. Ksyckiego, by ten przyjechał i zajął się ranną Polką.

Ob. Ksycki wyjechał też z domu natychmiast i przyjechawszy na miejsce zajął się ranną.

Przywołany lekarz opatrzył rany na ręce, poczem p. Ksycki odwiózł ranną do jej domu przy N. Ashland ave.

J. ZYBORT POBITY.

Niejaki Józef Zybort, zam. pnr. 2045 Pleasant ulica, Polak z zawodu krawiec, pobity, został na śmierć w obecności swego 19-letniego syna Franciszka.

Napadu i zbrodni pobicia dopuścili się na Zyborcie onegdaj rano o 2-ej godzinie trzej Polacy opodal od mieszkania Zyborta. Czaszka J. Zyborta została uszkodzona. Franciszek wyszedł pokaleczony i posiniony.

Policya aresztowała trzech uczestników fatalnej tej bójki i zamknęła ich na stacyi policyjnej przy Shakespeare ave. Aresztowani przyznali się do udziału w bójce.

Są to: Franciszek Kozłowski, 20 lat, zam. pn. 2227 Rhine ulica; A. Kurowski, 20 lat, zam. pnr. 3316 North Seeley ave. i Jan Bosak, 20 lat, zam. pn. 2045 Pleasant pl.

Aresztowani wypierają się jakoby bili Józefa Zyborta, przyznają jednakże, że podczas walki uderzyli parę razy jego syna w głowę i piersi.

Franciszek Zybort opowiada zupełnie inaczej. Wedle jego teoryi ojciec posprzeczał się parę tygodni temu z owymi trzema aresztowanymi młokosami. Onegdaj gdy wracał do domu owi młodzieńcy zaczepili go i wszczęli awanturę. Podczas tego przyszło do bójki, podczas której ojciec został tak pobity, że utracił przytomność.

Franciszek zaniósł go do domu, ale mimo pomocy lekarza J. Zybort zmarł bezprzytomny.

Aresztowani rzekomi napastnicy twierdzą, że to Zybortowie ich zaczepili.

Dochodzenie w toku.

NAPAD NA P. LIS.

Smutne doświadczenie zrobiła z chodzeniem po nocy panna Katarzyna Lis, zam. pnr. 2700 North Ridgeway ave., 20 lat licząca. Pannę Lis napadło dwóch bandytów.

Panna Lis wracała w niedzielę nad ranem do domu z odwiedzin u znajomych, gdy w tem na rogu ulic Ridgeway i Wrightwood zaszło jej drogę dwóch bandytów. Nieznajomi rzucili się na pannę Lis i poczęli ją szamotać i bić. W końcu zadawszy jej dość dotkliwe razy i zabrawszy torebkę zawierająca czeki i gotówkę na sumę $32, umknęli mimo pościgu.

Na krzyk panny Lis nadbiegło paru mężczyzn, ale bandyci zdołali mimo uporczywego pościgu, trwającego przez kilka bloków, umknąć.

Jak ich opisuje panna Lis, byli to ludzie młodzi, jeden z nich miał w ręku rękawicę od gry w piłkę. Obaj byli odziani bardzo elegancko.

Z KONWENCYI REBUB.

Hala Coliseum, w której rozpoczęła się we wtorek konwencya narodowa partyi republikańskiej będzie zapewnie widownią niebywałych scen, jakich może jeszcze nie było na żadnej tego rodzaju konwencyi. Delegaci specyalnymi pociągami nadciągnęli ze wszystkich stanów, a z nimi tysiące gości. Hotele w śródmieściu przepełnione.

Między delegatami huczy i wnet zapewne wybuchnie burza. Delegaci ze stanów, w których obywatele dali większość głosów Rooseveltowi są oburzeni na komitet narodowy, że ten ich zaliczył do szeregów Tafta i oświadczyli, że głosować będą za Rooseveltem.

Przechodzą na stronę Roosevelta.

Dziesięciu delegatów ze stanu Mississippi, 26-ciu z Californii i 3 z Georgii oświadczyło się za Rooseveltem, pomimo, że komitet narodowy zaliczył ich do szeregów Tafta. Tak samo kilkunastu delegatów ze stanu New York łamie instrukcye i przerzuca się na stronę byłego prezydenta. Jeżeli ten sentyment utrzyma się na konwencyi, to jest możliwe, że Roosevelt nominacyę otrzyma. Zwolennicy "Teddego" zamierzają urządzić awanturę na pierwszej sesyi i nominować go przy pierwszym balocie.

Czy będą dwie konwencye?

Zwolennicy prezydenta Tafta oświadczyli, że gdyby delegaci Roosevelta chcieli wywołać burzę, natenczas izba podzieli się na dwa obozy i każdy z nich da nominacyę swojemu kandydatowi, a dopiero wyborcy i elektorzy ostatecznie zadecydują, który z nich będzie prezydentem.

F. H. Cook, murzyn — delegat ze stanu Louisiana złożył przed notaryuszem zaprzysiężone zeznanie, że niejaki Thompson z Colorado, ofiarował mu tysiąc dolarów jeżeli będzie głosował za Rooseveltem. Z kwatery Roosevelta przeczą temu, twierdząc, że murzyn został przekupiony przez manażerów Tafta, aby zniesławić Roosevelta.

Roosevelt w Chicago.

W ubiegłą sobotę przybył sam Roosevelt do Chicago, aby stanąć na czele swoich sił i poprowadzić walkę. Na stacyi przy La Salle ulicy przybyły niezliczone tłumy ludu, aby powitać swojego ulubieńca i od stacyi do hotelu Congress prowadzono go jak jakiego tryumfatora przy dźwiękach muzyki i ogłuszających okrzykach. Tłok na ulicy był taki, że trudno się było przecisnąć.

Przybywszy do hotelu, Roosevelt wygłosił mowę z balkonu do tysięcy obywateli wyjaśniając, że przybył tu, aby bronić praw ludu, które mu kradną złodzieje politykiersey.

Delegaci z Kalifornii nieśli transparenty, na których były wypisane słowa: "California refuses to try title to property before the thief who stole it". A na drugiej stronie: "California solid twenty six for Theodore Roosevelt."

Mowę swą Roosevelt zaczął od słów: "Chicago jest złem miejscem dla ludzi, którzy kradną. Jest to walka uczciwości z nieuczciwością, czyli uczciwości przeciw złodziejstwu."

W ten sposób ciągnął całą mowę Roosevelt, potępiając komitet narodowy, który zignorował wolę ludu, a raczej okradł go z jego przywilejów. Burza oklasków, okrzyki, świstanie były oznaką, że tłum się zgodził na wywody byłego prezydenta.

Jak stoją szanse kandydatów.

Komitet narodowy z kontestowanych delegatów przyznał 233 Taftowi, a tylko 19 Rooseveltowi. Zaliczono do szeregów Tafta nawet tych delegatów, którzy przy prawyborach stanowych byli wybrani dla Roosevelta. To naturalnie wywołało oburzenie u wielu i więcej zaszkodziło niż pomogło Taftowi. Wedle obliczeń komitetu narodowego, Taft ma 563 głosy, czyli 23 więcej niż mu potrzeba a Roosevelt ma 466 delegatów. Obliczenia te jednak mogą być mylne, ponieważ wielu delegatów liczonych w szeregach Tafta przerzuca się na stronę Roosevelta. W pierwszym dniu po przybyciu do Chicago 60-ciu delegatów rzekomo Taftowych oświadczyło, że solidarnie głosować będą za Rooseveltem.

DROBNE OGŁOSZENIA

DROBNE OGŁOSZENIA.

NOWI AGENCI.

Saskowski Jos. Detroit, Mich.
Rudziński Martin, Yonkers, NJ.
Janicki W. So. Chicago, Ill.
Schulc W. S. Wilmington, Del.
Gombrowicz W. K. Dunmore, Pa.
Magiera W. Schenectady, N. Y.

Nie bierzemy odpowiedzialności.

Za tę rubrykę ogłoszeń ani redakcya, ani administracya odpowiedzialności nie biorą. Ani czarów, ani "inkluzów" ani żadnych cudactw tego rodzaju na świecie niema. Kto chce wydawnictwa takie potraktować jako zabawkę, może z ogłoszeń korzystać. Nie bierzemy także odpowiedzialności za takie ogłoszenia, w których ogłaszający nie powiada, co daje za nadesłane pieniądze.

Ostatnie Wiadomości.

Z KONWENCYI REPUBLIKANSKIEJ.

Punktem kulminacyjnym w poniedziałek wieczór była mowa Roosevelta w Auditorium do 5000 słuchaczy:

Powiedział on tam między innemi tak:

"Protestujemy przeciwko zbrodniczej zdradzie. Jeżeli konwencya kierować się będzie fałszem i zdradą ludu, nastąpi rozbicie partyi republikańskiej. Tu nie może być mowy o kompromisach."

Sala konwencyjna otwarta została o godzinie 10 rano we wtorek.

Sprawozdanie i rezultat ogłosimy dopiero w następnym numerze.

BURZE I CYKLONY.

KANSAS CITY, Mo. — Miasto Kansas City zostało w niedzielę nawiedzone gwałtowną burzą, która wywracała słupy telegraficzne, łamała drzewa, rzucała dachy i szyldy z domów, obalała kominy, a nawet kilka słabszych domków wywróciła. Burza szalała na przestrzeni tylko pół mili szerokiej, a pięć długiej, ale to wystarczyło, aby wyrządzić olbrzymie szkody materyalne.

Nie obeszło się też bez ofiar w ludziach, bo jak ostatnie telegramy donoszą, zabitych zostało 29 osób, a wiele odniosło okaleczenia. Między miasteczkami Merwin i Adrian burza kompletnie zniosła wszystko, co napotkała po drodze.

ZANESVILLE, O. — Cyklon, jaki nawiedził w niedzielę to miasteczko, wywrócił wieżę na katolickim kościele, podczas gdy wewnątrz znajdowało się kilkaset wiernych na modlitwie. Trzy osoby znalazły śmierć pod złomami wieży i załamanego sufitu, a wiele odniosło cięższe lub lżejsze okaleczenia.

COLUMBUS, O. — Gwałtowna burza z piorunami połączona z oberwaniem się chmury nawiedziła centralną część stanu Ohio, wyrządzając olbrzymie szkody. W Delaware, O. burza zerwała dach ze szkoły katolickiej i rzuciła go na dwa małe domki znajdujące się w pobliżu, uszkodziwszy je znacznie. W Plain City kilkanaście osób odniosło rany pod gruzami walących się budynków.

PITTSBURG, Pa. — Burza nawiedziła zachodnią część stanu Pennsylvania i West Virginię, wyrządzając kolosalne straty materyalne. W jednym z małych miasteczek w pobliżu Pittsburga dwie osoby zostały zabite, a kilkanaście odniosło rany.

GUANAJUATO, Meksyk. — Oberwała się tu chmura, zalewając miasteczko i okolicę. Z tego nastąpiła gwałtowna powódź, która zatopiła domy, przyczem wiele osób utonęło. Szkody materyalne są olbrzymie.

CZY REWOLUCA?

MADRYT, Hiszpania. — Ostatni strajk kolejowy, jaki wybuchł w prowincyi Andaluzya, znowu postawił na porządku dziennym sprawę rewolucyi w Hiszpanii. Od pamiętnego strajku, tak bardzo krwawego jaki szalał w Katalonii przed paru laty, coraz to pojawiały się wieści o tem, że cały lud hiszpański wrze i że nic nie potrafi uratować władzy Alfonsa, który za przykładem swego kuzyna Manuela będzie musiał ustąpić woli ludu.

Tymczasem umiejętne rządy Canalejasa, który jako premier okazał się nad wyraz szczęśliwym i zręcznym politykiem, doprowadziły do tego, że rewolucyjny prąd w Hiszpanii ucichł na długo niemal zupełnie.

I tak np. cały strajk kolejowy w Andaluzyi nie jest bynajmniej demonstracyą antymonarchiczną, ani nawet akcyą mającą na celu podwyższenie pensyi, jedynie wyrazem niezadowolenia z nowego zarządzenia Canalejasa a to, rozporządzenia, zaprowadzającego przymusowy fundusz dla starców i chorych. Co zresztą leży w interesie samych robotników.

Canalejas ma mimo wszystkiego zamachy partyi konserwatywnej pełne poparcia społeczeństwa.

BRYAN REPORTEREM.

Dziennikarstwo amerykańskie nie zna żadnych granic. Tutejsi wydawcy dla wywołania sensacyi zapewne zaprzęgliby do pracy wszystkich królów i cesarzów na całej kuli ziemskiej.

Onegdaj oto do pracy reporterskiej w czasie konwencyi republikańskiej najęli Williama Jenningsa Bryana, który trzy razy ubiegał się o urząd prezydenta po stronie demokratycznej. Bryan będzie reporterem dla Chicago Tribune i Chicago Journal.

Ile Bryan za to dostanie, tego nie można powiedzieć, to pewna jednak, że pensya jego tygodniowa kilkakrotnie przewyższy roczną pensyę przeciętnego reportera.

Na samym sztabie reporterskim Bryan ma kilku stenografów i ci spisują wszystkie jego uwagi o konwencyi republikańskiej. Bryan tak samo jak wszyscy inni reporterzy urządza interwiewy z wybitnymi republikanami.

PIERWSZE OFIARY POLITYKI.

NEW YORK, N. Y. — Podczas sprzeczki o to, kto otrzyma nominacyę na prezydenta na konwencyi w Chicago, przyszło w końcu do bójki i strzelaniny. Skutek był fatalny, gdyż jeden z owych polityków padł trupem na miejscu, drugi dogorywa w szpitalu, a zabójca uciekł i dotąd go nie pochwycono.

Wioząc umierającego "bartendra" do szpitala, ambulans zderzył się z tramwajem, przyczem woźnica i chirurg szpitalny odnieśli ciężkie pokaleczenia.

POWSTANCY POBICI.

HAVANA, Kuba. — Gen. Monteaguo, dowodzący armią rządową zatelegrafował do prezydenta Gomeza, że gen. Estenoz, wódz zbuntowanych murzynów zginął w walce z wojskiem gen. Piedra koło Sengo. Wieść ta nie ma potwierdzenia. Znajduje jednakże powszechną wiarę.

W prowincyi Oriente spodziewają się każdej chwili pojmania do niewoli gen. Ironeta wodza murzyńskiego. Byłby to cios śmiertelny dla powstania, które i tak się już nie rozwija.

Wódz powstańców Surin jest już w rękach rządowców. Nie był on co prawda wodzem, ale za to doskonałym organizatorem ruchu.

Rząd uważa już ruch powstańców za zupełnie rozgromiony.

Sprawa interwencyi.

WASHINGTON, D. C. — Departament stanu jeszcze raz zapewnił rząd kubański, że Stany Zjednoczone wysyłały i wysyłają wojsko i flotę na Kubę, jedynie w tym celu, by strzedz i bronić interesów obywateli amerykańskich i cudzoziemców.

ROZMAITOSCI.

Uparta szlachcianka.

Jednemu z wrocławskich urzędników pocztowych, noszącemu polskie nazwisko szlacheckie, zabronił urząd heraldyczny, z powodu jakichś niedopełnionych formalności, pisania przed nazwiskiem "von," natomiast żona jego ani myślała rezygnować ze szlachectwa. Urząd heraldyczny zwrócił się tedy do policyi z prośbą, aby upartej szlachciance wytłomaczyła, że już nie jest szlachcianką. Od tego czasu policya wrocławska suszyła sobie głowę, w jaki sposób możnaby uwiadomić ową panią o decyzyi urzędu heraldycznego, gdyż drzwi jej mieszkania były zawsze zamknięte. Po długich zabiegach udało się wreszcie żonie jednego z policyantów dostać do zamkniętego domu, a tuż za nią wkroczył komisarz policyi z dwoma stójkowymi, lecz uparta szlachcianka poradziła sobie wtedy jeszcze, zatykając uszy, by nie słyszeć wyroku urzędu heraldycznego. Wskutek tego wniosła policya przeciw niej skargę do sądu, który wszakże uwolnił ją zupełnie, gdyż trudno było dowieść jej jakiegokolwiek przewinienia, tembardziej, że żadna ustawa nie wymaga od obywateli słuchania wbrew woli jakichkolwiek wyroków, z drugiej zaś strony żadna ustawa nie nakazuje doręczania wyroków przy użyciu siły wbrew woli adresata — a zatem owa pani nie może być oskarżona o przeszkadzanie policyantom w urzędowaniu.

Gdzie najwięcej czytają?

Nigdzie bowiem książki nie cieszą się taką poczytnością jak w Australii. W ostatnim zeszycie Book Monthly jest ciekawy artykuł o "głodzie książkowym" Australczyków. W Australii niema chociażby najmniejszej wioski, w którejby nie było czytelni publicznej, zaopatrzonej w bogaty wybór książek. Oprócz tego istnieje wielka ilość tak zwanych "bibliotek latających", złożonych z samych "nowości", które cały rok podróżują z jednego końca kraju na drugi.

Niezliczona ilość "klubów czytania", które rozwijają zamiłowanie książek, powszechna umiejętność czytania i nienasycone pożądanie drukowanego słowa, jakiem odznaczają się nawet najniższe warstwy społeczeństwa australijskiego, wytworzyły warunki nadzwyczaj sprzyjające rozwojowi handlu księgarskiego.

W dużych miastach istnieją tak olbrzymie księgarnie, o jakich w Europie nie mają nawet pojęcia. Przez wspaniale urządzone salony tych księgarń przechodzą dziennie tysiące osób, które, korzystając z nieznanego również w Europie zwyczaju, mogą czytać na miejscu darmo wszystkie książki i pomimo tej "tolerancyi" księgarzy australijskich, robią oni świetne, milionowe interesy.

Wybredna księżniczka.

Najwybredniejszą panną na świecie pod względem doboru sobie dozgonnego towarzysza życia jest bodaj córka stryja króla angielskiego, księżniczka Patrycya of Connaught! Księżniczka odrzuciła już ośmiu kandydatów do swej ręki.

Król hiszpański, który starał się o rękę księżniczki, nie podobał się jej z tego powodu "iż nie należy do zbyt starożytnego rodu." O królu portugalskim Manuelu księżniczka powiedziała krótko: "Ma zły charakter." Następcy tronu niemieckiego odmówiła dlatego, że "nie odznacza się stałością w swych uczuciach." Książe pruski Eitel Fryderyk otrzymał kosza z powodu swej zbytniej tuszy. Ks. Saksen-Koburg-Gotha nie podobał się z powodu swej "kobiecej twarzy." Ks. Chrystyan Grecki nie posiada dostatecznych zdolności wojskowych. Książe Gustaw duński nie został przyjęty jedynie tylko dlatego, że jest kuzynem Chrystyana, Wilhelm zaś szwedzki dlatego, że jest "za chudy."

Wybrednej księżniczce grozi poważne niebezpieczeństwo zostania starą panną.

Najwyższy monarcha.

We wspaniałym tumie w Boskilde, gdzie spoczywają ciała wszystkich królów duńskich i gdzie złożono zwłoki zmarłego króla Fryderyka VIII, znajduje się filar, na którym zaznaczone są miary wzrostu licznych królów i książąt europejskich. Najwyższym monarchą był król duński, Chrystyan I, który miał 80 cali wzrostu. Następnie idzie cesarz Piotr Wielki, który mierzył 79 cali i cesarz Aleksander III — 73 cale wzrostu.

Bezczelny żebrak.

Gospodarz: — Dopiero dała ci moja żona chleba z masłem, a ty nim karmisz kury sąsiada!...

Żebrak: — Przepraszam, nie wiedziałem, myślałem, że to pańskie.

Nerwowy.

— Czemu pan zatykasz sobie bawełną uszy?

— Bo, widzi pan, przyzwyczaiłem się w czasie bezczynności bębnić palcami po stole, a tego nie znoszą moje nerwy.

LISTY POLSKIE NA POCZCIE.

Listy te zostaną na poczcie w Chicago przez dwa tygodnie od czasu ich ogłoszenia. Po dwóch tygodniach będą odesłane do Washingtonu, gdzie będą otworzone i zniszczone.

3641 Baby St — 3659 Barbala Drawey — 3691 Bergiel Jan — 3715 Boczak W — 3725 Borowiec Jan — 3738 Breriski Aug — 3755 Brzciński M — 3976 Bzozowski Wł — 3806 Czaga Fr — 3818 Danek Jan — 3841 Dudik Mark — 3848 Duda Wik — 3850 Dudniek M — 3898 Flaczynska Jozefa — 3813 Franczyk Kat — 3982 Grzesik Jokób — 4012 Helminski Antoni — 4027 Hodr Anna — 4053 Jakubowska Hel — 4071 Judzinski Nikolas — 4092 Kantor Marya — 4135 Klos Wł — 4163 Kupon Adam — 4181 Kozak Fr — 4202 Krulikowski Marcelina — 4203 Krupa Antoni — 4240 Lapo Marya — 4314 Matejewski S — 4330 Midowier T — 4348 Mokwa J — 4399 Nowak Józefa — 4424 Pala Marya — 4453 Pik S — 4481 Poplowski L — 4515 Radowski Jan — 4559 Ryszklewicz Wł — 4580 Surapin J — 4631 Sikon A gnieszka — 4671 Sobiecinski T — 4691 4608 Tumpesz J — 4839 Wachtel P— 4850 Wawrzyniak W — 4870 Weremiewska Mary — 4878 Wierzchatek Helena — 4881 Winter Mary — 4884 Wiśniewski Leon — 4886 Wiśniewski Wł — 4890 Wilk Jan — 4897 Wojciech Józef — 4902 Wolak P — 4906 Wos Michał — 4911 Wujcik Albin — 4916 Zakszewski Kleosar — 4922 Zatko A — 4925 Ziemek Stanisław — 4931 Zych L — 4937 Zukoski Konst — 4942 Zachara M — 4946 Znudka Jan — 4949 Zynda Fran — 4950 Zyckowski Franciszek —.

NOWY GENERALNY AGENT NA MIASTO NOWY YORK.



Niniejszem zawiadamiamy, iż p. J. Bialski z pn. 125 E. 7st. jest naszym generalnym agentem na miasto New York. Pan Bialski posiada kwity i upoważnienia do zbierania abonamentu na "Gazetę Polską" i "Tygodnik Powieściowo-Naukowy" i zbierania ogłoszeń, oraz ma na składzie żki naszego druku i nakładu i wydaje premie. Sprzedaje także gazety agentom na "stendach". Skład pana Bialskiego zaopatrzony jest w doborowy wybór książek powieściowych i do nabożeństwa, różańców itd. oraz kapeluszy i galanteryi.

CENY TARGOWE.

DROB ZYWY.

Kury	12
Stare Koguty	8
Gęsi	9
Indyki	12
Kaczki	13

DROB BITY:

Kury	13
Koguty	8½
Kaczki	10
Gęsi	7
Indyki	13

MASŁO.

Ekstra	25
Ekstra First	24½
Second	23
Dairies	23

JAJA:

Ekstra	21
Prima first	17½
Ordinary First	17
Seconds	16

SERY:

Twins	14½
Young American	14½
Szwajcarski	21
Limburger	16
Cegiełkowy	14½

OWOCE, Chicago:

Jabłka baryłka	2.50
Cyryny pudełko	4.50
Pomarańcze pudło	3.75
Ananas pudło	1.75
Wiśnie kal. 10 ft. pudło	80c—2.00
Brzoskwinie cztery koszyki	90c
Truskawki 16 kw.	75c—$1.00

WARZYWA, Chicago:

Cebula pud	90c
Kapusta	2.00
Kartofle buszel	1.10
Słodkie kartofle	1.25
Buraki sto wiązek	50
Rzodkiewka 100 wiązek	75

Ziemie Polskie pod Moskalem.

Bandyci.

Z Łodzi donoszą: Agenci wydziału śledczego otrzymawszy wiadomości, że w domu przy ulicy Franciszkańskiej przebywają bandyci, udali się tam w towarzystwie strażników, otoczyli dom i aresztowali dwóch młodych ludzi, uzbrojonych w rewolwery. Za ich wskazówkami wytropiono i aresztowano jeszcze dwóch ludzi.

Z Jasnej Góry.

Na uroczystości Zielonych Świątek przybyło pątników blisko 20,000, przeważnie z Chełmszczyzny, z okolic litewskich i z Ukrainy. Skutkiem niepogody nabożeństwa na zewnątrz świątyni nie odprawiono. Celebrował sumę w wielkim kościele biskup Zdzitowiecki.

Około tysiąca osób przyjechało z Warszawy.

Pielgrzymka lubelska.

W poniedziałek wyruszyła z Lublina do Częstochowy trzema specyalnemi pociągami kompania złożona z 3,500 osób. Za przewóz kolei nadwiślańskiej zapłacono 12 tysięcy rubli.

Straszna śmierć.

W młynie parowym hr. Renarda w Sielcu, wydarzył się straszny wypadek. Mianowicie 20-letni Józef Czyżewski, zajęty wysypywaniem zboża z worków, potknął się i wpadł do olbrzymiego kosza z mąką, w którym też znalazł straszną śmierć wskutek uduszenia.

Drzewo Szopena.

Z Żelazowej Woli nadeszła wiadomość, że wielkie drzewo, stojące obok domku Szopena, nazwane przez wszystkich "Drzewem Szopena", ponieważ mistrz tonów lubiał pod nim siadywać, w tych dniach nie wiadomo, czy wskutek burzy, czy z innego powodu przewróciło się.

Ofiara demonstracyi.

"Kuryer Zagłębia" otrzymuje wiadomość o zgonie śp. Antoniego Satkowskiego, b. maturzysty szkoły handlowej będzińskiej, studenta politechniki lwowskiej, który zmarł od ran, otrzymanych podczas ostatnich demonstracyi z powodu wyłączenia Chełmszczyzny.

Pielgrzymki z Chełmszczyzny.

Od kilku dni przejeżdżają przez Warszawę liczne partye pielgrzymów z Chełmszczyzny, udających się na Jasną Górę na uroczystość Zielonych Świątek. Jadą oni przeważnie pociągami towarowemi.

Jak silna jest wiara u katolików z Chełmszczyzny świadczą dosadnie znoszone przez nich niewygody podczas pielgrzymki. W Warszawie, oczekując na wyznaczenie im przez zarząd stacyi pociągu, nocują zwykle pod gołem niebem na chodniku w Alejach Jerozolimskich.

Wydalanie żydów.

Dnia 5 maja w Żytnie w powiecie Radomskim włościanie na ogólnem zebraniu uchwalili wydalić ze wsi żydów. Powodem takiego zespolenia się była ta okoliczność, iż na placu, tuż przy starym misyjnym krzyżu, żyd, handlarz leśny, wziął się do budowy domu, na co włościanie nie zezwolili. W utarczce tej zuchwałość i hardość żydów przeszła jednak granice cierpliwości ludu i oto nie będzie w Żytnie żydów.

Pożar w Bystrzycy.

Groźny pożar we wsi Bystrzycy strawił doszczętnie 9 chat wieśniaczych i liczne zabudowania, w płomieniach zginęły 3 konie, świnia, poparzeniu uległ też pewien gospodarz, którego przywieziono na kuracyę do szpitala Szarytek. Straty są znaczne.

Z wychodźtwa.

W Płockiem, w Królestwie Polskiem wzmaga się ruch wychodźczy do Ameryki, popierany przez biuro niemieckie, emigracyjne. Pobudza do wychodźtwa sprzedawanie biletów okrętowych na wypłaty, nie rozumieją ludzie, że sprzedający zarabia i na sprzedaży i na wychodźtwie. Właściciele dóbr emigracyjnych zamieszkali w Iłowie, Brodnicy i innych miastach nadgranicznych w Prusach, są tak popularni i cieszą się taką powagą wśród ludu wiejskiego, że ustaje wszelki wpływ, gdy chodzi o wędrówkę za ocean.

Pod kołami pociągu.

Z Jędrzejowca donoszą: Na stacyę kolejową w Platerowie po przejściu pociągu osobowego stróż kolejowy przyprowadził pasażera 4 klasy, 57 letniego Aleksandra Siemieniuka, który wyskakując w biegu, uległ zmiażdżeniu lewej nogi poniżej kolana. Ofiarę wypadku odwieziono do szpitala miejskiego w Siedlcach.

Podmycie plantu.

W sobotę na linii dąbrowskiej kolei nadwiślańskiej, na odstępie Wolbrom-Rabsztyn, skutkiem ulewy, podmyty został około mostu plant na przestrzeni 10 sążni. Nad naprawą uszkodzeń pracowały dwa pociągi towarowe i roboty około tego spodziewano się ukończyć onegdaj wieczorem.

Balon próbny.

Z Noworadomska donoszą, iż w tych dniach mieszkańcy wsi Jasień, w pow. noworadomskim, zatrzymali balon dużego rozmiaru z żółtego jedwabiu z koszem, mogącym śmiało pomieścić 10 osób. Spodziewano się, że w koszu ukryci są ludzie, alarmowano nawet policyę, lecz okazało się, że był to balon próbny, wypuszczony z wojskowej szkoły aeronautycznej, z miasta Swineminde z Prus. Na dnie kosza widniał napis w języku niemieckim że znalazca, który zajmie się wysłaniem balonu powrotnie, otrzyma 15 marek nagrody, oraz zwrócone będą koszta przewozu itp.

Policya noworadomska zajęła się uprzątnięciem i przesyłką balonu.

Uszkodzony pomnik.

Na gruntach wsi i gminy Pomiechów, w pow. płońskim, przy szosie, wiodącej ze st. Modlin do Zakroczymia, wzniesiono w roku zeszłym pomnik cesarza Aleksandra II. Pomnik zbudowany jest w ten sposób, że na podstawie kamiennej, wysokości około 3 łokci, ustawiono popiersie bronzowe cesarza, pod którem umieszczono tablicę z napisem.

W nocy z dnia 26 na 27 zm. — jak pisze Kur. Warszawski — popiersie Cesarza Aleksandra II oraz tablica zniknęły z pomnika w sposób zagadkowy. Władze uruchomiły całą policyę miejscową i żołnierzy, w celu odszukania zaginionego popiersia. Poszukiwania we wsiach okolicznych trwają, lecz dotąd na żaden ślad nie natrafiono.

Nic bez żyda.

Korespondent Narodu z pod Bełżyc zwraca uwagę, iż tamtejsi przedstawiciele większej własności ziemskiej nic dotąd nie zrobili i nie robią, ażeby wyemancypować się z obsługi żydowskiej rodzaju w sprawach faktorsko-handlowych. Według korespondenta, są tacy ziemianie którzy nigdy i nic nie potrafią sprzedać ani kupić inaczej, jak tylko za pośrednictwem żyda. Dzięki temu w lubelskiem dochodzi do tego, że gdy jeden właściciel folwarku na jesieni roku zeszłego sprzedał kilkadziesiąt wagonów kartofli i do odstawy do kolei najmował gospodarzy wiejskich, to pieniądze, należne gospodarzom za odstawę kartofli, oddał żydom i żyd, jako "kasyer" majątku, wypłacał gospodarzom... Tenże sam właściciel majątku sprzedał pewną ilość słomy również żydowi, który, odprzedawszy ją sąsiedniemu majątkowi, otrzymał wcale niezły zarobek... Takie i tym podobne zjawiska życia codziennego dają się obserwować niejako pojedyńcze wypadki, lecz jako bieg życia normalnego, uświęconego potrzebami.

Z Chełmszczyzny.

Chełmskie bractwo prawosławne ma zająć się zbadaniem obecnych nazw wszystkich wsi i miejscowości w przyszłej gub. chełmskiej w celu przywrócenia tym nazwom brzmienia czysto rosyjskiego. Według opinii bractwa, wiele miejscowości z biegiem czasu otrzymało nazwy polskie, zatracając w ten sposób pierwiastek rosyjski. Bractwo sporządzi spis nazw miejscowości i przedstawi ich do ministeryum spraw wewnętrznych.

Ażeby zbliżyć Kijów do Chełma i zabezpieczyć Chełm przed wpływami Warszawy, działacze tamtejsi wystąpili z projektem obniżenia ceny przejazdu kolejami południowo-zachodniemi ze stacyi kolei nadwiślańskich, znajdujących się w obrębie gub. chełmskiej do Kijowa i zażądali, ażeby między Chełmem a Kijowem stale kursowały pociągi z wagonami IV klasy.

Aresztowanie Szereszewskiego.

Na żądanie naczelnika wydziału śledczego z Grodna, aresztowano w Warszawie i odesłano etapem do Grodna Arona Szereszewskiego który pociągany jest do odpowiedzialności w sprawie głośnego swego czasu samobójstwa żony jego, Racheli Szereszewskiej.

Odwet za wysokie honoraryum.

Niektórzy z lekarzy prowincyonalnych, przy oznaczeniu wysokości swego honoraryum za poradę i za zabiegi przy chorym wykonane, często nie biorą pod uwagę różnicy, jaka zachodzi w stanie majątkowym właściciela, dajmy na to, parowłókowego folwarku, a włościaninem na kilkunastu morgach, i wymagają od tego i tamtego honoraryum jednakowej wysokości. Takie postępowanie odstręcza lud od korzystania z pomocy lekarskiej, sprzyjając rozwojowi szkodliwego i słusznie przez lekarzy znienawidzonego znachorstwa. Ale zdarzają się też tutaj wypadki tragikomiczne. O takiem zdarzeniu, które przytrafiło się doktorowi X. E., opowiada korespondent Głosu Płockiego z lipnoskiego.

Pewnego wieczoru zjawia się u lekarza X. gospodarz ze wsi D. 14 wiorst od miasteczka G. oddalonej z prośbą o przybycie do ciężko chorej żony. Lekarz pojechał, obejrzał chorą, a na zapytanie kmiotka co się należy, odpowiedział: 25 rb. Próżno się chłopek zaklinał, że tyle nie posiada, że ma tylko 10 rb.; lekarz był nieubłagalny. Na prośby, zaklinania, miał jedną odpowiedź: rób co chcesz, pożycz, sprzedaj co, a musisz zapłacić. W końcu nasz gospodarz udał się do sąsiadów po pomoc, po pewnym czasie wróciwszy, wręczył drowi 25 rb, i najspokojniej począł się rozbierać. Zdumiony lekarz pyta się, co to ma znaczyć i otrzymuje odpowiedź: "już późno, idę spać". A kto mnie odwiezie? "Nie wiem, bo ja ani myślę" — brzmiała odpowiedź. Doktór się gniewa, prosi, nic nie pomaga. W końcu idzie na wieś szukać konia ale wszędzie otrzymuje odpowiedź, że furmanka do G. kosztuje 20 rb. Doktór już nad ranem wrócił do domu, zapłaciwszy za konie większą część honoraryum pobranego.

Trafiła kosa na kamień.

"Czarownik".

"Wspólna praca" tygodnik łomżyński umieścił następującą korespondencyę z pow. ostrołęckiego: "W rozległych dobrach jednego z właścicieli ziemskich tego powiatu — między służbą dworską rozeszła się pogłoska, że jeden z rzemieślników dworskich zawiązał z dyablem tajną umowę, mocą której, kiedy zechce może mieć pieniądze, a także wróżyć i czarować.

Dowiedział się o tem jeden z dosyć zamożnych gospodarzy, a że mu skradziono ze stodoły 100 rb. które przechowywał w snopku żyta udał się do czarownika z prośbą, aby odnalazł złodzieja.

Po tem śledztwie gdy już zmiarkował który mógł wziąść pieniądze, kazał zebrać się wszystkim domownikom do jednego pokoju, i pokazując im butelkę z jakimś płynem [była to woda solona], uroczyście zapewnił, że jeżeli złodziej wypije tej wody, to do czwartego pokolenia będzie miał ręce czarne.

Czarownik polecił przyćmić światło.

Gospodarz miał u siebie wychowanicę, która wiedziała o ukrytych 100 rublach i pewnego razu wyjęła owe pieniądze i włożyła do drugiego snopka, obok leżącego: kiedy przyszła kolej na nią, aby się napiła "czarownej wody" — zauważył, że przytknęła usta do szyjki, ale nie pije i drży. Do końca więc częstował ową wodą, a po skończonej ceremonii, polecił zupełnie zagasić światło, sam zaś niespostrzeżenie wyprowadził przelękłą dziewczynę, a wziąwszy ją na spytki, dowiedział się o całej prawdzie. Kazał jej po cichu wracać na miejsce, po niejakim czasie zapalił światło i po modłach tajemniczych, zaprosił wszystkich do owej stodoły; wywołał z pośród gromady poszkodowanego, a ukazując na sąsiedni snopek zawołał: "Wasze pieniądze przeszły do tego snopka". Igdy go rozwiązano rzeczywiście pieniądze tam się znalazły. Czarownik zyskał sławę niemałą."

Niewyjaśniony zamach.

W jednym z domów kolejowych na stacyi Brześć zajmuje mieszkanie ustawiacz pociągów Kowalczuk. W chwili kiedy bawiła u niego córka zamężna Anna, wszedł do mieszkania mąż jej Łazarczuk i wyjąwszy rewolwer dał do żony swej dwa strzały, raniąc ją w rękę i ucho, poczem dwoma strzałami w piersi pozbawił się życia. Przypuszczają, że pobudką do tego czynu Łazarczuka były niesnaski rodzinne.

Pogrzeb rabina.

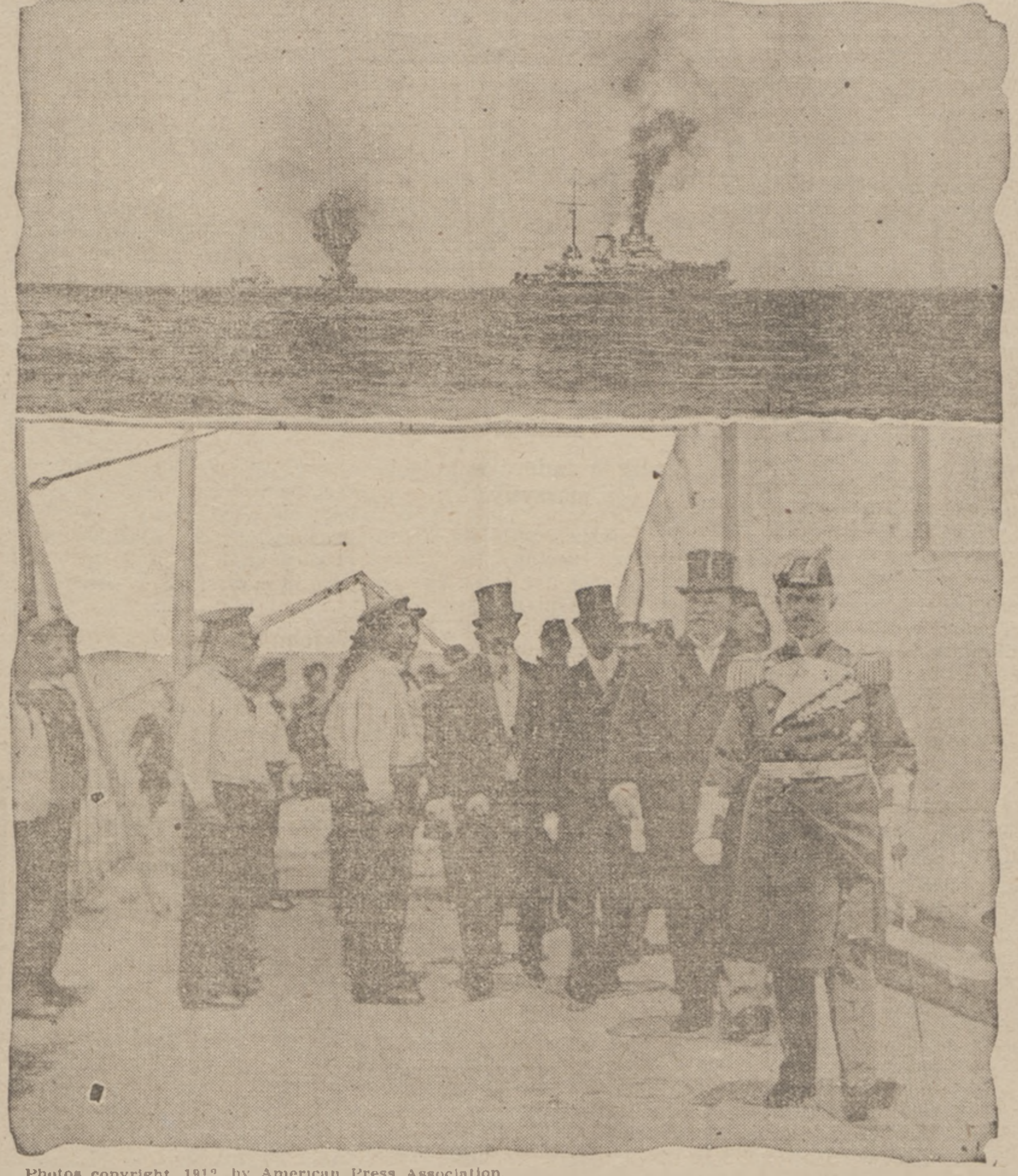
Z Radomia donoszą: Po spaleniu się Białobrzeg, przeniósł się do Radomia i zamieszkał na ul. Warszawskiej rabin tamtejszy J. Rabinowicz, cieszący się wielką popularnością u współwyznawców, jako człowiek zacny i wielce uczony. W tych dniach rabin zmarł, licząc lat 69. i wywiązała się kwestya, gdzie ma być pochowany, gdyż mieszkańcy Szydłowca izraelici rościli prawo do zaszczytu, aby spoczął w Szydłowcu z racyi, że tam się urodził i tam pochowany był jego ojciec, żydzi radomscy zaś chcieli, aby był pogrzebany w Radomiu. Na ulicy Warszawskiej zebrał się tłum żydów szydłowieckich i radomskich, liczący podobno 10 tys., osób, w końcu spory rozstrzygnął syn zmarłego, decydując, że ojciec jego spocznie w Szydłowcu. Po zapadnięciu tej decyzyi olbrzymi tłum niósł zmarłego rabina na własnych barkach do Szydłowca, dokąd przybyli na g. 9 wiecz., pogrzeb zaś odbył się o godz. 11ej w nocy.

Oryginalna recepta.

O zabawnem zdarzeniu opowiada korespondent Kuryera Zagłębia:

Do ciężko chorego włościanina, zamieszkałego na ustroniu, niedaleko wsi Kądrele, wezwano lekarza, który, po zbadaniu chorego, znalazł się w kłopotliwem położeniu, gdyż nie było zem pisać recepty. Na szczęście przypomniało się żonie pacyenta, że ma święconą kredę, to też lekarz, niewiele myśląc, napisał receptę na drzwiach, zdjętych z obory, poczem odjechał. Kobieta, nie mając innej rady, wpakowała na wóz drewnianą receptę i pojechała do miasta. W mieście zdjęła drzwi z wozu z pomocą parobka i ku zdumieniu pracowników apteki, przedstawiła tę oryginalną receptę, prosząc o zrobienie lekarstwa. Aptekarz lekarstwo wydał, lecz zrzekł się dołączenia oryginału recepty do dokumentów.

Eskadra niemiecka w odwiedzinach w Ameryce.



Photos copyright, 1912, by American Press Association.

Rycina przedstawia u góry trzy okręty niemieckie, zbliżające się do portu Hampton Roads. U dołu prezydent Taft oprowadzany po okręcie przez komendanta niemieckiego.

Z Warszawy.

Zapis.

Z Warszawy donoszą. Zmarły Bolesław Małeszewski zapisał 10 tysięcy rubli na ochronkę polską w majątku swym Bartodzieje, a 10 tysięcy na Kasę Mianowskiego.

Pod kołami samochodu.

W ubiegłą sobotę w Alejach Ujazdowskich, samochód prywatny najechał na znanego działacza, mecenasa Antoniego Osuchowskiego. Odwieziono go ze złamaną nogą do mieszkania, gdzie zaopiekowało się chorym kilku znanych lekarzy. Stan zdrowia nie budzi obaw.

Stypendyum dziennikarskie

"Słowo" warszawskie otrzymało z okazyi zgonu Antoniego Donimirskiego następującą depeszę od Ignacego Paderewskiego z Morges:

"Z niewypowiedzianym bólem dowiaduję się o śmierci waszego zacnego, prawego, szlachetnego redaktora. Z całego serca opłakuję tę stratę niepowetowaną. Dla uczczenia jego drogiej pamięci, proponuję utworzenie stypendyum jego imienia, dla ludzi poświęcających się studyom dziennikarskim, z pierwszeństwem dla kandydatów pochodzących z Poznańskiego.

Jeśli projekt ten zostanie urzeczywistniony, składam na ten cel 200 rb."

Kościół na Szmulowiźnie.

Rozpoczęte przed trzema laty roboty budowlane kościoła pod wezwaniem Serca Jezusowego, przy zbiegu ulic Siedleckiej, Otwockiej i Kawenczyńskiej na przedmieściu Szmulowizna postępują i w r. b. mury doprowadzone być mają pod dach kościelny.

Nowy kościół wznoszony kosztem Michałowej Maryi ks. Radziwiłłowej, według projektu architektora Wolskiego, będzie w stylu starożytnej bazyliki rzymskiej z wejściem tarasowem do górnego kościoła.

Ku uczczeniu pamięci Prusa

W celu uczczenia pamięci zmarłego Bolesława Prusa, zarząd zakładów gazowych w Warszawie ofiarował 1,000 rb. na cele użyteczności publicznej, zawiązane z imieniem wielkiego myśliciela, mianowicie: na fundusz imienia Bolesława Prusa przy Kasie literatów i dziennikarzy 200 rb. na hygienę praktyczną imienia Bolesława Prusa 200 rb., na kąpiele ludowe dla dzieci imienia Bolesława Prusa 200 rb., na szkołę i salę zajęć im. Bolesława Prusa 200 rb. i na ochronkę im. Bolesława Prusa 200 rb.

Wyjątkowy dzień.

"Warsz. Dniewn." zamieszcza notatkę następującej treści: "Ludność Warszawy uczciła pamięć Bolesława Prusa, nietylko udziałem w oddaniu mu ostatniej posługi na pogrzebie, lecz także powstrzymaniem się na ten dzień od rabunków, rozpraw krwawych i grabieży cudzej własności. W ciągu całego dnia pogrzebowego nie zdarzył się ani jeden wypadek tego rodzaju. Widocznie przedstawiciele szumowin warszawskich nie ważyli się pogwałcić przykazania miłości bliźniego w dniu, gdy oddawano ziemi szczątki gorliwego apostoła tych zasad."

Skon weterana.

W Warszawie zmarł w 70 roku życia Wł. Bojarski, jeden z uczestników ostatniego powstania, w którem brał udział jako 10-letni młodzieniec, otrzymał ranę, dostał się do niewoli poczem spędził 9 lat na zesłaniu w Syberyi.

Echa walki o kościół.

W dniu onegdajszym warsz. sąd okręgowy przystąpił do rozpatrywania olbrzymiej sprawy kilkudziesięciu osób, oskarżonych o udział w rozruchach powstałych w 1906 r. w Błoniu [gub. warsz.] z powodu zajęcia przez maryawitów błońskich kościoła katolickiego. Sprawa ta ze względu na znaczną liczbę oskarżonych oraz olbrzymi materyał dowodowy potrwa przypuszczalnie około dwóch tygodni.

CAR BOI SIĘ WARSZAWY.

Odcięcie Chełmszczyzny i poświęcenie soboru prawosławnego w Warszawie mają się zbiec tego roku jako dwa historyczne fakty, świadczące o zupełnem podbiciu Królestwa Polskiego przez Rosyę. Nacyonaliści pragnęli nawet, aby te dwa podboje przypadły na jeden i ten sam dzień, bo obie uroczystości nabrałyby tem większego splendoru i tem głębiej wżarłyby się w umysły Polaków, jako ujarzmionych z jednej strony, a Rosyan jako zwycięzców z drugiej strony.

Odcięcie Chełmszczyzny to symbol zniszczenia odrębnego prawno-politycznego ustroju Królestwa, strzaskanie starych granic i rozszerzenie — metodą "wewnętrznego podboju" — granic rdzennej Rosyi na Zachód poza rzekę Bug. Nacyonalizm rosyjski lubi zabawiać opinię rosyjską takimi tanimi podbojami bo pozwalają ludziom zapomnieć o pogromie japońskim i o reformach wewnętrznych.

Poświęcenie soboru prawosławnego w Warszawie miało usymbolizować podbój duchowo-moralny, Królestwa Polskiego. Sobór prawosławny, to olbrzymia bizantyńsko prawosławna buda, z trzema olbrzymiemi złocistemi kopułami, z których jedna jest najwyższym punktem w Warszawie. Ta mechaniczna wyżyna złocistej kopuły ma przedstawiać — wedle opinii urzędowej Rosyi — supremacyę duchowo-moralną Rosyi nad Polską.

Długo wznoszono te kopuły i długo je złotem lakierowano. Obecnie kończą pospiesznie złocenie ostatniej kopuły, a kończą ją już po raz trzeci z rzędu. Dwa razy już złoto na kolumnach zczerniało, bo zamiast prawdziwą pozłotą, lakierowano kopuły miksturą podejrzaną, a zato suto wyzłacały się kieszenie czynowników rosyjskich.

Historya, która się bezustannie powtarza z butami, mundurami, prochem, nabojami, armatami, tak i wogóle ze wszystkiemi wiktuałami, przy których można coś skraść — powtórzyła się i ze złoceniem kopuł, reprezentujących podbój duchowy Królestwa, przez oficyalną rosyjską moralność.

Nikt się jednak w Warszawie nie dziwił czerniejącym kopułom prawosławnego soboru — przeciwnie uznano powszechnie, że wszystko jest w porządku i ściśle wedle oficyalnego programu.

Uroczyste otwarcie soboru warszawskiego zapowiedziano na dzień 2go czerwca br. Zapowiedziano na nie przyjazd samego cara, czem historyczność faktu miała być wobec całego świata podkreślona. Osoba cara miała być atrakcyą dla Rosyan, ktorzy dnia 2go czerwca mieli zalać Warszawę.

Policya i ochrana czyni już od szeregu miesięcy "przygotowania na przyjęcie cara. Te uroczyste przygotowania — to rewizye, aresztowania, spotęgowane szpiclowanie społeczeństwa warszawskiego.

Po należytem zbadaniu terenu policyanci i ochraniarze przyszli do przekonania, że na razie w Warszawie nie ma dla cara miejsca.

Policya i ochrana w Warszawie i Łodzi wystosowała do Petesburga memoryał, w którym przestrzegają przed wożeniem cara do Warszawy, bo teren jest obecnie na wskroś zrewolucyonizowany a więc za bezpieczeństwo "świętej osoby" nie może ochrana objąć żadnej gwarancyi.

W ten sposób uroczystość straci 50 procent swego splendoru, a widoma głowa caratu nie będzie obecna przy moralnym podboju Polski przez Rosyę. Nacyonalistyczne serca ogarnie smutek, bo tyle sobie po bytności cara obiecywali.

Lęk cara przed Warszawą — to symbol taksamo charakterystyczny, jak trzykrotnie fałszywą miksturą złocone kopuły prawosławnego soboru.

MAHARADŻA I TANCERKA.

Inne świeci słońce w Monte Carlo, niż w Warszawie — gorętsze; inne tam się rozpościera niebo — przezroczystsze; inaczej żyją tam ludzie pod gorętszem słońcem i pod przejrzystszym lazurem — żyją goręcej.

Jedna z uroczych tancerek warszawskiego baletu, jedna z tych, które olśniły wdziękiem pół Europy, opuściwszy scenę syreniej stolicy i podróżując w swojem gronie pod wodzą impresaria, jedna z tych cór polskiej Terpsychory, dobrze a pochlebnie u nas znana panna K. natknęła się w stolicy królowej Rulety na smaglistej cery dżentelmana, który

(Dokończenie na str. 10-ej).

(Dokończenie ze str. 9-ej).

na ulicy do niej podszedł z iskrzącem spojrzeniem, a panna K. — uciekła.

Dnia następnego smaglistolicy pan znowu próbował podejść do kibicio wiotkiej tancerki, lecz ta, spostrzegłszy go opodal, jęła szybciej zmykać, niźli gemza, i jak to się często zdarza gemzom, szczęśliwie umknęła.

Atoli dnia trzeciego, smaglistoobliczy Donżuan chwycił niespodzianie w potężną dłoń barwy oliwki wykwintną rączkę panny K. a że warszawska tancerka właśnie się znajdowała przed jubilerską witryną, więc błyskotliwo - oki młody Faust wciągnął nieszczęsną ofiarę do środka. Panna K. drżała, a nad jej zgrabnem uszkiem rozległ się rozkazujący okrzyk:

— Choisissez, mademoiselle! (Niech pani wybiera!)

Jubiler i jego pomocnicy zgięli się, niby trzciny cukrowe (cukrowe mieli uśmiechy) przed oryginalnym klientem, a panna K., ochłonąwszy ze zdumienia śród kamiennego chłodu brylantów, wybrała z czarowną szybkością, bransoletę przedziwnie kosztowną.

Wyszli ze sklepu. Ani jubiler, ani jego pomocnicy nie mieli nic przeciwko temu, pomimo że o ciemnej cerze pan nie sięgnął uprzednio do pugilaresu, zbytecznem zaś jest dodawać, że do portmonetki nie sięgnęła również panna K.

Przed sklepem przedziwny pan ukłonił się ślicznej tancerce, a rzekłszy Au re-voir, skoczył do automobilu. Automobil warknął, zgrzytnął, szczeknął i gentleman w sekundę zniknął, jak szatan.

Minęło godzin dwadzieścia cztery. Panna K., szła z przyjaciółką w okolicy wiadomego jubilera, gdy podszedł do niej wczorajszy ofiarodawca klejnotów i znów zaproponował (gentleman się powtarzał) wstąpienie do sklepu błyskotek. Weszli. Smaglistocery, świecąco - oki pan zażądał brylanta wielkości męskiej dłoni. Jubiler przeprosił klienta, że takich kamieni nie posiada, a gdy wspaniało - skóry wielmoża wyraził z tej racyi niezadowolenie, jubiler pospiesznie dorzucił, iż wstydzi się za przyrodę, która dla niewiadomych a w każdym razie dla niewystarczających powodów, brylantów tej wielkości (idyotka) nie wydaje.

Olbrzymio - oki i czarno - brewy uwodziciel włożył na paluszek panny K. pierścień z solitremtytanem i rzekł:

— Jedziemy się zaręczyć.

Pojechali do hotelu na mokkę. Panna K. zauważyła, że smaglisto - licy pan nie płacił i za kawę.

Rozstali się. Scena w czasie wieczornego występu tancerki warszawskiej ugięła się pod różami, nadesłanemi przez szczodrego adoratora baletnicy.

Nazajutrz ciemny Donżuan Tenorio porwał pannę K. na poduszki samochodu i zawiózł ją do Cap St. Martin.

— Za godzinę jadę do Paryża. Proszę tam przyjechać.

— Kontrakt mnie zatrzymuje jeszcze 10 dni w Monte Carlo.

— Czekam w Paryżu 10 dni. Weź to na drobne wydatki i weź moją kartę. Na twoje przyjęcie zostanie przygotowany pałac przy ul. X.

Wręczył narzeczonej dwadzieścia pięć tysięcy franków.

Panna K. została sama. Ujrzawszy znajomego warszawianina podeszła do niego, i zapytała, kim jest dziwny jegomość, z którym przed chwilą siedziała. Warszawianin zaczął się śmiać; sądził, że piękna tancerka żartuje. Lecz ona dodała:

— Wręczył mi kartę, o, o, o... co tu napisane?

— O najszczęśliwsza! to maharadża indyjski!

— Maha... jaki?

— Maharadża.

— Indyański?

— Maharadżowie, to ludzie niesłychanie dumni i niepojęcie bogaci. Wywodzą się... jeden się wywodził z ery przedpotopowej. Wprawdzie angielski oficer, słysząc te przechwałki, zrobił niekurtuazyjną uwagę, że pamięta imiona wszystkich lokatorów arki Noego, a imienia dumnego maharadży sobie nie przypomina, ale zagadnięty odpowiedział spokojnie, że jego przodek miał własny okręt w czasie potopu.

To on jest bogaty?

— Dosyć. Niech pani wyjdzie za niego zamąż, za Maha...radżę.

Tygodnik Ilustrowany pamięci B. Prusa.

Tygodnik Ilustrowany poświęca ostatni swój numer pamięci Bolesława Prusa. Na czele numeru Tygodnik podaje doskonały portret zmarłego pisarza, dalej idą jego podobizny z różnych epok jego życia, ilustracye do jego dzieł, zdjęcia pochodu pogrzebowego, bardzo dobra fotografia zmarłego na łożu śmierci, jego grobu nazajutrz po pogrzebie itd. Ilustracye są wogóle wykonane bardzo starannie i z prawdziwym artyzmem.

W dziale literackim znajdujemy artykuły Lorentowicza, Ignacego Grabowskiego, Ig. Balińskiego, Wł. Rabskiego, Bol. Koskowskiego, Zdzisława Dębskiego i innych. Or-ot daje piękny wiersz p. t. "Za jego trumną."

Numer Tygodnika Ilustrowanego stanowi prawdziwie cenną pamiątkę smutnej uroczystości, jaką przeżyła niedawno Warszawa.

Trzygodzinny rozbój.

IV department karny warszawskiej Izby sądowej rozpoznał sprawę o niezwykle zuchwały rozbój.

Dnia 7go marca 1910 r. do domu Łukasza Karpowskiego, we wsi Krywowerba, pow. włodawskiego, wtargnęło 4 rozbójników z rewolwerami w ręku. Pod groźą rewolwerów rozbójnicy zapędzili rodzinę Karpowskich w jeden kąt, tam związali ich i poczęli żądać pieniędzy, grożąc śmiercią; gdy Karpowski odpowiedział, że pieniędzy niema, dwaj rozbójnicy zarzucili mu na szyję sznur, przewrócili na podłogę, poczęli bić i wlec po podłodze na sznurze: w ten sam mniej więcej sposób postępowali rozbójnicy i z Janem Karpowskim, podciągając go na sznurze pod sufit i bijąc rewolwerem w czoło.

Rozbój ten i znęcanie się trwały 3 godziny; łupem rozbójników stała się strzelba i 125 rb. gotówką.

Izba sądowa za udział w powyższym przestępstwie skazała na 8 lat robót ciężkich: Szymona Nagoluka, Mitrofana Konarczuka oraz Józefę Pietraszkową.

Z LITWY I RUSI.

Przeciwko włościanom Polakom.

Związkowcy wileńscy, żegnając byłego gubernatora Lubimowa, prosili go, ażeby na swem nowym stanowisku dyrektora departamentu rolnictwa i urządzeń rolnych, swymi wpływami i władzą uniemożliwił nabywanie ziemi na Litwie i Białej Rusi włościanom, uważającym się za Polaków. Szambelan Lubimow, jak twierdzą związkowcy, obiecał im swe poparcie w tym względzie.

Skazanie księdza.

Sąd okręgowy miński skazał na trzy miesiące więzienia proboszcza parafii Pierszaja [pow. mińskim], ks. Wróblewskiego, oskarżonego o rzekome wyrażenie się ubliżająco o przechodzącej w pobliżu kościoła procesyi prawosławnej. Ks. Wróblewski wniósł apelacyę do Izby sądowej. Przed tą sprawą ks. Wróblewski skazany został w tym samym dniu i przez tenże sąd na rb. 20 kary, lub 5 dni aresztu za przyjęcie na katolicyzm włościanki z prawosławia przed upływem miesięcznego terminu od daty złożenia przez nią podania do gubernatora.

Za nauczanie.

14 maja sąd okręgowy miński skazał na 2 rb. kary Matusiewicza za nauczanie dzieci bez odpowiedniego pozwolenia.

Zamknięcie klubu.

Z rozporządzenia władzy zamknięto w Kijowie klub naukowo-artystyczny.

Poświęcenie fundamentów teatru polskiego.

Litewskie Tow. artystyczne od lat kilku urządza co rok w Wilnie wystawę sztuki. Uroczyste otwarcie pierwszej z nich zaznaczyło się zupełnem usunięciem języka polskiego, co wywołało powszechne oburzenie.

Litewskie Tow. artystyczne zrozumiało, że w polskiem mieście Polaków obrażać nie należy i na wystawach następnych uwzględniło język polski, jakkolwiek część napisów na okazach pozostawiało tylko w językach rosyjskim i litewskim.

Obecnie wszekże, jak pisze 'Kuryer Lit.', litewskie Tow. artystyczne dopuściło się nowej obrazy naszego narodu. Na otwartej przed paru dniami wystawie umieszczono rzeźbę Rymszy, przedstawiającą pognębienie Orła Polskiego przez litewską Pogoń. Wystawić coś podobnego w polskiem mieście i to w chwili, kiedy stosunki polsko-litewskie są wysoce naprężone — "Kur. Lit.", — równa się niegodnej prowokacyi całej polskiej ludności miast".

Ze stosunków litewsko-polskich.

W Wilnie odbyła się uroczystość poświęcenia fundamentów nowowznoszonego teatru polskiego, na placu, z frontem od Wielkiej Pohulanki i skrzydłami od ulic Kaukaskiej i Teatralnej.

Po podpisaniu przez zgromadzonych odpowiedniego aktu, rozdano im pamiątkowe karty z widokami przyszłego gmachu. Tak więc doniosły ten projekt w życiu kulturalnem Litwy i Białejrusi zbliża się do urzeczywistnienia. Już w jesieni roku przyszłego w murach nowego gmachu rozgości się trupa polska.

Właścicielem podjętej budowli jest spółka "Towarzystwo Firmowo-Komandytowe Korwin Milewski, Bohdanowicz, Zawadzki i Sp.", którego statutowymi i odpowiedzialnymi przedstawicielami są wyżej wymienieni trzej członkowie Towarzystwa.

"Non possumus".

Ostatni numer wileńskiego "Dwutygonika Dyecezyalnego" zamieścił pod tytułem powyższym znamienny artykuł, poświęcony najnowszym zakusom prowadzenia języka rosyjskiego do dodatkowego nabożeństwa w kościołach katolickich naszej dyecezyi. Wskazawszy, że usiłowania wznowienia "nieudanych prób Żylińskiego i Sęczykowskiego" pochodzą ze sfer rozpolitykowanych, "Dwutygodnik" z oburzeniem odpiera pretensye rzekomych wyrazicieli woli ludu białoruskiego i powiada:

"Lud ten przed laty czterdziestu wypowiedział swą wolę stanowczo, kiedy czynnie wystąpił z protestem i kiedy w obronie swych świątyń, snać do głębi duszy dotknięty w swych przekonaniach religijnych, znieważał nowatorów i omijał świątynie, gdzie takowych nie mógł obronić. I 40 lat trwał on bez ołtarza i posług kapłańskich, a nie szedł tam, gdzie się modlono w obcym dla niego języku i hołdowano nie religijnym ideałom. Wtedy to katolicki mieszkaniec Białej Rusi złożył egzamin dojrzałości na uświadomionego w swych prawach religijnych obywatela kraju".

Napad na redakcyę polską.

W poniedziałek 14 b. m. na tak zwanej górce Włodzimierskiej zebrała się grupa członków związku narodu rosyjskiego w celu urządzenia demonstracyi z powodu manifestacyi patryotycznych we Lwowie.

Po zaśpiewaniu hymnu państwowego związkowcy udali się pod pomnik Aleksandra II, a stąd przez Kreszczatik pod gmach Rady miejskiej. Tu student Szymanskij wygłosił podburzającą mowę. Od demonstrantów oddzieliła się grupa związkowców i pod wodzą studenta Gołubiewa skierowała się dalej na Kreszczatik i wtargnęła na podwórze domu, gdzie mieści się redakcya "Dziennika Kijowskiego". Poczęto strzelać z rewolwerów i rzucano w okna redakcyi butelki z atramentem. Stąd tłum ruszył ze śpiewem hymnu i okrzykami "hurra" na skwer Nikolajewski, a następnie do redakcyi pisma "Kijewskaja Myśl", gdzie również rzucano w okna butelkami z atramentem. Jadący na przedzie dorożkarz związkowiec dał strzał. Demonstrantom przez cały czas towarzyszyła policya. Na podwórzu domu, gdzie mieści się "Dziennik Kijowski" znaleziono wystrzelane patrony. Po demonstracyi policya natychmiast przesłuchała studenta Gołubiewa. Gołubiew badany oświadczył, że związkowcy bynajmniej nie strzelali, a przeciwnie, do nich strzelano. Związkowcy zamierzali urządzić demonstracyę przed gmachem konsulatu austryackiego, ale zamiar ten policya udaremniła.

Nazajutrz we wtorek odbyła się narada przedstawicieli wszystkich kijowskich organizacyi monarchicznych, na której zapadła uchwała wysłania telegramu z protestem z powodu wypadków lwowskich z żądaniem przedsięwzięcia stanowczych środków.

Dziwne historye.

W Czerniowcach bardzo dziwne wrażenie wywarło uwolnienie przez sędziów przysięgłych b. dyrektora kancelaryi bukowińskiego Wydziału Krajowego, Konstantego Zenty, pomimo, że tenże przyznał się do zdefraudowania kilkudziesięciu tysięcy koron z funduszu Czerwonego Krzyża, którego był sekretarzem. Ale Zenta należy do najgorliwszych działaczy w bukowińskim obozie ukraińskim. A to wystarczyło, by został uniewinniony, a nas, którzy tutaj widzimy, jak ukraińcom wszystkie ich napady, rozboje raz po raz uchodzą bezkarnie, wcale już nie zdziwiło, że ukrainiec, który dopuścił się prostej defraudacyi, także bezkarnie wychodzi.

Zdziwiono się jednak na szerszym świecie i tym niezwykłym "aktem sprawiedliwości" zajęła się prasa wiedeńska. Wiener Allg. Ztg. pisze: "Przed przysięgłymi stanął defraudant. Był dyrektorem kancelaryi Wydziału krajowego i jako taki zabrał na swoje własne cele drobnostkę: 62.000 koron. Pozwolił się spokojnie aresztować, przyznał się odrazu do czynu i jako żałujący grzesznik, oczekiwał wymiaru kary. Na swoje usprawiedliwienie podawał tylko brak surowej kontroli i nadzieję, że jego przyjaciele polityczni pokryją wyrządzoną przez niego szkodę. Tymczasem przy rozprawie pod koniec postępowania dowodowego odczytano zeznanie posła do Rady Państwa i na Sejm p. Wasilko i natychmiast dokonano takiego obmycia obwinionego, że podobnego przykładu w całym świecie nie było. Odrazu stał przed sądem czysty anioł. P. Wasilko oświadczył, że on sam, gdyby był wiedział, co zaszło, byłby z własnej kieszeni dostarczył oskarżonemu sumy, potrzebnej na założenie zdefraudowanej kwoty, a to samo byłaby uczyniła partya, dla której oskarżony położył wielkie zasługi. Ukraińska partya była gotowa złożyć 30.000 koron, gdyż oskarżony jest dla niej więcej wart jak to. Wobec takich wywodów przysięgli nie mogli zapanować nad swojem wzruszeniem. Takiego człowieka zasądzić — nigdy! Niech żyje polityka! I uwolnili go! Wystarczy mieć za sobą taką partyę polityczną, aby modz bezkarnie defraudować. Nie trzeba tylko dodawać, jak wygląda taka partya, która w ten sposób wyrabia defraudantom uwolnienie." Tak brzmi opinia "Wiener Allg. Zeitung".

Koło Polskie o ruskim uniwersytecie.

Uchwały Koła Polskiego w Wiedniu w sprawie uniwersytetu ruskiego przyjęte zostały w Galicyi z zadowoleniem i przyniosą niewątpliwie uspokojenie wzburzonej i zaniepokojonej w czasach ostatnich polskiej opinii narodowej. Jakkolwiek bowiem w formie niedość może stanowczej, uchwały te formułują polskie non possumus w odpowiedzi na domagania się rusinów, zgodnie z wymogami opinii społeczeństwa polskiego. Ustalają one, zgodnie z wnioskiem dra Głąbińskiego raz jeszcze tę zasadę, że o stosunkach polsko-ruskich decyduje Koło Sejmowe, że przeto te stosunki rozstrzygane być mogą tylko na gruncie krajowym w Galicyi, nie zaś na gruncie wiedeńskim. Zachowanie tej zasady jest najważniejszą zdobyczą tej opinii narodowej, która od początku przestrzegała Koło Polskie przed uleganiem inspiracyom wiedeńskim w sprawie uniwersytetu ruskiego. Koło Polskie inspiracyom tym, na szczęście, oparło się, ulegając naciskowi opinii polskiej, rozbudzonej i pchniętej do czynu przedewszystkiem przez stronnictwo demokratyczno-narodowe.

Tajemnicze morderstwo na granicy rosyjskiej.

Z zagłębia chrzanowskiego z Jęzora, miejscowości leżącej na granicy donoszą: Onegdaj komendant posterunku żandarmeryi w Jęzorze, powiat Chrzanów, patrolując wzdłuż granicy rosyjskiej, natrafił obok przechodzącego toru kolejowego pomiędzy budkami kolejowemi nr. 17 a 18 na zwłoki jakiegoś młodego mężczyzny, leżącego w trawie o kilka kroków od pasa granicznego, po stronie austryackiej. Mężczyzna ów, jak się przy bliższem badaniu okazało, zginął śmiercią gwałtowną, po otrzymaniu śmiertelnego ciosu jakiemś tępem narzędziem w tył głowy, co spowodowało złamanie podstawy czaszki i silne naruszenie mózgu, a następnie śmierć. Sądząc z inteligentnego wyglądu i starannego ubrania, mężczyzna ten należał do lepszej sfery. Liczyć mógł lat 24 do 26. Osoby, które widziały zwłoki, są zdania, że zabity mógł być handlowcem, lub też studentem uniwersytetu. Identyczności dotychczas nie stwierdzono, mimo skrzętnych poszukiwań żandarmeryi.

(Ciąg dalszy na str. 11-ej).

Ziemie Polskie pod Austryakiem.

Dar Grunwaldzki.

Na Dar Grunwaldzki zdeklarowano ogółem do dnia 30-go kwietnia 1912 roku 1.598,749 koron i 83 hal., wypłacono gotówką 768,-927 k. 21 hal.

Rozzuchwalenie się rusinów

Z inicyatywy akademickiego K. T. S. L. we Lwowie miał odbyć się w Podhorcach koło Lwowa w niedzielę, dnia 26-go bm. uroczysty obchód 3-go maja, który tylko z powodu złej pogody musiano odłożyć. W nocy z niedzieli na poniedziałek sicz hajdamacka wybiła szyby wszystkim dzielniejszym Polakom, a odmalowany dnia poprzedniego krzyż pamiątkowy pod którym miało się odbyć nabożeństwo majowe, krzyż wysokości 10 metrów osmarowała od góry do dołu śmierdzącym płynem i nie oszczędziła nawet wizerunku Chrystusa. Delegatom Koła, którzy w poniedziałek dnia 27 zm. przybyli, kapela siczowa, złożona z 20 mołojców urządziła "kocią muzykę" na starych garnkach, blachach, prowokując ich przytem epitetami. Ta sama kapela odprowadziła akademików ze stacyi kolejowej do czytelni i na odwrót. — W czasie pogadanki jednego z gospodarzy otoczono jego dom i wygrywano melodye ukraińskie.

Zjazd ukraińców.

Zjazd Ukraińców odbył się w Narodnym Domu. Obrady były poufne. Sprawozdawców nie dopuszczono. Przybyło na zjazd około 400 delegatów, między nimi prof. Horbaczewski z Pragi, Smal-Stocki z Czerniowiec i posłowie ukraińscy. Przewodniczył pp. Kost Lewicki, Wasilko i Łahodyński. Po licznych przemówieniach uchwalono następujące rezolucye:

1. Zebrani na wiecu 29 bm. domagają się stworzenia w czasie jak najkrótszym samoistnego uniwersytetu ukraińskiego we Lwowie, drogą rozdziału teraźniejszego uniwersytetu na dwa samoistne uniwersytety: ukraiński i polski. 2. Zebrani oświadczają, że obecny uniwersytet we Lwowie ma charakter polsko-ruski. 3. Zebrani piętnują stanowisko Koła Polskiego w Wiedniu, jako niegodne kulturalnego narodu. 4. Zebrani oświadczają, że miejscem przyszłego uniwersytetu ruskiego może być tylko Lwów. 5. Zebrani protestują przeciw temu, jakoby uniwersytet lwowski pochodził od Jana Kazimierza. 6. Zebrani protestują przeciw rzekomo wyłącznie polskiemu charakterowi miasta Lwowa. Wreszcie uchwalono wydać hasło do odbycia w całej wschodniej Galicyi ponownie szeregu wieców w sprawie założenia uniwersytetu ukraińskiego.

Po uchwaleniu powyższych rezolucyi, zakończyło się zebranie odśpiewaniem 'Szcze ne wmerła'.

Straszna śmierć w kołach maszyny.

W zarządzie gwarectwa jaworzyńskiego znaczną część pracy wydobywania węgla z wnętrza ziemi uskuteczniają maszyny parowe, obsługiwane przez kilkunastu ukwalifikowanych robotników pod dozorem kilku dozorców maszynowych.

Oto onegdaj popołudniu, gdy praca szła w najlepsze, a maszyny pędziły całą parą, dozorca maszyn, nazwiskiem Władysław Wąsowicz, wszedł do jednej z izb i widząc, iż główna z maszyn ciągnących separacye węglowe, zbyt ciężko idzie z powodu nienaoliwienia, sam porwał za blaszankę i ruszył ku rozpędowemu kołu, by je podlać oliwą. Po drodze, gdy zbyt blisko przysunął się do transmisyi, uchwycił go pas transmisyjny i porwawszy za ramię, zabrał go ze sobą wokoło koła rozpędowego a następnie rzucił na ziemię. Rzucono się na ratunek, ale na ziemi zastygł już trup z zerwaną skórą z głowy, zgnieceniem czaszki, aż oczy wyszły z orbit, oraz licznemi wewnętrznemi obrażeniami.

(Ciąg dalszy ze str. 10-ej).

ryi zarówno z posterunku miejscowego jak i okolicznych. Na miejscu zbrodni obecni byli również sędzia śledczy z Jaworzna Kóżański, oraz pow. komendant żandarmeryi z Chrzanowa, p. Kuczera, którzy objęli śledztwo wstępne. Dochodzenia jednak, prowadzone na terytoryum austryackiem za owym sprawcą zbrodni, czy sprawcami morderstwa, nie doprowadzą zapewne do rezultatu, gdyż według prawdziwezo podobieństwa morderstwo to, jak to się zwykle w pasie nadgranicznym po kilka razy do roku zdarza, zaszło wśród następujących okoliczności. Nieznajomy przechodząc granicę, musiał natrafić na rosyjskiego sołdata pogranicznego, kóry zamiast go aresztować i odstawić na komorę, silnem uderzeniem kolbą w tył głowy, zabił przechodzącego, a po przeszukaniu kieszeni, nie znaleziono bowiem przy nim nic wartościowego, przeniósł go następnie na terytoryum austryackie, unikając w ten sposób dochodzeń i kłopotów ze zwłokami.

Zabitego sekcyonowano i pochowano na cmentarzu w Jaworznie w sobotę po południu.

W Jaworznie znajduje się w sądzie fotografia zabitego i kapelusz, tam też można się poinformować, gdyby ktoś miał pewne przypuszczenia.

Hr. Adam Gałuchowski — marszałkiem Galicyi.

Jak donoszą ze Lwowa, zaproponowano urzędownie hr. Adamowi Gołuchowskiemu objęcie stanowiska marszałka krajowego Galicyi. Hr. Gołuchowski zastrzegł sobie dwa dni do namysłu, zapewne jednak na naleganie osób wpływowych stanowisko to przyjmie.

Hr. Adam Gołuchowski jest synem Agenora hr. Gołuchowskiego namiestnika Galicyi i bratem byłego ministra spraw zagranicznych. Piastuje mandat do sejmu z wielkiej posiadłości okręgu Czortkowskiego. W parlamencie zasiadał od roku 1885—1895 i od 1900 do 1907, obecnie został wybrany ponownie w roku 1911. Urodzony w roku 1885, hr. Gołuchowski, który należy do konserwatystów, wybitnej roli politycznej nie odegrał. Niema on nieprzyjaciół w żadnym obozie politycznym, odznacza się dużym taktem. Zdolności administracyjnych dowiódł na stanowisku marszałka powiatu husiatyńskiego i jako administrator wielkich dóbr własnych i swojego brata. Jest prezesem rady nadzorczej galicyjskiego Banku hypotecznego.

Z KRAKOWA.

Kopiec Kościuszki uszkodzony.

Donoszą z Krakowa:

Ostatnie burze i ulewy spowodowały uszkodzenie kopca Kościuszki.

W nocy z soboty na niedzielę szalała między Bielanami a Zwierzyńcem burza, pioruny biły gęsto deszcz lał parę godzin jak z cebra.

Rano w niedzielę stróż kopca Kościuszki zauważył, że u szczytu od strony zachodniej zaczyna się obsuwać ziemia, że strugi deszczu powyrywały szczeliny i że pokład wierzchu rozmiękł głęboko. Podjęto zaraz niezbędne roboty około zabezpieczenia zagrożonych punktów.

Przyszła druga noc deszczowa z niedzieli na poniedziałek. Ulewa uszkodziła kopiec, ziemia obsunęła się od górnej korony, aż do podstawy kopca, na szerokości przynajmniej 20 metrów od strony zachodniej i północnej. Zwalona ziemia robi wrażenie rozmoczonej masy, między zwałami widać gdzieniegdzie resztki zgniecionych żółto kwitnących roślin, pokrywających tego roku cały kopiec.

Burza zerwała ziemię dosyć głęboko; niektóre warstwy odpadły przynajmniej na meter i odsłoniły wewnętrzne pokłady białych kamieni, na które nakładano ziemię, uszkodzenie jest znaczne i wymaga szybkiej naprawy.

ZE LWOWA

Oszukańczy pośrednik.

Do Lwowa przyjechały dwie 17-letnie dziewczęta Feiga Wilder i Feiga Roth, które miały zamiar wyjechać do Londynu. Na dworcu ofiarował im swoje usługi i pomoc jakiś młodzieniec i pobrał od Wilderównej 62, a od Rothównej 60 koron. Oprowadził ich po kilku biurach emigracyjnych, które jednak nie miały kart okrętowych na tak krótką przestrzeń. Z okoliczności tej skorzystał usłużny młodzieniec, który się ulotnił, pozostawiając obie poszkodowane na lodzie. Oszukane ofiary udały się zaraz o pomoc na policyę, która wyśledziła oszusta w osobie M. Kossera, agenta handlowego, zamieszkałego pod l. 8 ul. Piastów. Oszusta aresztowano, a dziewczęta oddano do schroniska kobiet.

Jeszcze jeden szpieg.

Moskalofilska szpiegowska szajka Bendasiuka i Kołdry znajduje się już w komplecie w więzieniu śledczem lwowskiego sądu. Obecnie aresztowano szóstego jej członka, niejakiego Iwana Zielińskiego, 30-letniego człowieka, który pochodzi ze Strzyżówki z Rosyi. Przybył on przed kilku miesiącami do Galicyi i osiadł pod Haliczem. W dzień wychodził na robotę jako robotnik, nocami zaś urządzał podejrzane wycieczki w stronę Halicza. Zieliński często odbierał przesyłki pieniężne i sam wysyłał też często listy polecone, do Rosyi, co zwróciło nań uwagę władz. Aresztowano go, a rewizya potwierdziła podejrzenia. Odstawiono go do więzienia sądu powiatu w Stanisławowie, ponieważ jednak sztab generalny prosił, by śledzto przeciw Zielińskiemu prowadzono razem ze śledztwem przeciw całej szajce, a wyższy sąd krajowy zgodził się na to, Zieliński odstawiony będzie do Lwowa.

Wystawa powstania styczniowego.

Na ostatniem odbytem pod przewodnictwem p. Franciszka Rawity Gawrońskiego, posiedzeniu sekcyi wystawowej komitetu dla obchodu pięćdziesięciolecia powstania styczniowego, referent sekcyi dr. Aleksander Czołowski przedłożył szczegółowy program wystawy zabytków i pamiątek roku 1863. Według programu tego wystawa obejmie wszystko, cokolwiek ma związek z dziejami roku 1863, okresu manifestacyi patryotycznych i z dziejami męczeństwa polskiego po stłumieniu powstania. Jedenaście głównych działów zaproponował referent, a mianowicie I. zabytki i pamiątki rękopiśmienne, II. druki, III. ryciny, IV. mapy i plany, V. fotografie, VI. obrazy i rzeźby, [r. 1863 w sztuce], VII. pamiątki, VIII. broń, IX. sztandary, X. mundury i XI. katorga.

W dyskusyi nad powyższym programem zabierali głos prof. Rybkowski, red. Fryling, doktor Czołowski, radca A. Sternschuss, St. Zarewicz, red. Wysłouch, prof. Tadeusz Błotnicki i inni, poczem przyjęto program przedłożony jako ramy ogólne, w których rozpocząć się ma akcya przygotowawcza, ze szczególniejszem jednak uwzględnieniem działu artystycznego, [rok 1863 w sztuce] który całej wystawie powinien nadać charakterystyczne piętno.

W dalszym ciągu dyskusyi zastanawiano się nad wyborem miejsca, gdzie ma się odbyć wystawa i nad czasem jej trwania. Wobec braku we Lwowie odpowiedniego lokalu wystawowego postanowiono zastrzedz sobie Pałac sztuki na placu powystawowym, gdzie wystawa mogłaby być otwartą dnia 1 czerwca 1913 r. i trwać do końca września. Co do ustalenia terminu uchwalono porozumieć się jeszcze z komitetem krakowskim, który również ma zamiar urządzić wystawę dzieł sztuki odnoszących się do r. 1863. Prezydyum sekcyi: wiceprezydent dr. Rutowski, prof. Rybkowski, dr. Czołowski i p. Fr. Jaworski zajmują się wstępnemi czynnościami przygotowawczemi. Biuro komitetu wystawowego znajduje się w Archiwum miejskiem [ratusz], które przyjmować będzie zamówienia. Uchwalono uprosić prezydyum, aby w najbliższym czasie wydało odezwę w sprawie wystawy i aby posiedzenia sekcyi zwoływane były odtąd przynajmniej raz miesięcznie a od 1 października br. dwa razy miesięcznie.

RUSINI W PRADZE.

Wiadomo, że rusini galicyjscy — dumni, że są benjaminkami berlińskich wpływów i faworów — usuwali się zawsze ostentacyjnie od wszelkiej łączności słowiańskiej, a nieraz nawet głosili jawnie, że ze względu na swe specyalne interesy narodowe muszą uważać wszelkie słowianofilstwo za szkodliwe dla Rusi. To też świecili zawsze nieobecnością na zjazdach słowiańskich, na których reprezentowali ruską ludność Galicyi wschodniej tacy tylko rusini, którzy nie chcą być rusinami, t. j. moskalofile. Demonstracyjnie unikali ukrainofile zawsze Pragi.

Coś się zmieniło w taktyce rusinów, bo oto najniespodziewaniej zawitała obecnie do Pragi liczna wycieczka ukrainofilów, a złożona z szeregu wybitnych osobistości. Za pozór użyto dorocznej wystawy "gospodarskiej", t. zw. "świętojańskiej" [około ś go Jana Nepomucena]. Wystawy te odbywają się co roku z wiosną w Pradze, stanowią popis czeskiego postępowego rolnictwa, zwabiają też zawsze licznych gości, nawet niemców: mają już bowiem ustaloną reputacyę, że można się z nich wiele nauczyć. Obliczone są jednak na rolników wykształconych postępowych, posiadających pewien stopień teoretycznego przygotowania, przynajmniej zwykłą szkołę rolniczą — którą kończy każdy zamożniejszy chłop czeski. Chłop ruski, proletaryusz agrarny na półtorej mordze, analfabeta i rutynista odwieczny trzypolówki z wystawy takiej skorzystać nie może. To też należy to uważać tylko za pozór do odwiedzenia Pragi, że zebrano 30 włościan do jazdy na tę wystawę. Włościanami podróżnikami, ciekawymi najnowszych systemów siewników i żniwiarek, są "towarzyszący włościanom" politycy i ukrainofilscy posłowie: Stefan Onyszkewycz, Lew Łewyckyj i dr. Cyryl Trylowskyj, a z nimi 12 księży i nauczycieli ukrainofilskich.

Wycieczka jest tem dziwniejsza, że niedawno były kwasy o to, iż na słowiański zlot Sokołów nie zaproszono do Pragi ruskiej "Siczy". Ponieważ zjechał do Pragi sam "ataman siczowy", dr. Trylowskyj, zdaje się że właśnie pominięcie "Siczy" spowodowało wycieczkę, ażeby nawiązać stosunki z "czeską gminą sokolą" i otrzymać jeszcze w ostatniej chwili zaproszenie.

Chodzi zarazem o przygotowanie sobie gruntu w czeskiej opinii publicznej w sprawie uniwersytetu ruskiego. Olbrzymia bowiem większość parlamentarzystów czeskich — z dr. Kramarzem na czele — nie uznaje odrębnej narodowości ruskiej, lecz sympatyzuje z moskalofilami.

Rusini spostrzegli, że gdy ważne ich sprawy mają się rozstrzygać w parlamencie austryackim, trzeba się liczyć z wiedeńskim gruntem, a nie berlińskim, i mają zamiar aż do rozstrzygnięcia sprawy uniwersyteckiej zbliżyć się do słowian, zwłaszcza do czechów. Rozumie się samo przez się, że pragnęliby gorąco sojuszu z czechami — przeciw polakom.

PROTEST UKRAINCOW.

Związek posłów ukraińskich odbył posiedzenie, na którem uchwalił odpowiedź wymierzoną przeciwko uchwałom Koła Polskiego w sprawie uniwersyteckiej. Na razie poprzystajemy tu na krótkiej wzmiance:

1. Związek ukraiński wyraził protest przeciwko uroczystości jubileuszowej, mającej się odbyć na uniwersytecie; zaprzecza, jakoby uniwersytet lwowski obecnie miał prawo obchodzenia 250-letniego jubileuszu założenia "jakiegoś" [jak związek ukraiński twierdzi] uniwersytetu polskiego we Lwowie. Nadto związek ukraiński wyraża żal i zdziwienie, że rząd austryacki przez swoich przedstawicieli bierze udział w tej uroczystości jubileuszowej i w ten sposób nadaje obecnemu uniwersytetowi lwowskiemu charakter polski na korzyść Polaków i osłabia ustawowo poręczone prawa Rusinów. Związek twierdzi dalej, że założenie samodzielnego uniwersytetu ruskiego należy wyłącznie do kompetencyi rządu i Rady państwa.

2. Rusini wcale nie żądają przyzwolenia Polaków na założenie uniwersytetu i muszą wyrazić pogląd, że postawione przez Koło Polskie warunki czynią założenie uniwersytetu ruskiego zupełnie iluzorycznem i to wbrew woli znacznej części narodu polskiego, która chce z Rusinami żyć w zgodzie.

3. Połączenie sprawy uniwersytetu ruskiego ze sprawą reformy wyborczej do Sejmu galicyjskiego jest absolutnie niedopuszczalne.

4. Rusini traktowali sprawę założenia własnego uniwersytetu zawsze i wyłącznie jako kwestę kulturalną [!].

5. Koło Polskie dopuszcza się wprost zbrodni wobec państwa, przeszkadzając Rusinom w osiągnięciu własnego uniwersytetu, zaś ci Polacy, którzy urządzają obecnie kompletne "hece" przeciwko założeniu odrębnego uniwersytetu, dopuszczają się zbrodni wobec Galicyi i wobec własnego narodu polskiego.

6. Jest rzeczą nieprawdziwą, jakoby założenie uniwersytetu ruskiego we Lwowie miało tworzyć źródło ustawicznych staró narodowych i walk politycznych młodzieży akademickiej. Te walki istnieją obecnie, ponieważ młodzież obu narodów musi uczęszczać na jeden uniwersytet, a ustaną zupełnie, gdy zostanie założony osobny uniwersytet ruski.

7. Uniwersytet ruski w Galicyi może być założony tylko we Lwowie, ponieważ Lwów jest stolicą kraju, jedynem miastem posiadającem liczną ludność ruską.

Nadto poseł Kolessa na czele deputacyi z ruskich Kół akademickich zjawił się u ministra oświaty, d-ra Hussarka, aby mu przedłożyć życzenia w sprawie uniwersytetu ruskiego. Minister przyjął deputacyę i wskazał na ustawiczne rokowania Związku ukraińskiego z rządem w celu pomyślnego rozwiązania tego bardzo ważnego postulatu kulturalnego. Podniósł, że sprawa ta może być załatwiona tylko w drodze ustawy i że do akcyi legislatywnej potrzeba spokoju i powagi także wśród młodzieży akademickiej. Wobec tego deputacya uczyni w interesie swych własnych życzeń, jeśli w tym kierunku dołoży starań.

WYZYSKIWACZE.

"Praca" organ Pol Tow. Emigr. z Krakowa, pomieszcza taką korespondencyę:

"Nie kupujcie kart okrętowych w Biurze Polskiego Towarzystwa emigracyjnego, albowiem sprzedaja tam takowe na najgorsze linie, lecz zamówcie je sobie tam, gdzie i ja, wprost u właściciela okrętów", tak prawił wybierający się do Ameryki niejaki Hajduk z Kozalina do grupki złożonej z kilku młodych chłopaków, oraz kilku kobiet i dziewcząt, pochodzących z tejże samej wioski, a noszących się również z zamiarem udania za morze.

"My chcielibyśmy jechać na port bremeński, na jednym z pośpiesznych parostatków", odezwało się kilka głosów.

"To dobrze, bo i ja na tenże port jadę, a zatem pojedziemy razem, tylko złóżcie zadatki".

Zadatki w mig złożono, lecz gdy za kilka dni otrzymali w miejsce kart okrętowych od "właściciela okrętów" z Bremy karty okręt. od jednego z agentów hamburskich, czworo z nich, a między niemi niejaka Franciszka Zielińska, która zamierzała wyjechać po raz wtóry do Ameryki, oświadczyli Hajdukowi, że wobec takiego stanu rzeczy razem z nim nie pojadą i zażądali zwrotu złożonych na ręce jego zadatków, pod groźbą doniesienia całego zajścia władzy. Hajduk, nie chcąc mieć nic z władzami tutejszymi do czynienia, lub też pragnąc uśpić swoich klientów polecił swojej żonie, aby zadatki jeżeli firma hamburska zwrotu ich im odmówi, w całości im zwróciła. Żona jego podjęła polecenie, lecz, skoro tylko mąż jej wioskę opuścił, wyparła się wszystkiego. Troje ze wspomnianych ludzi wyjechało za zarobkiem do Prus, zaś jedno, a to powyżej wspomniana Franciszka Zielińska, do Ameryki, lecz żadne z nich zwrotu swoich pieniędzy nie otrzymało.

Franciszka Zielińska przed odjazdem do Ameryki zwróciła hamburskiej firmie kartę okrętową i zażądała od niej [list ten pisałem jej sam] zwrotu swojego zadatku upoważniając do odbioru tegoż swojego szwagra Jana Zielińskiego. Na list jej odpowiedziała agencya hamburska następująco:

Szanowny Pan

Jan Kieliński z Rozalina p. Majdan kolbusz.

W odpowiedzi na list Pański donoszę, że zadatku zwrócić Panu nie mogę ponieważ zadatek ten posłała Franciszka Kielińska i ona tylko może o zwrot upominać się, a że ona pojechała do Ameryki przez Bremen, dlatego więc zadatek ten przepadł.

Z poważaniem i t. d.

List ten stanowi doskonałe świadectwo, jak wyzyskują niektóre biura zagraniczne sztucznie złowionych przez swoich agentów pasażerów i w jak podły sposób zagrabiają krwawicę ludu naszego.

Agenci, od których się aż roi nieomal w każdej wiosce, wprost są straszliwą plagą ludności.

Nietylko bowiem, że opowiadając cuda o zarobkach zamorskich powiększają sztucznie emigracyę, i nietylko, że baśniami o doktorach "przekupionych przez biura zagraniczne w Kasselgardzie", [którzy niby to pozwalają na wylądowanie wszystkim tym pasażerom jacy zakupili karty okrętowe, chociażby nawet ci mieli oczy cho-

(Dokończenie na str. 12-ej).

Widoki z Marokko i rzezi francuskiej w Fezie.



Pomimo, że Francya opanowała Marokko i ulokowała silne oddziały wojska w tym kraju, mieszkańcy tego kraju korzystają z każdej sposobności, aby walczyć z swemi ciemiężcami. Górna klisza przedstawia Generała Moinier, głównego dowódcy w Fezie, a niższa dwie kobiety mahometańskie które brały czynny udział w ostatniej rzezi w Fezie.

Damy z wyższego towarzystwa nowojorskiego, biorące udział w wyścigach konnych.



Photos copyright, 1912, by American Press Association.

Niedawno odbyły się wyścigi konne na torze Piping Rock w New Yorku, w których brały udział także damy z wyższego towarzystwa. Powyższa rycina przedstawia panią Tomaszową Hitchcock i pannę Emelinę Randolph, które odniosły zwycięstwo w wyścigach "aggand spoon."

(Dokończenie ze str. 11-ej).

re, żeby im "ciekło z nich jak z cebra" i różnymi innymi środkami powiększają klientelę biurom zagranicznym, ale i na własną rękę wyzyskują co się da.

Z licznych dowodów przytaczam jeszcze jeden.

Anna Kacak, 18-letnia dziewczyna z Kaczaków, otrzymawszy od brata swojego przebywającego w Ameryce kartę okrętową zamierzała udać się za morze. Ajent wyżej wspomnianej firmy hamburskiej Franciszek Cudo z Razolina wiedząc, że prowizyjki nie zrobi, wyłudził od matki tejże dziewczyny Magdaleny Kaczkowej 22 koron, a to dwadzieścia koron tytułem "umożliwienia szczęśliwego przejazdu" zaś 2 korony tytułem zakupna legitimacyi, którą stanowiła książka robotnicza jakiejś dziewczyny z Ocic. Po rozwadze jednak, dziewczyna ta z zamiaru wyjazdu swojego za morze zrezygnowała i wyszła za mąż, zaś matka jej zażądała od wspomnianego agenta zwrotu pobranych pieniędzy. Po długiem czekaniu i licznych upomnieniach zdołała biedna kobieta wykołatać zaledwie 16 koron, zaś resztę policzył sobie opiekuńczy agent za fatygę około umożliwienia "szczęśliwej podróży".

Dla usunięcia podobnych nadużyć, krzywdzących i wyciskających łzy tym najbiedniejszym, bo żyjącym częstokroć jedynie z pracy rąk swoich, potrzeba:

1. Aby rząd sprawami emigracyjnemi zajął się szczerze i wydał ustawę, mocą której niewolno byłoby żadnym biurom zagranicznym utrzymywać w naszym kraju pokątnych agencyi lecz natomiast, aby wszystkie czynności dotyczące informacyi i sprzedaży kart okrętowych zostały oddane w ręce takich instytucyi, jaką jest Polskie Towarzystwo Emigracyjne.

2. Aby wszyscy ludzie dobrej woli pouczali wychodźców, aby w wszelkich sprawach wychodźczych odnosiło się tylko do Polskiego Tow. Emigracyjnego, a z chwilą zmiany jego statutu zajęli się organizacyą Oddziałów czy też Kółek emigracyjnych.

Jan Kaczak,
włościanin z Kaczaków
nad Dąbrowicą.

Ziemie Polskie pod Prusakiem.

Morderstwo rabunkowe.

Z Poznania donoszą: Tajemniczej, strasznej zbrodni dokonano w Poznaniu we wigilię minionych Zielonych Świąt na 15-letnim uczniu kupieckim Stanisławie Musiale, będącym w nauce u firmy Kessel i Sp. W sobotę rano około godziny 9 wysłał go pryncypał na miasto z zleceniem złożenia w banku 500 mk., pozatem miał po drodze kupić za 8 mk. znaczków rabatowych. Musiał jednakże już nie wrócił. Około godziny 11 przed południem widzieć go miano w drodze ku Wildzie. W pierwsze święto nad ranem znaleziono go nieżywego na stopniach drzwi wchodowych jednej z kamienic przy ul. Gołębiej. Musiał miał u obu rąk poprzecinane tętnice, prócz tego stwierdzono kilka ran na głowie, zadanych nożem lub innem ostrem narzędziem. — Żadnych nie było przy nim śladów krwi. Wnioskują z tego, że Musiała zamordowano w innem miejscu i po umyciu rąk zawleczono na ul. Gołębią. Wieść o zbrodni rozniosła się lotem błyskawicy i ogromne wywołała wrażenie. Na wyśledzenie sprawcy czy sprawców ohydnego morderstwa wyznaczył prezydent regencyjny 500 mk. nagrody. Zamordowany pochodził z Buku, gdzie ojciec jego, dawniej w Poznaniu, ma skład garderoby męskiej.

Prokurator jest zdania, że Musiał padł prawdopodobnie ofiarą kobiet z półświatka niższego rzędu i ich opiekunów, sutenerów poznańskich.

Sprzedawczykostwo.

Do "Dz. Bydg." piszą: Znany i poważany dotąd obywatel p. Stopierzyński z Ujścia, sprzedał swe gospodarstwo w Ujściu i kupił w Skarbi pod Czarnkowem 280 mórg od p. Joppa. Zaledwie atoli poznał granice swej nowej posiadłości, już ją sprzedał kolonizacyi z zarobkiem 10 tysięcy marek.

Zanik polskości.

Z Gostynia przysłano "Kuryerowi Poznańskiemu" drukowany niemiecki list "dziękczynny", wystosowany do członków bractwa Strzeleckiego, które uchwaliło wziąć udział w przyjęciu naczelnego prezesa. Pod listem widnieje napis:

"Verein zur Hebeng deutscher Gesinnung unter polnisch sprechenden Preussen." W liście mianuje się członków Bractwa członkami "Vereinu" i to w zasługę około "dźwigania" niemczyzny na kresach wschodnich.

Walka z alkoholem w Poznańskiem.

Jak stwierdzają zgodnie pisma poznańskie, wśród tamtejszych robotników szerzy się coraz bardziej ruch abstynencki. Inicyatorem tego ruchu był tam niejaki ks. Antoniewicz, następnie przed dziesięciu laty zawiązał się "Związek księży abstynentów" — świetnie rozwijający się i tow. zupełnej wstrzemięźliwości od napojów alkoholicznych "Wyzwolenie". Należy do tego towarzystwa 2,225 robotników; działalność jego rozciąga się na całe Poznańskie i na okręg westfalsko nadreński, gdzie robotnicy polscy bardzo chętnie garną się do ruchu abstynenckiego. Nie można, niestety, tego powiedzieć o robotnikach z Galicyi. Sami Niemcy, szczególniej hakatyści, przyznają polskiemu ruchowi zupełnej trzeźwości ogromne znaczenie — i boją się tego ruchu. Abstynencki miesięcznik "Świt" ma przeszło 1,000 prenumeratorów, zaś ludowy i robotniczy Przyjaciel trzeźwości ma przeszło 3,500 prenumeratorów. Jak w wielu innych, tak i w tym wypadku, Poznańskie winno być dla nas przykładem!

O 'podburzanie do gwałtów'.

Sławetny paragraf 130 pruskiego kodeksu karnego [podburzanie do gwałtów], który u Prusaków stosowany bywa przeciwko Polakom ze szczególnem upodobaniem, był znowu przedmiotem rozpraw przed poznańską izbą karną. Chodziło o artykuł w sprawie chełmskiej, zamieszczony w No. 1 'Brzasku', miesięcznika, wydawanego dla młodzieży polskiej, oraz o wiersz pod nagłówkiem "Mazur", mieszczący się w numerze za luty i marzec tego pisma. Na ławie oskarżonych zasiedli: Odpowiedzialny redaktor "Brzasku" p. Józef Walkowiak, i wydawca tego miesięcznika p. Bolesław Miniewicz. Sąd mimo świetnej obrony adw. Drwęskiego, skazał obu oskarżonych każdego po 150 m. i poniesienie kosztów procesu.

Uwolnieni.

W Bochum w Westfalii odbył się przed izbą karną proces Koła śpiewu "Cecylia" które już od przeszło dwóch lat toczy procesy o obchód Chopina, urządzony swego czasu przez "Sokoła". Zajmował się tą sprawą już dwukrotnie najwyższy sąd pruski w Berlinie. Dwa razy uwolniono Koło śpiewu od winy i kary a koszta nałożono kasie państwowej, mimo to Koło śpiewu musiało jeszcze raz w sprawie tej stawać przed sądem. Prokurator zarzuca Kołu, że obchód był publiczny i że na obchód ten dostały się osoby niezaproszone i przez członków nie wprowadzone. Zapozwani przez prokuratora świadkowie nie potwierdzili twierdzeń policyi i sąd nie mógł się dopatrzeć tego, co chciał udowodnić prokurator. Prokurator powoływał się na jakieś wyroki sądowe w Gnieźnie, które obchody takie, jak obchód Koła śpiewu "Cecylia", uważały za publiczne. Sąd zawyrokował, że go inne obchody nie obchodzą, lecz obchodzi go jedynie to, co na obecnym procesie stwierdzono. Sąd na mocy tego stwierdzenia doszedł do wyroku uwalniającego i nałożył koszta kasie państwowej.

Ksiądz katolicki i pastor luterski wspólnie niemczą młodzież polską.

Ksiądz proboszcz Dworski w Mikołowie na Górnym Śląsku, który jest zagorzałym centrowcem, zakłada do spółki z ewangielickim pastorem Tondokiem towarzystwo "Jungdojezland" w Mikołowie. Obaj, ks. Dworski i pastor Tondok, podpisali wspólną odezwę, wzywającą do organizowania młodzieży w wieku od 14 — 20 lat. Odezwę taką mamy w naszej redakcyi — pisze "Gazeta Ludowa".

Pomijamy na razie fakt, że naszej młodzieży polskiej w Mikołowie i okolicy grozi niebezpieczeństwo wynarodowienia. Podnieść chcemy dziś to, że gdy chodzi o zniemczenie naszej młodzieży, to ksiądz katolicki nie waha się nawet zawrzeć spółki z ewangielickim pastorem, by wspólnemi siłami wydrzeć naszej młodzieży serce polskie i duszę polską.

Fakt powyższy polecamy uwadze tych wszystkich księży, którzy potępiają gazety polskie za to, że występują przeciw księżom germanizatorom.

Zjazd związku kół śpiewackich Gór. Śląska.

Pomimo strasznej niepogody udał się zjazd znakomicie. Nieomal wszystkie główniejsze miejscowości od Bytomia do Raciborza obesłały zjazd śpiewakami. Zjazd zagail w krótkich słowach prezes Związku p. Wolski. Trzy pieśni, i to: "Boże dlatego dałeś nam życie", "Wesoło pobieżmy" i polonez "Hej śpiewacy" odśpiewały wszystkie Koła wspólnie. Występy Kół poszczególnych udały się świetnie, biorąc to pod uwagę, że niektóre Koła istnieją dopiero od kilku miesięcy. Nagrody otrzymały: I. Król. Huta, II. Radzionków, III. Józefowiec, IV. Glinga. V. Racibórz [Halka]. Osobno odznaczono kilka kół osobnem uznaniem, między innemi Bytom, Bogucice, i Wielka Dąbrówka, która wystąpiła w strojach śląskich. Jako goście przybyło kilku rodaków z Księstwa, między innemi p. Barwicki, prezes Związku Kół śpiewackich w rzeszy niemieckiej, uproszony jako sędzia. Także kilku posłów było obecnych, między innymi ks. posłowie Brandys i Pośpiech, którzy też wygłosili na zakończenie mowy zachęcające do pielęgnowania śpiewu polskiego. Udział pomimo ulewy całodziennej był nadzwyczaj wielki, bo blisko 3,000 ludzi.

KORESPONDENCYA Z POZNANIA.

Od niejakiego czasu widzi się często na ulicach Poznania oddziały młodzieży w szarych kurtkach i takichże kapeluszach 'burskich', z przepaską czarno-czerwono-białą na ramieniu, maszerujące w szyku wojskowym, a nieraz także pod komendą wojskową pruskich oficerów. Są to oddziały organizacyi niemieckiej t. zw. "Jungdeutschland", utworzonej na wzór angielskich scoutów lub francuskich eclaireurów. Ruch ten, zmierzający do wychowania młodego pokolenia w duchu żołnierskim, do wprawienia go zawczasu w ćwiczeniach i trudach wojskowych, objął całe Niemcy, będąc nowym objawem tego prądu militarno-narodowego, który budzi się w całej Europie.

Społeczeństwo niemieckie, wychowane w szkole pruskiego militaryzmu i żywiące od dawien dawna szczególny kult dla armii, ogromnie silnie tym prądem się przejęło. Rząd popiera tę pedagogię wojskową wszelkiemi siłami, najwyżsi i najpopularniejsi generałowie Haeseler i Goltz stanęli na czele "Jungdeutschlandu", a oficerowie poszczególnych garnizonów otrzymali nakaz zaopiekowania się technicznem wyszkoleniem oddziałów młodzieży. Oczywiście ta techniczna strona — wycieczki, marsze, zwiady, ćwiczenia sygnałowe itd. — nie wyczerpuje całej działalności nowej organizacyi.

Głównym jej celem jest wpływanie na wyobraźnię i umysły młodzieży w duchu patryotycznym niemieckim, budzenie w niej uwielbienia dla siły i potęgi Niemiec oraz przywiązania dla dynastyi i cesarza, jako najwyższego wodza armii.

Ta propaganda militarna wśród młodych przybrała szczególnie intensywny charakter w naszych dzielnicach polskich. Do wymienionych wyżej celów dochodzi tu bowiem nowy, najważniejszy — germanizacya młodzieży polskiej, za pomocą tej metody, większe obiecującej skutki niż wszystkie poprzednie. System germanizacyjny w szkole niewielkie stosunkowo wydawał owoce, choćby ze względu na cichą opozycyę, w jakiej zwykle uczniowie znajdują się do surowej dyscypliny szkolnej. Urządzane później rozmaite wieczorki, zabawy, obchody, też nie wiele zdziałały, nie trafiając do serca i zrozumienia młodzieży. Najnowsza metoda wychowania wojskowego, przemawiająca z natury rzeczy silnie do umysłów, obiecuje znacznie rychlejsze i lepsze ziszczenie dążeń germanizatorskich. Dostosowuje się ona zresztą doskonale do całego tego programu stopniowej "kulturalnej" asymilacyi Polaków, rozwiniętego przez naczelnego prezesa p. Schwartzkopffa. To też wszystkie władze i instytucye niemieckie popierają u nas "Jungdeutschland" na każdym kroku.

Jednym z głównych organizatorów ruchu tego na gruncie poznańskim był specyalista na tem polu, major Jung, który obecnie przeniósł się do centrali organizacyi w Berlinie. Po nim objął kierownictwo nie mniej ruchliwy i czynny major Reinecke, który ma do pomocy cały sztab oficerów.

Główną propagandę rozwija się naturalnie w szkołach, gdzie nauczyciele formalny nacisk wywierają na uczniów, aby wstępowali do szeregów "Jungdeutschlandu." Przed kilku dniami w poznańskiej szkole handlowej [miejskiej] sam dyrektor obchodził poszczególne klasy i wzywał do wstępowania w szeregi "bojowej" organizacyi niemieckiej. Dnia następnego zaś nauczyciele wszystkim tym, którzy wezwania p. dyrektora nie posłuchali, grozili, że "szkoła będzie o tem pamiętała".

Także na prowincyi czynniki niemieckie rozwijają usilną agitacyę, celem zwerbowania młodzieży polskiej do "Jungdeutschlandu". W jednem z miasteczek prowincyonalnych pewien sędzia i oficer pozasłużbowy ogłosił odezwę, wzywającą wszystkich przyjaciół młodzieży do tworzenia kadrów nowej organizacyi, a specyalnie apelującą także do "duchownych obu wyznań", aby tą sprawą się zajęli. U duchowieństwa polskiego propaganda ta odgłosu nie znajdzie, natomiast tam, gdzie są księża Niemcy, niebezpieczeństwo jest wielkie. Mianowicie z Górnego Śląska donoszą, że księża centrowi w licznych miejscowościach, gdzieniegdzie nawet do spółki z niemieckimi pastorami, organizują grupy "Jungdeutschlandu", wciągając w nie polską młodzież górnośląską.

Na całej linii stoimy obecnie wobec groźnych niezmiernie zakusów na naszą młodzież dorastającą. W jakim duchu akcya ta podjęta na szeroką skalę, jest prowadzona, o tem najlepiej świadczy "dyspozycya wojenna", wydana niedawno przez wymienionego majora Reineckiego na ćwiczeniach poznańskich oddziałów Jungdeutschelandu. Dyspozycya owa ogłoszona w "rozkazie dziennym" opiewała, że powstańcy polscy opanowali Poznań i, splondrowawszy (!) miasto, uszli z łupami w poblizkie lasy. Oddziały Jungdeutschelandu miały za zadanie przejąć służbę wywiadowczą po stronie niemieckiej, wyśledzić miejsce obozu polskiego, stwierdzić siłę Polaków i t. d. Przykład ten, jakkolwiek śmieszne robi wrażenie, wskazuje dosadnie, jak straszną demoralizacyę narodową Jungdeutschland szerzyć musi wśród młodzieży polskiej, którą się uda wciągnąć w szeregi tej organizacyi.

Po stronie polskiej od razu oceniono ogrom niebezpieczeństwa, grożącego naszej młodzieży, i szczególnie prasa polska stale przestrzega przed tą nową organizacyą niemiecką, wykazując na rozlicznych przykładach jej charakter germanizacyjny i zwracając uwagę rodziców na właściwą tendencyę tych zabiegów dokoła młodego pokolenia. Ale to ostrzeganie nie może wystarczyć. Musimy z naszej strony wziąść się do akcyi systematycznej, któraby młodzieży polskiej choć w części dała to, co daje organizacya wojskowa niemiecka, budząc przytem wśród ćwiczeń fizycznych poczucie narodowe polskie, ideały polskie. Rzecz to nie łatwa, gdyż nie mamy całego tego aparatu państwowego i militarnego do dyspozycyi, co Niemcy. Prócz tego stoją jeszcze różne trudności prawno-policyjne na przeszkodzie, które trzeba uwzględnić. Głównym szkopułem jest, że wszelką organizacyę polską na szerszą skalę, którąby mniejwięcej odpowiadała Jungdeutschlandowi, uznanoby niewątpliwie za polityczną, uniemożliwiając przez to przystęp młodzieży niżej lat 10, a temsamem czyniąc cały ten cel organizacyi iluzorycznym. Przeważnie zatem trzeba będzie na gruncie istniejących już towarzystw młodzieży rozwinąć akcyę wychowania fizycznego, którąby, uzupełniając dotychczasowy program tych towarzystw, kształciła młodzież w duchu karności i hartu wojskowego, owianym zarazem atmosferą czysto polską. Pewne próby w tym kierunku już uczyniono, a nad szczegółowem wypracowaniem dróg i metod takiej akcyi toczą się obecnie w odnośnych kołach narady.

Także "Sokół" ma przed sobą nowe wdzięczne pole działalności i niewątpliwie w tym kierunku rozszerzy swój zakres działania. Do niejednych grup młodzieży do innych łatwiej. Odpowiednie trudniej będzie można dotrzeć, środki trzeba będzie w każdym poszczególnym wypadku wybrać z rozwagą i z uwzględnieniem warunków prawno - policyjnych.

Na razie sprawa nie wyszła jeszcze z pierwszego stadyum prób i eksperymentów. Ale z ważności jej zdaje sobie sprawę całe społeczeństwo. Ogólne jest przekonanie, że walkę o młodzież trzeba podjąć wszelkiemi siłami w drodze systematycznej pracy organizacyjnej.

W.

Goście indyjscy na konferencyi pokojowej.



Photo copyright, 1912, by American Press Association.

Powyższa rycina przedstawia małżeństwo Rustom Rustomjee, członków wysoce szanowanej kasty "Parsee" w Indyach. Brali oni udział w niedawnej konferencyi w Mohonk, N. Y.

HENRYK SIENKIEWICZ.

POTOP

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy.)

Życzenia jego spełniły się niebawem, gdyż po godzinie czasu przyszedł znów pan Harasimowicz z niższemi jeszcze ukłonami i z oznajmieniem, że książe pilno żąda widzieć ichmościów.

Porwali się tedy zaraz, bo już byli przybrani i poszli. Harasimowicz, wyprowadziwszy ich z cekhauzu, przeprowadził przez dziedziniec, na którym pełno było już wojskowych i szlachty. W niektórych miejscach rozprawiano tłumnie, widocznie nad temi samemi nowinami, które rycerzom przyniósł podstarości zabłudowski. Na wszystkich twarzach malował się żywy niepokój i jakieś oczekiwanie gorączkowe. Pojedyncze grupy oficerów i szlachty słuchały mówców, którzy stojąc pośrodku, gestykulowali gwałtownie. Po drodze słychać było słowa: "Wilno się pali! Wilno spalone!... Ni śladu, ni popiołu! Warszawa wzięta!... Nieprawda, jeszcze nie wzięta!... Szwedzi już w Małopolsce! Sieradzanie opór dadzą!... Nie dadzą! pójdą śladem Wielkopolanów! Zdrada! Nieszczęście! O Boże, Boże! Nie wiadomo, gdzie ręce i szablę wetknąć!"

Takie słowa, jedne od drugich straszniejsze, odbijały się o uszy rycerzy, a oni szli, przeciskając się za Harasimowiczem z trudnością przez wojskowych i szlachtę. Miejscami znajomi witali pana Wołodyjowskiego: "Jak się masz Michale? Zle z nami! Giniemy! Czołem, mości pułkowniku! A to co za gości prowadzisz do księcia?" Pan Michał nie odpowiadał, chcąc zwłoki uniknąć, i tak doszli aż do głównego korpusu zamkowego, w którym janczorowie książęcy, przybrani w kolczugi i olbrzymie białe czapki, straż trzymali.

W sieni i na głównych schodach, obstawionych pomarańczowemi drzewami, ścisk był jeszcze większy, niż na podwórzu. Rozprawiano tu o aresztowaniu Gosiewskiego i kawalera Judyckiego, bo rzecz była się wydała i poruszyła do najwyższego stopnia umysły. Zdumiewano się, gubiono w przypuszczeniach, oburzano się lub chwalono książęcą przezorność; wszyscy zaś spodziewali się usłyszeć wyjaśnienie zagadki z ust samego księcia, dlatego rzeka głów płynęła po szerokich schodach na górę do sali audyencyonalnej, w której w tej chwili książe przyjmował pułkowników i znakomitszą szlachtę. Trabanci rozstawieni wzdłuż kamiennych poręczy, pilnowali, aby nie było zbyt wielkiego natłoku powtarzając co chwila: "Zwolna, mości panowie! zwolna!" — a tłum posuwał się lub zatrzymywał chwilami, gdy trabant zagradzał drogę halabardą, aby idący naprzód mieli czas wejść do sali.

Nakoniec lazurowe sklepienia sali zabłysły przez otwarte drzwi i nasi znajomi weszli. Wzrok ich padł najprzód na wzniesienie, ustawione w głębi sali, zajęte przez świetny orszak rycerstwa i panów w pysznych, różnobarwnych strojach. Na przedzie stało puste krzesło, wysunięte więcej od innych, z wysokiem tylnem oparciem, zakończonem złoconą mitrą książęcą, z pod której spływał na dół amarantowy aksamit, obramowany gronostajami.

Księcia nie było jeszcze w sali, ale Harasimowicz, wiodąc ciągle za sobą rycerzy, przecisnął się przez zebraną szlachtę, aż do małych drzwi, ukrytych w ścianie obok wzniesienia; tam kazał się im zatrzymać, a sam zniknął za drzwiami.

Po chwili wrócił z doniesieniem, że książe prosi.

Dwaj Skrzetuscy z Zagłobą i Wołodyjowskim weszli teraz do niewielkiej komnatki, bardzo widnej, obitej skórą wytłaczaną w złociste kwiaty i zatrzymali się, widząc w głębi za stołem, pokrytym papierami, dwóch ludzi pilną zajętych rozmową. Jeden z nich, młody jeszcze, przybrany w strój cudzoziemski i perukę o długich lokach, spadających na ramiona szeptał coś do ucha starszego towarzysza, ten zaś słuchał ze zmarszczoną brwią i kiwał od czasu do czasu głową; tak zajęty był przedmiotem rozmowy, że nie zwrócił zrazu uwagi na przybyłych.

Był to człowiek czterdziestokilkoletni, postaci olbrzymiej i barczysty. Ubrany był w strój szkarłatny polski, spięty pod szyją kosztownemi agrafami. Twarz miał ogromną, o rysach, z których biła pycha, powaga i potęga. Była to gniewliwa lwia twarz wojownika i władcy zarazem. Długie, zwieszające się w dół wąsy, nadawały jej wyraz posępny i cała w swej potędze była jakby wykuta wielkiemi uderzeniami młota z marmuru. Brwi miał w tej chwili zmarszczone z powodu natężonej uwagi, ale zgadłeś łatwo, że gdy je zmarszczy gniew, wówczas biada tym ludziom, tym wojskom, na których gromy owego gniewu spadną.

Było coś wielkiego w tej postaci, że patrzącym na mą rycerzom wydawało się, iż nietylko owa komnata, ale i cały zamek dla niej zaciasny; jakoż nie myliło ich pierwsze wrażenie, albowiem siedział przed nimi Janusz Radziwiłł, książe na Birżach i Dubinkach, wojewoda wileński i hetman wielki litewski, pan tak potężny i dumny, że mu było w całej niezmiernej fortunie, we wszystkich godnościach, ba! nawet na Żmudzi i w Litwie za ciasno.

Młody jego towarzysz, w długiej peruce i cudzoziemskim stroju, był to książe Bogusław, stryjeczny Janusza, koniuszy wielkiego Księstwa litewskiego.

Przez chwilę szeptał on coś do ucha hetmana, nakoniec rzekł głośno:

— Zostawiam więc swój podpis na dokumencie i wyjeżdżam.

— Skoro nie może być inaczej, to jedź w. ks. mość — rzekł Janusz — choć wolałbym, żebyś został, bo niewiadomo, co się stać może.

— W. ks. mość obmyśliłeś wszystko, jak należy, zaś tam pilniej w sprawy trzeba wejrzyć, a zatem Bogu w. ks. mość polecam.

— Niech Bóg ma w opiece nasz dom i chwały mu przyczyni.

— Adieu, mon frere.

— Adieu!

Dwaj książęta podali sobie ręce, poczem koniuszy wyszedł śpiesznie, a hetman wielki zwrócił się do przybyłych.

— Wybaczcie waszmościowie, że pozwoliłem czekać, — rzekł niskim, powolnym głosem — ale teraz i uwaga i czas rozerwane na wszystkie strony. Słyszałem już nazwiska waszmościów i ucieszyłem się w duszy, że Bóg w takich chwilach zsyła mi takich rycerzy. Siadajcież mili goście. Który z waszmościów jest pan Jan Skrzetuski?

— Jam jest, do usług waszej książęcej mości — rzekł Jan.

— To waszmość jesteś starostą... bodajże cię... zapomniałem...

— Żadnym starostą nie jestem — odrzekł Jan.

— Jakto? — rzekł książe, marszcząc brwi — waści nie dali starostwa za to, coś pod Zbarażem uczynił?

— Nigdym o to nie zabiegał.

— Boć powinni byli dać bez starania. Jakto? Co waćpan mówisz? Niczemć nie nagrodzono? Zapomniano zgoła? To mi i dziwno. Ale ba! nie powinno to nikogo dziwić, bo teraz tacy tylko otrzymują nagrody, którzy mają grzbiet wierzbowy, łatwo się gnący. Waszmość nie jesteś starostą, proszę.... Niechże Bogu będą dzięki, żeś tu przyjechał, bo tu nie mamy tak krótkiej pamięci i żadna zasługa nie pozostanie bez nagrody — jako i twoja, mość pułkowniku Wołodyjowski...

— Na nic jeszcze nie zasłużyłem...

— Zostaw to mnie, a tymczasem weźmij ten dokument, w Rosieniach już roborowany, którym ci Dydkiemie w dożywocie puszczam. Nie zły to kawał ziemi i sto pługów wychodzi co wiosnę orać. Weźże i to, bo nie mogę dać więcej, a powiedz panu Skrzetuskiemu, że Radziwiłł nie zapomina swych przyjaciół, ani tych, którzy ojczyźnie pod jego wodzą oddali usługi.

— Wasza książęca mość!... — wyjęknął zmięszany pan Michał.

— Nie mów nic i wybaczaj, że tak mało, ale powiedz, powiedz ichmościom, że nie zginie, kto swoję fortunę na zło i na dobro z radziwiłłowską połączy. Nie jestem królem, ale gdybym nim był — Bóg mi świadkiem, że nie zapomniałbym nigdy takiego Jana Skrzetuskiego, ani takiego Zagłoby...

— To ja! — rzekł Zagłoba, wysuwając się raźno naprzód, bo już go to niecierpliwić zaczynało, że nie było o nim dotąd wzmianki.

— Zgaduję, że to waszmość, gdyż mi powiadano, żeś człek w lata podeszły.

— Do szkół z dostojnym rodzicem waszej książęcej mości chodziłem, a jako rycerska w nim była od dzieciństwa inklinacya, przeto mnie do poufałości przypuszczał, bo i ja wolałem dzidkę od łaciny.

Panu Stanisławowi Skrzetuskiemu, który Zagłobę mniej znał, dziwno to było słyszeć, gdyż wczorajszego jeszcze dnia Zagłoba mówił w Upicie, że nie z nieboszczykiem księciem Krzysztofem, ale z samym Januszem do szkół chodził, co było niepodobne, bo książe Janusz znacznie był młodszy.

— No proszę — rzekł książe — to waćpan z Litwy rodem?

— Z Litwy! — odrzekł bez zająknienia pan Zagłoba.

— To zgaduję, że i waszmość żadnej nagrody nie otrzymał, bo my Litwini już do tego przywykli, że nas niewdzięcznością karmią... Dla Boga! gdybym waszmościom to dał, co im się słusznie należy, tedyby dla mnie samego nic nie pozostało. Ale takito los! My niesiem krew, życie, fortuny i nikt nam za to słowa nie powie ani głową kiwnie. Ha! trudno! jakie ziarno sieją, taki plon będą zbierali... Tak każe Bóg i sprawiedliwość... Waćpanże to usiekłeś przesławnego Burłaja i ściąłeś trzy głowy pod Zbarażem!

— Burłaja ja usiekłem, wasza książęca mość — rzekł Zagłoba — bo powiadali, że z nim się żaden człowiek mierzyć nie może, więc chciałem pokazać młodszym, że męstwo nie całkiem jeszcze wygasło w Rzeczypospolitej... A co do trzech głów, mogło się to w gęstwie bitwy przytrafić... ale pod Zbarażem uczynił to kto inny.

Książę zamilkł na chwilę, poczem odezwał się znowu:

— Zali nie bolesna waszmościom ta wzgarda, jaką wam zapłacono?

— Co czynić, wasza ks. mość, choć człowiekowi i markotno — odparł Zagłoba.

— Pocieszcie się, bo się to musi zmienić... Już za to, żeście tu przyjechali, dłużnikiem waszym jestem, a chociażem nie król, przecie się u mnie na obietnicach nie kończy.

— Wasza ks. mość — rzekł na to żywo i trochę dumnie pan Skrzetuski — nie po nagrody i fortuny my tu przyjechali... Jeno że nieprzyjaciel naszedł ojczyznę, więc chcemy jej zdrowiem naszem iść w pomoc pod wodzą tak wsławionego wojownika. Brat mój, Stanisław, patrzył pod Ujściem na bojaźń, nieład, hańbę i zdradę, a w końcu na tryumf nieprzyjaciela. Tu pod wielkim wodzem i wiernym obrońcą ojczyzny i majestatu służyć będziem. Tu nie wiktorye, nie tryumfy, ale klęski i śmierć czekają na nieprzyjaciół... Ot, dlaczego służby nasze waszej ks. mości przybyliśmy ofiarować. My żołnierze, bić się chcemy i pilno nam do boju.

— Jeśli taka wasza chęć, tedy i w niej będziecie mieli ukontentowanie — odparł książę. — Nie będziecie długo czekali, choć najprzód na innego nieprzyjaciela ruszymy, bo nam popioły wileńskie pomścić trzeba. Dziś, jutro, ruszymy w tamtę stronę i da Bóg, z nawiązką krzywdy zapłacim... Nie zatrzymuję dłużej waszmościów, bo i wy wypoczynku potrzebujecie i mnie robota pali. A przyjdźcież wieczorem na pokoje, może się i jaka słuszna zabawa przed pochodem zdarzy, bo siła białogłów pod nasze skrzydła do Kiejdan się przed wojną zjechało. Mości pułkowniku Wołodyjowski, podejmujże drogich gości jakoby w domu własnym i pamiętajcie, że co moje, to i wasze!... Panie Harasimowicz, powiedz tam w sali zebranym panom braciom, że nie wyjdę, bo czasu nie mam, a dziś wieczór dowiedzą się wszystkiego, co chcą wiedzieć... Bądźcie waszmościowie zdrowi i bądźcie Radziwiłłowi przyjaciołmi, gdyż mu siła teraz na tem zależy.

To rzekłszy ów potężny i dumny pan, począł podawać z kolei rękę panu Zagłobie, dwom Skrzetuskim, Wołodyjowskiemu i Charłampowi, jakby sobie równym. Posępne oblicze rozjaśniło mu się serdecznym i łaskawym uśmiechem i owa nieprzystępność, otaczająca go zwykle jakoby ciemną chmurą, znikła zupełnie.

— To wódz, to wojownik! — mówił Stanisław, gdy z powrotem przeciskali się przez tłum szlachty, zebrany w sali audyencyonalnej.

— W ogieńbym za niego poszedł! — zawołał Zagłoba. — Uważaliście, jak wszystkie moje przewagi na pamięć umie?... Ciepło będzie Szwedom, gdy ten lew zaryczy, a ja mu zawtóruję. Niemasz takiego drugiego pana w Rzeczypospolitej, a z dawnych jeden tylko książę Jeremi, a drugi pan Koniecpolski, ojciec, mogli z nim wejść w paragon. To nie lada kasztelanina, coto pierwszy z rodu na senatorskiem krześle zasiadł i hajdawerów jeszcze sobie na niem nie wytarł, a już nosa zadziera i szlachtę młodszą bracią nazywa i swój konterfekt zaraz każe malować, aby, nawet jedząc, miał swoje senatorstwo przed sobą, gdy się go za sobą dopatrzyć nie może... Panie Michale, doszedłeś do fortuny!... Już tak widać jest, że kto się o Radziwiłła otrze, ten sobie wytarty kubrak ozłoci. Łatwiej tu widzę o promocyę, niż u nas o kwartę gniłek. Wsadzisz rękę w wodę z zamkniętemi oczami i już szczupaka dzierżysz. To mi pan z panów! Szczęść ci Boże, panie Michale Skonfundowałeś się, jak panna po ślubie; ale to nic! .. Jakże się to twoje dożywocie nazywa? Dudkowo, czy jak?... Pogańskie nazwy w tej krainie. Jak orzechami o ścianę rzucisz, to właśnie imię wioski albo szlachcica uczynisz. Ale byle intrata była dobra, to nic żal i jęzór sobie wystrzępić.

— Skonfundowałem się okrutnie, przyznaję — rzecze pan Michał — bo to, co waćpan mówisz, że tu tak o promocyę łatwo, to nieprawda. Nieraz ja słyszałem starych żołnierzy, pomawiających księcia o awaracyą, a teraz zaczynają się niespodzianie łaski sypać jedna za drugą.

— Zatknijże sobie ten dokument za pas, uczyń to dla mnie .. A jeżeli ktoś jeszcze będzie na niewdzięczność książęcą narzekał, to go zza pasa wyciągnij i daj mu nim w pysk. Lepszego argumentu nie znajdziesz.

— Jedno widzę jasno, że książe sobie ludzi kaptuje — rzekł Jan Skrzetuski — i że chyba jakieś zamiary tworzy, do których mu pomoc potrzebna.

— Alboś to nie słyszał o tych zamiarach? — odrzekł Zagłoba. — Alboż to nie powiedział, że mamy iść popioły wileńskie pomścić?... Powiadali na niego, że Wilno zrabował, a on chce pokazać, że nietylko cudzego nie potrzebuje, ale i swoje gotów jeszcze dodać... Piękna to ambicya, panie Janie. Daj nam Boże więcej takich senatorów!

Tak rozmawiając, znaleźli się znowu na dziedzińcu zamkowym, na który wjeżdżały co chwila to oddziały konnych wojsk, to gromady zbrojnej szlachty, to kolaski wiozące personatów okolicznych z żonami i dziećmi. Postrzegłszy to pan Michał, pociągnął wszystkich ze sobą do bramy, aby się wjeżdżającym przypatrywać.

— Kto wie, panie Michale, dziś twój fortunny dzień... Może tu i żona dla ciebie pomiędzy temi szlachciankami jedzie — rzekł pan Zagłoba. — Obacz! ot, jakaś kolaska odkryta się tu zbliża, a w niej coś białego siedzi...

— Nie panna to jeszcze jedzie, ale ten, który mi może ślub z nią dać, — odrzekł bystrooki pan Wołodyjowski — gdyż zdaleka poznaję, że to ksiądz biskup Parczewski nadjeżdża z księdzem Białozorem, archidyakonem wileńskim.

— Zali oni księcia, choć kalwina, odwiedzają?

— Cóż mają czynić; gdy tego potrzeba dla spraw publicznych, muszą ze sobą politykować.

— Ej, rojno też tu! ej, gwarno! — rzekł z radością pan Zagłoba. — Człowiek już zardzewiał na wsi, jak stary klucz w zamku.... Tu się lepsze czasy przypomną. Szelmą jestem, jeżeli dzisiaj do jakiej dziewki, gładyszy, w zaloty się nie puszczę!

Dalsze słowa pana Zagłoby przerwali żołnierze, trzymający straż w bramie, którzy wypadłszy z odwachu, stanęli w dwa szeregi na przyjęcie księdza biskupa; on zaś przejechał, czyniąc krzyż ręką na obie strony, błogosławiąc żołnierzy i zebraną w pobliżu szlachtę.

— Polityczny to pan, książe, — rzekł Zagłoba — że tak księdza biskupa honoruje, chociaż sam zwierzchności kościelnej nie uznaje... Dałby Bóg, żeby to był pierwszy krok do nawrócenia.

— E! nie będzie z tego nic. Niemało o to starań czyniła pierwsza jego żona i nic nie wskórała, aż umarła ze zmartwienia... Ale czemuto szkoty z wart nie schodzą? Widać znowu ktoś godny będzie przejeżdżał.

Jakoż w dalekości ukazał się cały orszak zbrojnych żołnierzy.

— To dragony Ganchofa, poznaję; — rzekł Wołodyjowski — ale jakieś karety w środku idą!

Wtem bębny poczęły warczeć.

— Oho! to widać ktoś większy od księdza biskupa żmudzkiego! — zawołał Zagłoba.

— Czekaj waść, już są.

— Dwie karety wpośrodku.

— Tak jest. W pierwszej to pan Korf, wojewoda wendeński.

— Jakże! — zakrzyknął Jan — to znajomy ze Zbaraża...

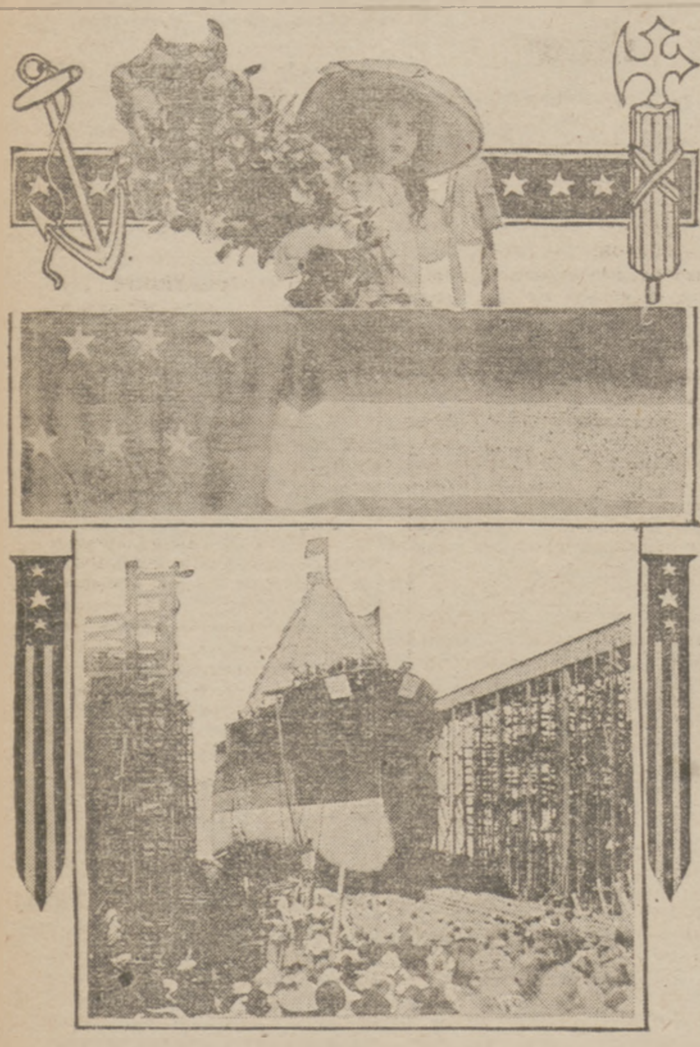
Jakoż wojewoda poznał ich, a najpierwej Wołodyjowskiego, którego widocznie częściej widywał; więc przejeżdżając, wychylił się z kolaski i zakrzyknął:

— Witam waszmościów, starzy towarzysze!... Ot, gości wieziem!

W drugiej karecie, z herbami księcia Janusza, zaprzągniętej w cztery białe ogiery, siedziało dwóch panów wspaniałej postaci, ubranych zcudzoziemska, w kapelusze o szerokich koliskach, z pod których jasne pukle peruk spływały im aż na ramiona, na koronkowe, szerokie kołnierze. Jeden, bardzo otyły, nosił spiczastą płową brodę i wąsy rozstrzępione na końcach i podniesione do góry; drugi młodszy, ubrany całkiem czarno, mniej rycerską miał postawę, ale może wyższy jeszcze urząd gdyż na szyi błyszczał mu złoty łańcuch, zakończony jakimś orderem. Obaj widocznie byli cudzoziemcami, spoglądali bowiem ciekawie na zamek, na ludzi i na ubiory.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Największy okręt wojenny marynarki ameryk.



Photos by American Press Association.

Niedawno spuszczono na wodę okręt wojenny Texas, który jest najpotężniejszym kolosem marynarki amerykańskiej. Kosztował on $14,000,000. Ma objętości 30,000 ton, długości 573 stóp i szybkość 21 węzłów na godzinę. Rycina powyższa przedstawia także małą Claudię Lyon, córkę pułkownika Lyon z Missouri, która ochrzciła okręt.



DLA NASZYCH DZIECI.

Deszczyk.

Jasne słoneczko
Późno dziś wstało,
Rozpędzić chmurek
Czasu nie miało.

Więc się zbierają
Zewsząd gromadnie,
Za chwilę pewnie
Deszczyk upadnie.

Ożywi drzewa
W ogrodzie, w lesie,
Schylone główki
Kwiatków podniesie.

Na kwiatach róży
Rozwinie pąki,
Świeżą zielenią
Pokryje łąki.

Więc chociaż w domu
Siedzę nierada,
Dzięki Ci, Boże,
Że deszczyk pada.

Chytry węglarz.

Węglarz szedł do lasu, aby palić węgle, wtem spotkał niedźwiedzia z dzikiem. Niedźwiedź mu rzecze:

— Mój miły człeku, muszę cię zjeść, bo jestem głodny.

Węglarz odpowiada:

— Miły niedźwiedziu, nie obronię się tobie, bo jestem sam, a was dwóch. Ale mam ze sobą obiad, pozwól mi zjeść go ostatni raz w życiu.

Węglarz miał chleb z kiełbasą i rzucił jej niedźwiedziowi kawałek. Niedźwiedź posmakował i rzekł:

— Eeeeee! a gdzie to takie korzonki rosną?

Węglarz powiada niedźwiedziowi:

— Bracie, jabym ci to powiedział, ale nie śmiem.

Niedźwiedź rzecze:

— Jeno powiedz, nie bój się niczego!

Węglarz powiada:

— Z tego oto dzika robią się takie korzonki.

Niedźwiedź na dzika się rzucił, rozszarpał go i rzekł węglarzowi:

— Zaraz mi zrób takich korzonków!

Węglarz mu na to:

— Miły bracie, nie idzie to tak łatwo; musi być ogień, musi być garnek; a ja jestem brudny, muszę się trochę umyć, aby ci się nie zbrzydziło!

Niedźwiedź rzekł:

— Idź umyj się!

Węglarz się umył, ale znowu nie miał się czem otrzeć, więc mówi do niedźwiedzia:

— Daj mi twój kożuch, abym się mógł o niego otrzeć.

Niedźwiedź ku niemu przystąpił, a węglarz się otarł. Lis, który był kumotrem niedźwiedzia, poszedł po garnek, a wilk — stryjek, niecił ognia. Węglarz zabrał się do rąbania wielkiego buka. Gdy go trochę narąbał, wsadził klin i rzekł do niedźwiedzia:

— Tyś taki siłacz, włóż w buk łapy i pomóż mi go rozłupać!

Wtedy wilk rzecze do niedźwiedzia:

— Stryjku, miej się na baczności; węglarz szelma, jeszcze ci jaką psotę wyrządzi!

Ale niedźwiedź na wilka nie zważał i pomagał, jak mógł, aby się co rychlej uraczyć korzonkami wieprzowemi. Tymczasem węglarz wyjął naraz klin, i rozczepiony buk niedźwiedziowi łapy pochwycił. Niedźwiedź krzyczał:

— Szczypie, szczypie!

Ale węglarz rzekł;

— No... poczekaj bratku, pomagaj dalej.

Potem chwycił niedźwiedzia za ogon, wziął pałkę i począł go nią okładać. Wilk patrzał na to chwilę i potem rzekł:

— Dobrze ci bratku, mówiłem przecież, miej się na baczności, bo to szelma: mógłby on i mnie tak ugościć jak ciebie.

To rzekłszy, uciekł. Lis, który niósł garnek, gdy spostrzegł, co się dzieje, garnek zostawił i także uciekł, a węglarzowi został cały dzik.

Kukułka.

Dzieci polskie w Ameryce kukułkę znają chyba z zegarów.

Warto się jednak o tym ptaku czegoś więcej dowiedzieć.

Niemcy kukułkę nazywają ptakiem złowieszczym, lubiącym drażnić i oszukiwać ludzi, a w podaniu starożytnem przedstawiają ją jako piekarza, czy młynarza, który kradnąc chleb biednym robotnikom wołał złośliwie: "Guck! kuck!" patrz! patrz!, za co Wszechmocny przemienił go w kukułkę, powtarzającą słowa owe za karę po wszystkie czasy. — Słowianie zaś szare to ptaszę, powszechnie także "zuzulą" albo "zazulą" zwane, sławią w pieśni, witają z radością, i wierzą w jego proroctwa.

Kukułko! kukułko! a dużo tam jeszcze,
A dużo naliczysz mi latek? —
O! ptaszę ty moje, o! ptaszę ty wieszcze,
I kiedyż tam będzie ostatek? —

mówi Lenartowicz w swej "Wiochnie", a lud na Rusi śpiewa:

Kukasz kukułeczko, twój głos smutniuteńki,
Nie tak ty kukala, gdym ja był maleńki.
Bardzo smutno teraz kukasz, kukułeczko,
A gdzież mi zakukasz na drugie lateczko?

W innej dłuższej pieśni znowu opowiada poeta: gdy zabito wdowie syna, przyleciały trzy kukułki żałosne. Jedna upadła przy głowie, była to matka-wdowa — druga przy nogach zimnych, to siostra stroskana — a przy sercu, które już nigdy żywem tętnem uderzyć nie miało, usiadła trzecia, ta najmilsza mu z istot na ziemi, ukochana gorąco, która wszelako, jak śpiewa następna zwrotka, najpierw łzy osuszyła.

W starożytnym czeskim poemacie, zwanym "Królodworskim rękopisem", znajdujemy prawdziwą perełkę ludowej czeskiej poezyi p. n. "Zazulka". Przytaczamy ją tu w przekładzie Lucyana Siemieńskiego:

Dąb w szerokim stoi polu,
Kukułka żałosna
Zakukała na gałęzi,
Że nie zawsze wiosna.
Jakby źrało na zasiewach,
Gdyby wiosna zawsze!
Jakby owoc źrał na drzewach,
Gdyby lato zawsze!
Jakby marznął kłos w stodole,
Gdyby jesień była!
Jakbym ciężką miała dolę,
Gdybym samą była!

Przytaczając wszystkie pieśni, wspominające o kukułce, możnaby ułożyć tom cały. — "Zazulę", 'zazuleńkę', "kukułeczkę" nierównie więcej lud ceni, niż słowika, na głos którego często jest obojętny. Zabicie jej uważa za zbrodnię. Słowik, to ulubieniec poetów, a zaś kukułka ulubienicą jest prostaczków i uczonych całej Słowiańszczyzny.

— Powiedzże mi, kukułko, ile lat żyć będziemy z tą oto panną w stadle małżeńskim? — pyta Skrzetuski w Rozłogach w rozległej powieści Henryka Sienkiewicza "Ogniem i mieczem" — a ileż bohaterów literatury naszej czyni podobnie! Któż zresztą z szanownych czytelników i czytelniczek nie zwrócił uwagi, nie drgnął radośnie, na pierwszy głos kukułki, gdy śnieżne opony z pól zeszły, a ziemia oczekiwała wiosennego stroju?

— Kukułka! kukułeczka! — wołają dzieci, szukające śniegułek po krzakach, gdy usłyszą pożądany sygnał wiosenny.

— Na suchy las przyleciała — mówią starzy — złodziej wykryje się łatwo.

— A masz pieniądze? — dzwoniąc srebrem, pytają szczęśliwsi.

— Na czczo mi zakukała, będzie głód i choroba.

— A mnie "do pary", z pełnem wiadrem mleka — wtrąca dziewka od krówek bieżąca, hoża i rumiana, ciesząc się nadzieją swatów w zapusty i dostatkiem w chacie ulubieńca.

Miłe to ptaszę — ta stara zuzula — zwłaszcza, gdy kuka przy lesie, a echo głos odbija — nawet i wtedy, gdy przeleci blisko domu, wróżąc deszcz, w chmurze wiszący, nikt jej nie złorzeczy i nikt nie straszy, prócz jastrzębia, przed którym zręcznie umyka, w gąszcz liści się kryjąc. W Grecyi wszelako ma być inaczej. Tam na targi przynoszą zabite kukułki, jak u nas kwiczoły, uważając mięso tych ptaków za bardzo smaczne, co już Rzymianie sprawdzili, spożywając je masami.

Kukułka jest ptakiem przelotnym, zimuje w Afryce i Azyi. Podobną jest do gołębia i krogulca z kształtu, lubo nie z tymi ptakami nie ma wspólnego, należy bowiem do gromady łażących. — Opierzenie jej jest popielate z czarnemi na piersiach, a białemi u skrzydeł pręgami. Oczy ma żółte, nader bystre; z daleka potrafi ujrzeć zdobycz pożądaną, spuszcza się po nią błyskawicznie i uchodzi, a jest nią zwykle gąsienica włochata, zwana "mniszką", ulubione jej pożywienie, dlatego bardzo pożyteczną jest kukułka w ogrodach i lasach, gdzie szczególnie nad łąkami przebywać lubi, oddzielając sobie samowolnie na wyłączne posiadanie rewir cały, do którego nie pozwala wkroczyć innym kukułkom.

Kukułkę od najdawniejszej starożytności uważano jako wyrodną matkę — niezwykłe zjawisko w naturze — powierzającą innym wychowanie dzieci swoich, która ucztuje, śpiewa jakkolwiek samiec tylko głos wydaje i bawi się bez końca.

Wprawdzie wiele uczucia macierzyńskiego szarej tej ptaszce przyznać nie można, lecz są ku temu ważne powody z których jeden już wystarczy. Najważniejszym jest ten, że kukułka znosi sześć do siedmiu jajek, stosunkowo niedużych rozmaicie nakrapianych, po jednem przez 8 tygodni, przeto sama nie może ich wysiadywać, lub gdyby czekała na ostatnie, pierwsze by się zepsuło. Bierze więc w gniazdo, upatrzone poprzednio, pliszki, dzierlatki, albo innych drobnych, śpiewających ptasząt, skąd wyrzuca kilka jaj właścicielki, jeśliby tych było za wiele. Zwykle jajami swemi obdziela gniazd kilka, aby jak dowodzą naturaliści, wylęgłe z nich pisklę, wiele potrzebujące pokarmu, łatwiej było obsłużone przez małe ptaszki; chociaż silne ono i zmyślne zaraz po otworzeniu dzioba radzi sobie doskonale, wytrącając współtowarzyszy i zabierając im przeznaczone dla nich pożywienie, czemu narzuceni rodzice nie sprzeciwiają się wcale; przeciwnie, zdaja się cieszyć rozumem wychowanka i żwawo krzątają się, by mu dogodzić. Nie jest to zbyt piękny rys charakteru kukułczęcia, lecz walka o byt tłumaczy wiele.

"Kukułka" — mówią dalej naturaliści — nie dlatego składa jaja w obce gniazda, żeby nie chciała podjąć się trudu ogrzewania ich ale, instynktem wiedziona, chroni pisklęta swe przed pokarmem, jaki sama spożywa, mianowicie przed włochatemi gąsienicami, któreby im śmierć przyniosły."

"Lubiony, czy nienawidzony ptak ten — pisze jeden z naturalistów — bezsprzecznie jest istotą, o której najmniej wiemy z całej latającej rzeszy. Zjawia się i odchodzi tajemniczo, nikt nie zna ojczyzny jego; nie umiemy oznaczyć granic, które przekracza, ani właściwości budowy ciała, skłaniającej go do bezustannego ruchu — nie wiemy także dlaczego, ledwie wylęgły, staje się rodzajem pierzastego Kaina, który mlecznych braci morduje, a nawet niekiedy matkę ich, żywicielkę swoją połyka. Przebywa w różnych krajach, w rozmaitym klimacie. Słyszą go i znają nad brzegami Nigru i Senegalu w północno-wschodniej Afryce, również nad rzeką Ob i Irtyczem na dalekiej Północy; kukając, przelatuje przez Bałtyckie morze, jako też przez wonne przestworze Andaluzyi i Granady [w Hiszpanii]. Niespodziewanem zjawieniem zadziwia drwali w francuskich lasach i zabawia dziatwę szkolną w zielonych okolicach Irlandyi. Głos kukułki przypomina nam ciepłe blaski słoneczne i zielony liść altany, oraz odżywia w pamięci dni ubiegłe. Gdy zakuka nad naszą głową, myślimy mimowoli o zeszłorocznej wiośnie, o przechadzkach po lesie, o grze i tańcach na łące i o tem wszystkiem, co się wówczas wydarzyło, zatem "kronikarzem domowym" zwaćby ją można.

Kukułka jest nieprzyjaciółką małżeństwa i rodzinnego życia, o dzieci nie troszczy się wcale.

Długo sądzono, że jedno tylko jajko na rok znosi, było to jednakże błędnem mniemaniem, gdyż, jakkolwiek kukułka nigdy więcej nad jedno jajko w obce gniazdo nie składa, czyni to kilkakrotnie i jak zauważono, w najwięcej od siebie oddalonych częściach kraju, poczem w inną okolicę odlatuje. Jest więc zupełnie pozbawiona miłości macierzyńskiej. Skoro pisklę wylęgnie się z jaja, okazuje już swój charakter. Gdy np. jaje kukułcze włożone zostanie w gniazdo leśnego wróbla, oszukana matka nie odróżni go od swoich a ponieważ nie ma pojęcia o rachunkach, nie liczy ich i rozsiada się, jakoby na własnych. Ze zbliżeniem się wszelako pory wylęgania jest świadkiem niezwykłej sceny. Szkaradne kukułczę, które częstokroć dniem przedtem wykluwało się, jak inne ptaki, zaczyna rządzić w gnieździe, wyrzucając jaja lub nawet i małe pisklęta na ziemię. Natura uzbroiła małego niewdzięcznika nader korzystnie do podobnego przedsięwzięcia, dając mu na grzbiecie wydrążenie, w które kładzie jajko lub ptaszka, podnosi się i wyrzuca z placu boju. Postępowanie kukułki zasługuje na uwagę ze wszech miar. Mały zbrodniarz ofiarę swoją trąca plecami potąd, pokąd nie uda mu się jej pochwycić w wydrążenie, wówczas wstaje, trzymając grzbiet ukośnie i rzuca ją w próżnię. Uprzątnąwszy w ten sposób całe mieszkanie, powraca na swoje miejsce, oczekując z zawsze otwartym dziobem żywności, o którą niemądre wróble starają się z wielkim mozołem, żeby tylko małego potworka zadowolić. Gdy przypadkiem gniazdo położone jest wysoko, często można widzieć młode, żyjące jeszcze wróble w cierniach, lub potłuczone jaja, w których pisklęta się poruszają, w miękkiej trawie na ziemi. Wszelako nie wzrusza to wcale naturalistów, którzy wiedzą, że ani jaja, ani małe ptaszki nie giną marnie, wiele bowiem płazów, żywiących się tylko takiem pożywieniem, wyprawi sobie z nich ucztę wspaniałą. — Kukułka, która przez całe lato nic nie robi, tylko je, krzyczy i innym ptakom jaja do wylęgania składa, nie potrzebuje żadnego wychowania i nie odbiera też takowego.

Głosu używa zwykle przez dwa miesiące tylko, potem milknie i nikt o niej nic nie wie aż do następnego roku."

Dla Nauki i Rozrywki.

Cześć człowieczeństwu.

Przed jedną z bram miejskich w starożytnej Pompei stał 24 sierpnia 79-go roku legionista rzymski na warcie. Już poprzedniego wieczora zaczął padać deszcz kamieni i popiołu. Minęła noc, ale zdawało się, że słońca niema na świecie. Mroki gęste pokryły całą okolicę. Mieszkańcy uciekali z miasta i pędzili przed siebie w mrok. Żołnierz na warcie widział, co się dzieje. Patrzał całemi godzinami na tłumy przerażonych zbiegów. Czuł, że koniec się zbliża, że morze płomieni krok za krokiem posuwa się ku niemu. Ale stał i czekał. Czekał wedle przepisu na zluzowanie go przez nową wartę. Nikt nie przychodził. On stał. A gdy oddychać już nie mógł, położył się na ziemi, niby do snu, i tak z bronią w ręku zasnął na wieki. Być może, że sama natura chciała przechować pamięć tego żołnierza, bo ciało jego odcisnęła starannie w mokrej lawie. Lawa skamieniała i powstała forma, która w tysiąc ośmset lat później mogła być gipsem wylana. Legionista stał się w ten sposób niejako własnym pomnikiem, oglądanym dzisiaj przez tłumy ciekawych w muzeum pompejańskiem.

Ten żołnierz pompejański uchodził dotychczas za wzór obowiązkowości służbowej, która bez wszelkiej myśli o sławie i nagrodzie trwa na posterunku aż do tchu ostatniego. Potomni z podziwem mówili o bohaterstwie tego bezimiennego żołnierza, nazywając go dumą człowieczeństwa.

A teraz ów legionista pompejański znalazł godnych siebie towarzyszów na pokładzie "Titanica". Straszna była katastrofa, ale kto wie, czy nie zesłała ją po to Opatrzność, aby znów ożywić naszą wiarę w człowieka, aby zagłuszyć straszny pesymizm, aby oddalić od nas widmo... "bestyi ludzkiej".

Prześliczny artykuł temu majestatowi bohaterstwa, które opromieniło ostatnie chwile "Titanica", poświęcił znany literat i publicysta, Maks Nordau.

Mówi on naprzód o Philipsie, tym skromnym telegrafiście, który w chwili, gdy okręt zanurzał się w głębię oceanu, siedział spokojnie przy swym aparacie i słał w świat daleki okrzyki: Toniemy! Ratujcie!

Oto odzywa się w jego kabinie telefon: "Wołaj pan o pomoc. Jesteśmy przedziurawieni!" Siadł i rozpoczął robotę. Usłyszano go. Odpowiadają mu. Prowadzi rozmowę z dalekiemi statkami. Notuje!

Nagle — pisze Nordau — z pomostu komendanta nadchodzą nowe wieści, które uderzają w niego jak maczuga: "Okręt tonie! O wypompowaniu wody niema mowy. Spuszczamy łodzie. Rozdzielamy pasy ratunkowe!"

Dla niego nie istnieje ani łódź, ani pas. Musi wytrwać przy swym aparacie. Musi słać w dal niezmierzoną swoje "C. Q. D.", formułę straszną, sygnalizującą najwyższe niebezpieczeństwo. Nie wolno mu osłabnąć. Nie wolno myśleć o własnym ratunku. On jest jedynym łącznikiem między okrętem a światem, na nim opiera się jedyna nadzieja 2,500 ludzi, on tylko stoi między nimi a zgubą. Ten człowiek wie doskonale, co się dzieje. Co minutę otrzymuje wieści od kapitana. Woda już sięga do trzeciego pokładu. Do czwartego! A najbliższy statek znajduje się o sto mil morskich od "Titanica" i dopiero w 6—8 godzin przybyć może z pomocą.

Do celi telegrafisty weszła śmierć. Philipps słyszał, jak stuka kościotrup. Czuł jego palce na plecach. Może krew ścięła mu się w żyłach, ale nie odszedł od aparatu a dalej słał w mrok oceanu swoje krótkie i długie błyskawice. Przez trzy godziny telegrafował. Nie przestał nawet wtedy, gdy już telefon kapitana zamilkł. A potem aparat przestał funkcyonować. Prądu już nie miał, do celi napływać zaczęła woda. Być może, że wtedy powstał nareszcie i starał się wyjść. Nic o tem nie wiemy. Bądź co bądź, było już za późno...

A równie monumentalne było zachowanie się członków orkiestry "Titanica". Dawali oni swój zwykły koncert wieczorny, gdy nastąpiło straszne spotkanie z górą lodową. Ich instrumenty nie zamilkły. Skrzypkowie grali i trębacze grali, jakby nic się nie stało. Ich kapelmistrz, Hartley, nie przestał dyrygować i pilnować taktu. Jeżeli nawet strach zagościł w ich wnętrzu, nie pokazali tego nikomu. Może przed oczyma ich duszy snuły się obrazy śmierci, ale ich oko cielesne, utkwione było w nuty i pałeczkę dyrygenta. Z zwykłym temperamentem grali melodye Straussa i Lenara, grali tańce i arye. Radość wypełniała salon wspaniały, rytmy taneczne drgały w nerwach skazanych na śmierć podróżnych.

Przez trzy godziny grała kapela okrętowa, aż dyrygent, Harley, zobaczył, że woda uderza już w szyby sali muzycznej i niema żadnego słuchacza. Więc urwał i po ostatnim walcu kazał zagrać pieśń kościelną "Nearer" my God, to thee", ów hymn, który śpiewają na pogrzebach w Anglii. Hartley i jego muzycy zagrali sami sobie pieśń pogrzebową.. A potem milknął jeden muzyk po drugim i jeden po drugim ginął w otchłani morza.

Kapela wojskowa, która bitwie pod Eylau, w ogniu morderczym grała swoje marsze, ma miejsce zaszczytne w dziejach wojen europejskich i otoczona jest blaskiem purpurowym sławy napoleońskiej. Muzycy na "Titanicu", skromni rzemieślnicy sztuki, bez nazwiska i pretensyi, są więksi, niż orkiestra wojskowa pod Eylau, bo ich nie upajał dym prochu i huk armat, ich nie elektryzował szał bojowy, im nie zasłaniała nadzieja zwycięstwa grozy momentu. Oni byli trzeźwi i bez nadziei. Oni grając tańce i pieśni, zamykali rachunki z życiem, a gdy zagrali "Nearer my God, to thee", wiedzieli, że w tonach ponurych i rytmach uroczystych tego hymnu swoją własną śmierć opłakują. Jeżeli to nie jest bohaterstwem, nie wiem zaiste, co jest bohaterstwem.

Rzymscy historycy podziwiają Cezara, który, upadłszy na ziemię pod ciosami sztyletów skrytobójczych, porządkował fałdy swej togi na nogach i zasłonił płaszczem swą głowę. Z tą cezarowską przyzwoitością, którą historya uważa jako fenomen, umarło na "Titanicu" 1.000 mężczyzn. Poezya już nieraz opisywała śmierć, która niespodziewanie zjawia się na jakiemś święcie rozbawionych ludzi. Zazwyczaj przedstawione jest wrażenie tej niespodzianki tak, że maska towarzyska spada, bestya w człowieku zrywa się z łańcucha, mocny słabego powala na ziemię, mężczyzna odpycha kobietę, aby siebie ocalić, egoizm odsłania najohydniejsze brutalności. Jakże rzeczywistość "Titanica" zawstydza tę wrogą człowieczeństwu literaturę! Któż może wobec podróżnych tego okrętu mówić o bestyi w człowieku. Ta bestya była ujarzmiona i pozostała do samego końca na łańcuchu. To, co się widziało, było wspaniałym tryumfem najlepszych instynktów ludzkich, dyscypliny, obowiązkowości, panowania nad sobą, braterstwa. Bohaterowie! Bohaterowie bez emfazy!

A byli to przeważnie zwykli śmiertelnicy, szare jednostki! Jakiś telegrafista na 100 funtach rocznej pensyi, tuzinkowi muzykanci, pospolici kupcy, przedstawiciele bezbarwnych zawodów, przeciętni obywatele, jakich ciągle spotykamy na ulicy. Gdyby nie katastrofa "Titanica", byliby przeszli przez życie bez zwrócenia na siebie czyjejkolwiek uwagi. W godzinie śmierci zrzucili z siebie moralne "incognito", jak poczwarka swoją łupinę. I oto stoimy w zdumieniu i podziwie przed ich dostojeństwem ludzkiem.

Z ponurej tragedyi zostaje nam jedna pociecha: Cześć człowiekowi, nawet najbanalniejszemu z pospolitaków ludzkich!

Tyle Nordau. Dodamy od siebie, że bohaterami "Titanica" byli przeważnie... Anglicy.

Na czem dawniej pisano i naczem dzisiaj piszemy.

Dawno już, bardzo dawno, nauczali się ludzie pisać; pragnęli bowiem w ten sposób porozumiewać się między sobą i potomkom swoim pozostawić pamięć o sobie, o swych czynach i pracach. Używali do tego różnych znaków, różnych sposobów, aż po wielu, wielu wiekach, po wielu trudach i mozołach obmyślili alfabet czyli abecadło. Zapomocą zawartych w nim znaków mogli myśli swe wyrażać równie dobrze, jak głosem.

Posiedli już tedy głoski pisane, ale papieru jeszcze nie mieli.

Pisali, a raczej ryli, na skałach, głazach, kamieniach, potem na płytach metalowych i drewnianych. Na starych, odwiecznych zwaliskach dawnych grodów pozostały dotąd napisy, świadczące, że mieszkańcy ich opisywali na murach ważniejsze zdarzenia.

Cegły wypalają się z gliny, która twardnieje w ogniu, a na glinie łatwo pisać można prącikiem. Używano tedy i tego sposobu; pokryte pismem tabliczki gliniane wypalano i cegiełki te przechowywano starannie. Niedawno w gruzach Niniwy (starożytne miasto w Azyi) badacze odkryli assyryjską bibliotekę ceglaną z przed kilku tysięcy lat. Uczeni zdołali odczytać te nieznane głoski i poznali w ten sposób dzieje nieznanych ludów, o których dotąd bardzo mało albo nic zgoła nie wiedziano.

W różnych czasach były użyte rozmaite materyały pisarskie. Pisano n. p. rylcem na ołowiu albo prącikiem drewnianym na płytach, powleczonych woskiem.

Bardzo też już dawno przekonali się ludzie, że dobrze można pisać na korze, a raczej na łyku niektórych drzew. Łyko nazywało się po grecku "biblos", po łacinie "liber". Od tych wyrazów poszła u Greków i Rzymian nazwa książki, a także wyraz "biblia."

W Indyach znów zaczęto pisać na liściach palmowych, wielkich, okazałych, tęgich, wcale niepodobnych do skromnych i wiotkich liści, jakimi pokrywają się nasze drzewa. Liście palmowe po wysuszeniu stanowią błonę, na której pisać można rylcem; głoski wyrznięte czernieją i stają się czytelne.

Wszystkie te jednak materyały nie mogą nawet iść w porównanie z wyrobem, którego dla celów pisarskich używano w starożytnym Egipcie już przed kilku tysiącami lat.

Nad Nilem [rzeka w Afryce] rośnie trzcina, dochodząca kilku metrów wysokości, o łodydze trójgraniastej, uwieńczonej u góry obszerną wiechą. Trzcina ta zowie się papyrus. Wycinano z tej łodygi paski podłużne i układano je obok siebie, następnie pokrywano innymi paskami, które się z tamtymi krzyżowały; to wszystko skrapiano wodą, w której była rozpuszczona guma; takim sposobem paski się spajały, poczem poddawano je silnemu ściskaniu i nakoniec wygładzano kością słoniową. Do naszych czasów dochowano się wiele takich "papyrusów".

Obok papyrusu słynął inny jeszcze materyał do pisania, mianowicie skóry zwierzęce.

Kiedy na skórach zaczęto pisać, nie wiemy, ale było to bardzo już dawno. Wyrób ich udoskonalono już przed dwoma tysiącami lat w mieście Pergamie [w Azyi mniejszej]. Od nazwy tego miasta nazwano skóry, przyrządzone do pisania, pergaminem. W większych bibliotekach znajdują się dzieła dawne, na pergaminie pisane. Był to jednak materyał tak drogi, że nieraz zeskrobywano na nim dawne pismo, aby tego samego pergaminu użyć na nowo.

Wynalazek prawdziwego papieru zawdzięczamy Chińczykom; oni to zaczęli wyrabiać papier z bawełny. Wyrób papieru z bawełny przeszedł z Chin do sąsiedniej Buchary, a stamtąd za pośrednictwem Arabów dostał się do Europy tysiąc może lat temu.

Papier bawełniany długo był w użyciu; ale z czasem poznano, że włókna innych roślin mogą równie dobrze, a nawet lepiej nadawać się do wyrobu papieru; zaczęto tedy wyrabiać go z lnu i bawełny. Miejsce papieru bawełnianego zajął lniany. Najdogodniej można wyrabiać papier ze szmat, z gałganów. Dawniej nie miały one żadnej wartości. W czasach obecnych jednak umiemy korzystać z nich, jak z wielu innych rzeczy, które dawniej wyrzucano, jako zupełnie bezużyteczne. Dziś wszelkie szmaty zbiera się starannie i zwozi do papierni. Tu przechodzą one przez wiele rąk, zanim zamienią się w papier. Przedewszystkiem trzeba je rozgatunkować, to jest zebrać według materyału, z którego pochodzą: lnu, konopi czy też bawełny; im bardziej są zużyte, tem łatwiej otrzymać można papier piękny i delikatny. Gdy szmaty już starannie wybrano, rozdzielono i usunięto z nich szwy, nici kręcone, węzły kraje się je na drobne części. Niegdyś używano do tego noży, obecnie odbywa się to zapomocą maszyn.

Robota jedna następuje po drugiej. Włókna trzeba rozdrobić, rozkruszyć na maleńkie cząstki. Rozkruszyć można włókna przez tłoczenie silnymi młotami czyli stępami. Dawniej używano rzeczywiście tego sposobu, ale kruszenie odbywało się powoli; obecnie więc włókna rozrywa się nożami. Noże te osadzone są w stosownem korycie, przez które przepuszcza się szmaty, pomieszane z wodą, koryta zaś takie nazywają się holendrami dlatego, że zaczęto używać ich najpierw w Holandyi.

Po przejściu przez holender szmaty są już bardzo rozdrobnione; można je wtedy wybielić; potem przechodzą przez inny holender mający jeszcze większą liczbę noży. Tam dzielą się na tak miałkie cząstki, że pomieszane z wodą stanowią już masę papierową. Miazgę tę trzeba tylko osuszyć, aby mieć papier. Osuszyć zaś można ją dwoma sposobami: ręcznym i maszynowym.

Przy fabrykacyi ręcznej czerpie się miazgę płaskiemi sitami drucianem; woda przecieka przez otwory, a na sicie pozostaje masa papierowa. Masa ta przekłada się następnie na przygotowane podkładki i pilśnie i nakrywa się podobną warstwą pilśniową, na którą przybywa dalszy arkusz masy papierowej. W ten sposób powstają wysokie stosy, które naciska się prasą; następnie arkusze wyjmuje się z pomiędzy pilśni, rozwiesza się na sznurach dla wysuszenia i papier jest gotów.

Dla sposobu, na którym polega ta fabrykacya, nazywa się papier taki czerpanym, bo czerpano go przecież sitami z kadzi.

Do pisania wszakże jest jeszcze nieprzydatny, atrament po nim się rozleje; papier pisarski musi być klejony, to jest zanurzony w mieszaninę kleju z ałunem, wyciśnięty i znowu wysuszony. Staje się przez to twardym.

Przy fabrykacyi maszynowej wszystkie te roboty, które opisaliśmy wyżej, czerpanie, klejenie, suszenie, wykonywa maszyna. Jest ona tak urządzona, że gdy z jednej strony przelewa się do maszyny miazga papierowa, z drugiej wychodzi ciągły, nieprzerwany pas gotowego zupełnie papieru, który nawija się na wał, tworząc grube zwoje, i dlatego nazywa się papierem bez końca. W razie potrzeby przecina się go maszyną na arkusze.

Papieru używa się teraz tak wiele, że szmat nie starczy na potrzeby wszystkich papierni. Fabrykańci przeto zastępują szmaty różnymi innymi materyałami. Wyrabiają więc papier z drzewa i ze słomy, są to jednak gatunki podrzędne.

Z masy papierowej Japończycy wyrabiają nawet chustki do nosa i filiżanki, z których pić można nawet gorącą herbatę. W Ameryce zaś często wyrabiają z papieru koła do wozów, drzwi, a nawet całe domy. Dzięki nauce i pracy człowiek potrafi przetwarzać wiotkie szmaty w materyał bardzo mocny i wytrzymały.

St. Kramsztyk.

Dowiedział się.

— Cóżeś tak wesoły?

— Ach! nieposiadam się z radości.

— Czyś wygrał na loteryi?

— Jeszcze lepiej.

— Możeś jaki znaczny urząd otrzymał?

— Jeszcze lepiej.

— Cóż takiego?

— Oto moja żona dostała...

— Może jaki spadek?

Jeszcze lepiej.

— To zapewne jaki kosztowny podarek od swojej bogatej matki?

— Jeszcze lepiej.

— Cóż więc?

— Oto dostała chrypki!... Przynajmniej będzie trochę ciszej w domu.

U adwokata.

— Moi kochani, szkoda fatygi, czasu i pieniędzy na skargę, cóż złego wam się stało, że was nazwano krętaczem, gdybym ja chciał wszystkich tych, co mnie tak nazwali, skarżyć, tobym musiał cały rok długi siedzieć w sądach.

— E, panie mecenasie, u panów to co innego, ale u nas prostych ludzi to nie uchodzi.

Pisze o swej matce.

Pan Emil Matti z Lee Center, N. Y. pisze: "Od czasu, jak ludzie w okolicy poznali, jak Gomozo pomogło mojej matce, jest tutaj wielkie zapotrzebowanie tego lekarstwa. Doktorzy nie mogli jej pomódz. Pewnego dnia z Rome, N. Y. dowiedziałem się o Gomozo i przywiozłem dwie butelki. Już po użyciu jednej mogła moja matka chodzić kolo domu. Użyła też i drugą i teraz jest co dzień silniejszą. Przesyłam od niej serdeczne podziękowanie. Chętnie przyjąłbym tę agenturę."

Dra. Piotra Gomozo nie jest lekarstwem aptecznem, ale zwykłym lekiem ziołowym, dostarczanym wprost z laboratoryum fabrykantów: Dr. Peter Fahrney and Sons Co., 19 — 25 So. Hoyne ave., Chicago, Ill.

KATALOG KSIĄŻEK

Własnego druku i nakładu.

DJABEŁ W KRAKOWIE. Powieść ciekawa, a dająca dużo bardzo do myślenia na temat dobroci niejednej kobiety. — Powieść ta udowadnia, że najcięższe chwile w życiu mężczyzny to kobiety, które tak straszne są w oczach całego świata, że nawet część świata piekielnego, to jest mieszkańcy podziemni mają strach przed tym rodzajem piękności ziemskiej. Kosztuje .... 10c.

DZIADOWSKI WYCHOWANEK. Powiastka napisana przez Kl. Junosza. Rzecz dzieje się w Zalesiu, wsi bardzo uroczej, położonej nad śliczną małą rzeczułką. Powieść interesująca i poważna, a dotyczy dwóch: głupiego Janka i rybaka Piotra. Dziwni są obydwaj: Piotr, prosty sobie człowiek, nie skory do wiele gadania — a Jasiek znów, dziki, od ludzi stroniący, gadający czasem ni w pięć ni w dziewięć, chociaż czasem i przez swą głupotę prawdę wypowie. Zainteresują cię bardzo ich przygody. Cena .... 15c.

DZIECI POZNAŃSKIE. Jest to prawdziwa historya, — osnuta na tle prześladowań dzieci pod zaborem pruskim. Każdego to wzruszy. Cena .... 5c.

DZIESIĘĆ DNI NA TRATWIE. Jest opowiadanie, przerobione z czeskiego przez E. Trojana. Ze samego tytułu może sobie czytelnik wyobrazić, że ci ludzie, którzy na tratwie przeżyli tych 10 dni okropnych na morzu byli rozbitkami. Podane jest tu, jak najpierw okręt osiadł na mieliźnie, jak byli zmuszeni z niego uchodzić i budować dla siebie tratwę; a jakie straszne przygody przeszli na tej tratwie, to aż strach zbiera na samo wspomnienie. Ilustrowana. Cena 15c.

DZIEJE NARODU POLSKIEGO. Ta dosyć obszerna księga naszych dziejów i naszej upadłej Ojczyzny jest dla nas i powinna być dla każdego Polaka świętą biblią, którą należałoby czytać co dzień, wczytywać się uważnie w dzieje naszego bohaterstwa i myśleć zawsze, jakby naprawić zło i jakby można dopomódz tej naszej nieszczęśliwej matce. Każdy Polak obowiązany jest tę książkę posiadać i znać ją na pamięć. Jest ślicznie ozdobiona 78 obrazkami. W mocnej oprawie. .... 35c.

DZIEJE STAREGO I NOWEGO TESTAMENTU, czyli Historya Biblijna, ułożona dla szkół katolickich z 100 obrazkami i mapą ziemi świętej. W mocnej oprawie .... 40c.

DZIEJE ŚWIĘTE, w krótkości opowiedziane przez doktora teologii ks. I. Schustera. Wydanie to odznacza się tem, że najprzód stylem zbliża się do języka używanego w Piśmie św., powtóre dodano w niem gdzieniegdzie krótkie wierszyki, które dzieci bardzo chętnie się uczą i daleko łatwiej zatrzymują w pamięci i sercu czyto treść opowiadania, czy naukę moralną, lub uczucie z niego wypływające. Aprobowane przez władze duchowne. Cena .... 25c.

DZIECI WDOWY. Powieść moralna dla dorosłej młodzieży. Jeżeli wogóle jaka powieść nadaje się dla dorosłej młodzieży, to właśnie ta, bo w niej znajdzie młody czytelnik i czytelniczka to, co im będzie potrzebne w całem życiu swojem. Skreślona tu jest historya Maryi i Edwarda, dzieci wdowy, pani Sternburg, żony rotmistrza, który poległ w walce z największymi nieprzyjaciółmi naszymi dawnej naszej Polski, Szwedami. Dokładnie i jasno przedstawione jest życie po śmierci swego ojca, jak one jako dobre dzieci dopomagały matce w jej nieszczęściu i chorobie i jak ich za to Pan Bóg sowicie wynagrodził, obdarzając ich szczęściem i majątkiem. Powieść ta zasługuje szczególnie na pochwałę z powodu jej celu i poleca się młodzieży jako najpożyteczniejsze dzieło. Cena 30c. W mocnej oprawie ze złoconym tytulikiem .... 60c.

DZIEŁO ZBIOROWE. Czytelnik znajdzie w tej książce, setki rozmaitych pouczających artykułów opisowych i naukowych, powiastek i najrozmaitszych opowiadań, które wszystkie skrzętnie ze wszystkich możliwych dzieł "Gazeta Polska" pozbierała i w całość ułożyła. Wszystkie te artykuły są dlatego praktyczne dla każdego, bo z nich dopiero przekonuje się czytelnik, że inaczej trochę jest na świecie, jak niejeden mówi i dużo kłamstwa i humbugu ludzie nieczytający książek szerzą pomiędzy ludźmi takimi, którzy już to z braku pilności lub z innego jakiego powodu nie starają się oświecać czytając tak pożyteczne książki, jakie tu wymieniamy. Dzieło to odznacza się przedewszystkiem dobrym polskim językiem i przystosowane jest do rozumu każdego czytającego, chociażby zaczynał dopiero uczyć się czytać, każdy bowiem ustęp jest tak obrobiony przystępnie, że nie sprawia wcale żadnej trudności w zrozumieniu go. Zbiorowe to dzieło traktuje przedewszystkiem o rozmaitych krajach i ich zwyczajach, opisuje różne dzikie plemiona w Afryce południowej i Ameryce żyjące, dalej o praktycznych sposobach i radach tyczących się hodowli, zdrowia i hygieny. Wspomina o rozmaitych pomnikach sławnych i wielkich mężów w dziejach historyi świata, dalej o rewolucyach i wywrotach społecznych, słowem jest to skarbiec, który będzie waszym dobrym informatorem codziennym. W mocnej oprawie ze złoconym tytulikiem. Cena .... ..$1:50 W mocnej oprawie ze złoconym tytulikiem $1.50

DYNIEWICZA PIERWSZA CZYTANKA dla szkół polskich w Ameryce Północnej; najnowsze wydanie o 123 stronach. Czytanka ta dla młodego rozumu dziecięcia ułożona, jest dlatego szczególnie praktyczną, gdyż w zestawieniu treści uwzględnia postępowy rozwój poznania dziecięcego, w odniesieniu, o ile możności, do środowiska, w którem dziatwa nasza żyje, a dwie te główne niniejszej książki zasady powinny dziatwie i naukę uprzystępnić i samą książkę uczynić miłą. Cena 25c

DYNIEWICZA DRUGA CZYTANKA, dla szkół polskich w Stanach Zjednoczonych, najnowsze wydanie, stron 192. — Liczne i nowe ilustracye zdobią i uprzystępniają treść tej Czytanki, — a w doborze materyału postarano się o przystępne a postępowe podawanie dziatwie wiadomości i objaśnień, dotyczących najważniejszych zjawisk i spraw życia codziennego; również baczną uwagę zwrócono na dobór opowiadań, powiastek i wierszyków, z których podano bardzo wiele zupełnie nowych i posiadających pewną ważną wartość dla dziecka każdego, gdyż są wyjęte z dzieł naszych pisarzy i poetów. Cena 30c.

DYNIEWICZA TRZECIA CZYTANKA dla szkół polskich w Stanach Zjednoczonych; najnowsze wydanie o 352 stronach. — Nowością zupełną w tej Czytance są systematycznie a przystępnie ułożone wiadomości o najważniejszych przedstawicielach polskiego piśmiennictwa, dalej ustępy o ważniejszych sprawach polskich w Ameryce, oraz cały szereg ustępów o zdobyczach ostatnich na polu technicznem, — w omawianiu zaś tych wszystkich rzeczy dołożono jak największej staranności, aby przystosować podanie do umysłu naszego, tutejszego dziecka, a więc opisywano i omawiano to przedewszystkiem, co ono w tutejszem otoczeniu widzi i tak jak widzi. Dopełniają i urozmaicają całość ilustracye, nowe i zajmujące. Cena .... 40c.

DYNIEWICZA NAJNOWSZY I NAJPRAKTYCZNIEJSZY LISTOWNIK POLSKO-ANGIELSKI, czyli Podręcznik, nietylko do pisania listów w obydwu językach, niezbędnych w życiu codziennem, ale i do użytku w sprawach handlowych, przemysłowych itp. — ZWRACAMY uwagę, że podobnej książki żadne polskie wydawnictwo w Stanach Zjednoczonych jeszcze nie wydało. — Książka ta o kilkuset stronicach ma niezmierną wartość dla naszego ludu, który przybył ze Starego Kraju i ma zamiar czy to na krótki czas czy na zawsze tu się osiedlić, nie znając zaś lub mało rozumiejąc język angielski, tak prawie konieczny w tym kraju, mogą łatwo na podstawie takiego listownika załatwiać wszystkie swoje sprawy codzienne i nie potrzebują płacić za układanie listów nieraz nawet bajeczne ceny. W tym Listowniku znajdziesz wszystko, co ci potrzeba w życiu codziennem. Znajdziesz listy o małżeństwie, miłości po polsku i zaraz to samo po angielsku— dalej listy do rodziców, opiekunów, pomiędzy narzeczonymi, przy zerwaniu miłosnych stosunków, listy potrzebne w stosunkach towarzyskich, jak chrzciny, wesela, pogrzeby, dalej listy o pożyczkę, o polecenie komuś, o pracę i posadę, wszystko po polsku i to samo po angielsku. Gdy posiadasz jakiś biznes, na podstawie tego podręcznika możesz załatwiać bez niczyjej pomocy sprawy handlowe, zamówić towar, odesłać towar wraz z listem itp. Znajdziesz tam formy listów do prezydenta Stanów Zjednoczonych i innych wysoce postawionych urzędników; przepisy pocztowe i inne reguły, tyczące się przesyłek. Potrzeba również każdemu wiedzieć, jak się układa listy na zaproszenia i uroczystości familijne, w jaki sposób należy ułożyć telegram z życzeniami na Sejmy, jak Związku, Zjednoczenia na sejmy Sokołów itp. Sprawy prawne są tam również podane, jak kontrakty i rozmaite dokumenty urzędowe. Każdy list jest po polsku i ten sam po angielsku. Zawiera przeszło 270 stron, kosztuje w trwałej oprawie tylko .... $1.00 W miękkiej oprawie .... 75c.

DZIEWIĘĆ PIĘKNYCH PIEŚNI POLSKICH, które każdy dobry chrześcijanin katolik i katoliczka znać na pamięć powinni. 1. Litania o śmierć szczęśliwą; 2. Siedm zamków przy konających; 3. Pieśń o Boskiej Opatrzności; 4. Pieśń o Ogrodzie Oliwnym; 5. Pieśń o Polskiej Koronie; 6. Pieśń o koronce Najśw. Maryi Panny; 7. Boże coś Polskę; 8. Pieśń o Najśw. Maryi Kalwaryjskiej i 9. Pieśń Kalwaryjska. Cena .... 10c.

DZIKA FRANKA. Napisała Marya Bogusławska. Dzika Franka, to biedne drobne, ogorzałe, o kręconych czarnych włosach dziewczę, które wolało zaprzyjaźnić z psem, niż żyć pomiędzy ludźmi. Obal, pies lubił nad życie Franię a Frania jego — biedny los tej sieroty. Oprócz tego w tej książeczce znajdzie się artykuły: Jedyny wróg. Kto ma serce, to siły znajdzie. Co Pietrek i Walek upolowali na pierwszem polowaniu. Cena .... 15ct.

DZIWNE PODRÓŻE NA LĄDZIE I NA MORZU, wyprawy i wesołe przygody łgacza nad łgaczami pana Klamkiewicza, jak sam był zwykł opowiadać przy butelce wina w gronie przyjaciół i znajomych. Opowiadania te więcej są śmieszne, niż żartobliwe, pozna bowiem czytelnik, że jednak jest to pewna sztuka w ten sposób opowiadać komuś baje, których nigdy nie było i są niemożebne. Cena .... 10c.

DZIESIĘĆ MILIONÓW DOLARÓW. Bardzo ciekawa nowela, przełożona z węgierskiego przez Maurycego Jokaja. Historya jest nadzwyczaj zajmująca a zarazem wyświetlająca namiętność ludzi największą, jaka jest miłość — chociaż w ścisłem słowa znaczeniu nie należałoby miłość nazywać namiętnością, dopóki ona jest trzymana w granicach rozumu. Ale, skoro tylko miłość stanie się namiętnością, wtedy człowiek pozbawia się dobrowolnie rozumu — jak mamy właśnie w tej historyi przykład na kapitanie Robertsie, który zapałał szaloną miłością do Donny Teresy, a która dopóty nie chciała mu oddać ręki swej, dopóki nie zdobędzie się na opolety admiralskie lub 10 milionów dolarów. Ach, jak on te dolary otrzymał..... Cena .... 15c.

ELEMENTARZ MAŁY, czyli pierwsza nauka czytania, pisania i rachowania przez W. Dyniewicza, w mocnej oprawie .... 10c.

ELEMENTARZ OBRAZKOWY, czyli pierwsze zasady pisania, czytania zastosowany do szkół polskich w Stanach Zjednoczonych. Książka ta jest drukowana na pięknym papierze o 84 stronach, ozdobiona wieloma rycinami, oprawna mocno w płótno .. 20c.

ELEMENTARZ POLSKI, czyli Nauka Czytania, Pisania i Rachowania z nauką pisowni i Gramatyki przez W. Dyniewicza, w mocnej oprawie . 25c.

EUSTACHYUSZ. Powieść z pierwszych wieków chrześcijaństwa przez tłumacza Genowefy i Koszyka Kwiatów. Powieść ta, prócz niektórych upiększeń co do istoty rzeczy, prawdziwa, niezaprzeczonym jest dowodem, iż Ten, który nami rządzi, czuwa zawsze nad tymi, co w Nim pokładają ufność. Smutne koleje, jakiemi Pan Bóg Eustachyusza z małżonką i z dziećmi jego prowadził, przypomną każdemu czytającemu tę powieść, niezliczone dobrodziejstwa Boga, któremi On opsypuje ludzi, choć tak na nie oziębłymi się okazują i prawie, że ich odpychają. Bardzo wielką ma wartość ta książeczka dla każdego chrześcijanina. Cena .. 30c.

FABIOLA, prześliczna powieść z czasów prześladowania Chrzecijan w roku 302. Napisał Kardynał Wiseman. Jest to powieść obszerna o 400 przeszło stronicach a traktująca o prześladowaniu i męczeniu żywcem pierwszych chrześcijan w państwie zwłaszcza Rzymskiem. Przypatrzyć się tylko w myśli tym strasznym wypadkom jakich dopuszczali się ówcześni mocarze na biednych chrześcijanach, to zgroza przejmuje człowieka i mimowoli przyjdzie każdemu na myśl, że człowiek bez religii, bez cywilizacyi, to tylko zwierzę, mające tylko jedną różnicę, że nie jest zwierzęciem, pozbawionym rozumu. Przekona się tu również czytelnik, że wszyscy ci, którzy są najzacieklejszymi przeciwnikami katolicyzmu, ci po pewnym czasie, przyjmują tę wiarę, na którą wyrzekali. Tak samo się miało i w dawnych czasach Fabiola, nazwa Afrykanki, odirzeconej i nawróconej do kościoła katolickiego. Cena .... 50c. W mocnej oprawie ze złoconym tytulikiem .... 75c.

GAWĘDZIARZ. Zbiór gawęd, wesołych i ciekawych opowiadań, powiastek, dykteryjek, żartów i figlów, zebrał z rozmaitych dzieł Wł. Dyniewicz. Tylko sobie przypomnij bracie te czasy, kiedy to nieraz prosiłeś swoją matkę lub ojca i dziadka, aby ci coś ciekawegoł opowiedzieli, jak to zajęty słuchałeś i nie chciałeś nawet iść spać, dopóki sen nie zmorzył cię i nie zamknął twych powiek. Takie te właśnie powieści, dykteryjki, figle, znajdziesz w tej książce a sam i twoje dzieci rozweselą się. Nic nie masz tu takiego, czegoby dzieci nie mogły czytać — lepiej jest, by twoje dziecko wzięło taką książkę do ręki, niż aby oddawało się takim zabawom które szkodzą i duszy i ciału. Książka ta jest dość wielka, zawiera do 350 stron, a dlatego tylko jest zajmująca i dla starych i dzieci, bo zawiera nie wielkie powiastki, które oddzielnie i niezalżne są od siebie. Cena .... 50c. W twardej oprawie .... 75c.

GEOGRAFIA OGÓLNA. Nauka ta o pojedyńczych częściach świata całego jest ważną dla każdego z nas. Książka niniejsza napisana dla Polaków-Amerykanów w kształcie pytań i odpowiedzi, mniej więcej w formie katechizmowej, jest przystępna dla młodego umysłu i dla takich, którzy tej nauki nie znają jeszcze. Najobszerniej uwzględniona tu jest geografia Stanów Zjednoczonych, jako druga przybrana nasza Ojczyzna i geografia Polski w dawnych granicach. Prześlicznie i zajmująco jest ilustrowana, a napisana właśnie w kształcie odpowiedzi i pytań, służy przeto do rozbudzenia samodzielności w uczniu i zaostrzenia w nim władzy obserwacyi, które są właściwym celem każdej nauki. Ułożył profesor Ign. Machnikowski. Cena . 60c.

GIERMEK KSIĄŻĘCY. Prześliczna powieść historyczna z XIII wieku za czasów Leszka Białego. Jest to powieść, osnuta na tle prawdziwych wypadków w Polsce za Leszka Białego. Te straszne i uciążliwe walki, jakie musieli ustawicznie prowadzić nasi książęta z ościennymi narodami, każdego czytelnika zajmą i umilą chwile, zwłaszcza, gdy opowiadania te dają rezultat pomyślny dla naszego kraju i kiedy nasi książęta po wielkich trudach i wysiłkach zdołali wreszcie pomścić swych krzywd na nieprzyjaciołach Polski, zwłaszcza na Niemcach. Wśród tych prawdziwych zdarzeń, przebija tu także stosunek miłosny Gosława, giermka książęcego do Świętochny, z otoczenia żony Leszka Białego. .... 75c. W mocnej oprawie ze złoconym tytulikiem $1.00

(Ciąg dalszy nastąpi).

Adresować należy:

W. DYNIEWICZ PUB. CO.
1163 Milwaukee ave.,
Chicago, Ill.

HUMORYSTYKA.

Z rozmów potocznych.



— Nie uwierzy pan, jak moja córka kocha namiętnie fortepian.

— A więc dlaczego tak niemiłosiernie po nim grzmoci.

Nasze dzieci.



— Kup mi trąbkę, tatusiu, na gwiazdkę — prosi sześcioletni malec.

— Ależ, moje dziecko, będziesz mi w pracy przeszkadzał.

— Nie tatusiu, będę trąbił tylko wtedy, kiedy tatuś zaśnie.

Dosłużył się.

Bankier X. oprowadza po biurze swojem kolegę swego Y., przybyłego z zagranicy. Chcąc się pochwalić przed gościem, jak to on wynagradza pracowników, każe wołać swego prokurenta.

— Słuchaj Moryc, powiedz, jak dawno jesteś u mnie?

— 20 lat-

— A wiele ty miałeś z początku?

— Wiele miałem mieć? ja miałem 10 guldenów.

— A co ty teraz masz?

— Teraz? Teraz to ja mam hemoroidy i suchoty!

Podejrzliwy.



Ona. Chodź mężulku, dam ci całusa.

On. Pokaż wprzód obie ręce.

Ona. A to na co?

On. Mogłabyś mieć jakiś rachunek do zapłacenia.

Dziedziczka właściwości.

Żona: — Ciekawam bardzo, co powiedziała na to Ewa, gdy tak nagle wypędzono ją z raju.

Mąż: — Łatwo zgadnąć: Powiedziała to, co wszystkie odtąd za nią przed każdą podróżą powtarzają: Nie mam co na siebie włożyć!

Za głupia.



— Powiedz mi Maryniu dlaczego nie wychodzisz za mąż?

— Ojciec twierdzi, żem na to jeszcze za głupia.

— Jeszcze czego! Głupota nie stanowi przeszkody małżeństwa.

Jak lepiej.

— Powiedz mi ojcze, jak lepiej: zostać starym kawalerem, czy też ożenić się?

— Stanowczo lepiej się ożenić. Widzisz moje dziecko, staremu kawalerowi jest wszędzie na świecie źle, a człowiek żonaty tylko w domu wytrzymać nie może.

Na jarmarku.

— Żydzie! mnie się cosik zdaje,
Że ty łokieć masz krótkawy!
— Ny, co to gosposia baje,
Mój łokieć jest całkiem prawy!
Nu choć może trochę krótszy
Ale za to dużo grubszy,
A to na jedno wychodzi
I nikomu nie zaszkodzi.

W roku 1925.

Na rogu ulicy stoi jakiś przybyły z prowincyi jegomość i ogląda się bezradnie. Od strony lewej pędzą trzy automobile od prawej omnibus elektryczny i wagon tramwajowy...

Brr! Spogląda w niebo, nad sobą widzi opuszczający się ku ziemi aeroplan... Gdzie się ma ukryć?!... W tem ujrzał klapę, zamykającą otwór prowadzący do kanału. Podnosi ją silnym ruchem i tutaj szuka ratunku... Niestety pomylił się... Był to wentyl kolei podziemnej, której pociąg nadjechał w tej chwili w szalonym pędzie i zmiażdżył go kompletnie!

Chrypka swatem.



— Jak dawno pragnąłem oświadczyć się pani, ale nigdy nie mogłem przyjść do słowa. Teraz więc kiedy pani ma tak silną chrypkę, że formalnie mówić nie może, korzystam ze sposobności i proszę o rękę.

Znak oczywisty.



— Gdyby tatuś nie był wszedł tak raptownie do pokoju, w którym rozmawiał ze mną pan Władysław, byłby mi się on niezawodnie oświadczył.

— Tak? A poczem to poznałaś moja Helenko?

— Po czem? Bo po godzinnem milczeniu zaczął kaszleć i chrząkać, a potem przez kwadrans czasu czyścił skórką irchową swoje okulary.

Dokładnie określił.



— Kiedyś się urodził?

— Nie wiem dokładnie, panie sędzio. To musiało być mniej więcej przed 20 do 30 laty, kiedy jeszcze nieboszczka moja matka żyła.

Wielkie święto.



— Cóż to, Jasiu, dziś tak wcześnie powróciłeś ze szkoły?

— U nas dziś wielkie święto.

— Jakie?

— Pan profesor umarł.

Z jednego źródła.

— To syn pani dobrodziejki ożenił się z córką tego kupca korzennego naprzeciwko?

— Tak... My wogóle wszystko od niego bierzemy.

Nie kijem ale pałką.



Matka: — A co, nie mówiłam, że będziesz się ciągle kłóciła z mężem.

Córka: — Wcale się z nim nie kłócę. Już od dwóch tygodni słowa do niego nie powiedziałam!

Biedny Abraham.



Umarła zła żona, przyjaciel pocieszą męża i mówi:

— Ona już na łonie Abrahama.

A mąż: — Żal mi Abrahama, bo przy pierwszej sprzeczce oczy mu wydrapie.

Ze zębologii.

— Prawda, że panna Elżbieta ma zęby jak perły?

— Wolałbym jednak, ażeby te perły nie były oprawne w złoto.

Jak się zabrał do czytania?

Po morzu płynął okręt, ścigany przez głodnego wieloryba. Okręt uciekał... Wieloryb go gonił... Dokoła pląsały na falach ryby żarłoczne, oczekując swojej cząstki żeru. A i skrzydlate drapieżniki towarzyszyły okrętowi, który miał zginąć w wnętrznościach wieloryba.

W chwili najgroźniejszego niebezpieczeństwa sternik, porwawszy ulubiony swój stołek, rzucił go w paszczę żarłocznej rybie.

Lecz potwór, zręcznie połknąwszy stołek, płynął dalej.

Wówczas rzucono mu kosz pomarańcz, ale i te spotkał los podobny. Wyrzucono następnie po kolei na pastwę żarłocznego stworzenia: Chińczyka o długim warkoczu, niemieckiego kupca podróżującego, włoskiego śpiewaka, Pawełka z Chicago, który chciał powrócić do Polski i żydka z Rosyi.

Wieloryb nie strawił jednak Pawełka i zdechł. Na okręcie zapanowała radość wielka. Dowleczono nieboszczyka żelaznymi hakami do brzegu, a gdy rozpłatano go na poły, oczom obecnych przedstawił się następujący widok:

Żydek siedział na sternikowym stołku i sprzedawał pomarańcze.

Niemiec chodził niespokojnie i kurząc fajkę, szukał oczyma, czy nie znajdzie beczki z piwem.

A nasz Pawełek z nad Wisły wyjął z kieszeni Gazetę Polską, którą zabrał ze sobą na drogę i tak się zaczytał, że ujrzawszy znowu światło dzienne, zawołał niezadowolony:

— Już!... jaka szkoda! Człowiek nie miał z kim pogadać po swojemu, to aby raz zakosztował prawdziwie, jak to czytanie smakuje!

I od tej pory nie opuścił więcej Gazety Polsk., chociaż był za morzem.

Młody.

— Pan hrabia niezawodnie wcześnie się ożenił?

— A tak, miałem wówczas dopiero dwadzieścia tysięcy długu!

Sen Sprawiedliwych.

Humoreska.

Udało mi się raz wyjednać uwolnienie oskarżonego w wyjątkowych okolicznościach. Wszyscy twierdzą, że niema złych ani dobrych spraw: bywają tylko dobrzy lub źli obrońcy. My adwokaci, przez przyzwyczajenie, czasem przez wyrachowanie, powtarzamy za ogółem, że wygrywamy lub przegrywamy sprawy; zaszczyt wygranej przypisujemy sobie, a porażkę jakiejś pomyłce sądowej lub fatalności losu. Ale ja to moje zwycięstwo zawdzięczam tylko własnej wymowie. Sam się zdumiałem i przyznaję, że wygrana przypadła mi w sposób zupełnie niezwykły.

Sąd odbywał ostatnie już posiedzenie przed wakacyami. Lato było niesłychanie upalne, skwarne. Kto siadał, oblewał się natychmiast potem. Tak siedziałem, niby w łaźni, na ławie obrońców, osłabiony i osłupiały. Ale co będzie za chwilę, gdy się podniosę do wygłoszenia obrony, czy nie roztopię się przedtem.

Broniłem jakiegoś Włocha nazwiskiem Sapristini, oskarżonego nie bez słusznych powodów o przekroczenie rozporządzenia władzy, skazującego go na wydalenie z granic Francyi. Skazano go zaś na to za kontrabandę i inne niepiękne sprawki.

Pomyślną jednak dla niego okoliczność sprawiło to, że władze wojskowe reklamowały go jako obywatela rzeczypospolitej, by go zaciągnąć do szeregów armii. Należał on do tych kategoryi ludzi, których stan cywilny jest bardzo niewyraźny, a ciągłe zmiany pobytu [illegible] obu sąsiednim krajom prawo do reklamowania takich osobników, gdy mogą im na coś się przydać i do wydalania, jeżeli coś przeskrobią, lub obciążają gminę.

Niewielką miałem nadzieję, co do wyroku sądu, ale był materyał do obrony, a to najgłówniejsze. Subtelności prawa międzynarodowego postanowiłem wyzyskać starannie na korzyść Sapristiniego.

Sprawa mojego klienta przypadała na ostatku. Miał więc przyjemność być świadkiem kilku wyroków potępiających, wymierzonym przeciw różnym włóczęgom, złodziejom i paserom, którzy zasiadali kolejno na ławie oskarżonych.

W sali sądowej wszyscy dusili się od gorąca i każdemu pilno było wydostać się na wolność.

Ludzie bez zajęcia w tej porze popołudniowej spijali przez słomkę mrożone napoje na werandach kawiarni. Woźny już zabierał się do wyjścia, gdy przypomniał sobie siedzącego na ławie mojego Włocha.

— A ty tu czego!? O! jeszcze nie zostałeś skazany?

— Cóż znowu? — wykrzyknąłem oburzony.

— Zaczekaj. Zaraz cię wsadzą do ciupy!

I zawołał donośnie:

— Sapristi!

Wszyscy myśleli, że woźny klnie na upał, ale mój klient podniósł się posłusznie z ławy. A sędziowie, którzy już chcieli wychodzić, zagłębili się na nowo w fotelach, a ich zachmurzone miny źle wróżyły oskarżonemu. Odwróciłem się, rozglądając się po sali. Ostatni słuchacze co do jednego wynosili się leniwym krokiem. Mieli już tego dosyć.

Nic przykrzejszego nad taki obrót rzeczy dla obrońcy, który przygotował piękną mowę, dobrze obmyślaną, popartą silnymi argumentami i przekonywującą przemowa. Będę mówił przed pustą salą!... Fatalność.

Policzyłem słuchaczów... 3-ch sędziów, zastępca [zastąpiony przez beret, położony na widocznem miejscu na pulpicie], podprokurator, woźny, oskarżony i żandarmi: dwaj uczciwi ojcowie rodzin uzbrojeni w wielkie pałasze. A z tej skromnej liczby słuchaczów musiałem odrazu wyłączyć jeszcze i woźnego, który już przy pierwszych pytaniach zasnął głęboko. Podprokurator zamruczał niedługo i usiadł, oparłszy głowę o rękę, zadrzemnął od razu. Podniosłem się z miejsca natchniony wojowniczym zapałem. Ruchem zamaszystym odsunął szerokie rękawy togi, odsłaniając biel gorsu, bo z powodu gorąca zdjąłem przedtem żakiet. Przedemną piętrzył się stos notatek, zawierających materyał obrony i kilka grubszych ksiąg porozkładanych szeroko. Prezes wskazał na mię palcem.

— Panie! czy te wszystkie papiery i księgi stosują się do jednej sprawy?

— Rozumie się, panie prezesie!

— I masz pan zamiar zużytkować je w obronie?

— Naturalnie panie prezesie!

— Hm! doprze, dobrze!

Przechylił się w tył z miną zrezygnowaną a ja zacząłem mówić. Zaledwie przystąpiłem do obrony, po krótkiem streszczeniu istoty sprawy spostrzegłem, że głowa prezesa spadła na piersi. Dźwignął ją jeszcze dwa czy trzy razy ruchem coraz wyraźniejszym, ale w końcu nie mogąc już jej podnieść, złożył wygodnie na rękach skrzyżowanych prosto na czole.

Czemuż nie uczynił tak, jak pewien jego kolega, który dbając o zachowanie godności śpiącego sędziego, kazał wymalować na szkłach swych okularów parę groźnych szeroko otwartych źrenic. A tymczasem tu miałem przed sobą zamknięte powieki.

Wlepiłem wzrok w assesora sądu, siedzącego z prawej strony i zasypywałem go gradem argumentów, ażeby go utrzymać w stanie słuchania. Mrugał ciągle, to prawem to lewem okiem kolejno, jakby się wprawiał w celowanie pistoletu. Ale zawsze miał jedno oko zamknięte i nie mogłem nigdy spotkać się ze spojrzeniem obu źrenic jednocześnie. Lewe oko przygasło pierwsze, następnie prawe, rzuciwszy kilka błyskawic — przestało się otwierać. Ale za to usta rozwarły się szeroko.

Przestałem mówić, ponieważ sąd składał się tylko z jednego członka. Ale prezes ocknął się obudzony nagłą ciszą i podniósłszy jedną rękę, zakołysał nią w moją stronę, wzywając do dalszej mowy.

Mówiłem więc dla trzeciego z sędziów. Ten trzeci znany był z uprzejmości charakteru. Nie przeczył nigdy nikomu, a zgadzał się zawsze ze zdaniem większości. Zdarzało się nawet często, prezes wprost nie pytał go o zdanie i sędzia dowiadywał się razem z publicznością o treści wyroków, ale zajmował się gorliwie redagowaniem motywów. Ten trzeci przez samo poszanowanie zdania większości, musiał także zasnąć. I zasnął.

Zwróciłem się tedy do moich ostatnich słuchaczów. Obaj żandarmi, odpoczywali sumiennie. Nawet we śnie zachowywali postawy i miny wojskowe, co wprowadziło mnie w błąd na jedno mgnienie, ale musiałem się wkrótce poddać wobec rzeczywistości. Ilekroć na chwilę znużenie wstrzymywało potok mej wymowy, ręka prezesa okrągłym ruchem przywoływała mnie do porządku, przypominając mi obowiązek. I tak, dzięki mnie, przybytek sprawiedliwości zamienił się w pałac śpiącej królewny.

Jeden tylko Sapristini nie poddawał się ogólnej zmorze. Nic też dziwnego, chodziło tu o jego winę. On więc był wiernym słuchaczem, nawet zachęcał mnie i on także, bym mówił dalej.

Zrozumiałem wkrótce dlaczego. Bo pokazał mi nagle kajdanki które zdjął z rąk ze zwinnością sztukmistrza. Włożył je ostrożnie do kieszeni, przyjrzał się swoim zacnym strażnikom, nadstawił bacznie ucha, łowiąc ich regularne oddechy, a potem wysunąwszy się z ławki kilkoma ruchami, doszedł do drzwi sali i umknął.

Nie wypadało mi go zdradzić. Mogłem tego nie widzieć, a zresztą nie skończyłem jeszcze mojej obrony i mówiłem dalej:

"Bluentschli i Maurycy Block panowie sędziowie, wyraźnie tu dowodzą...."

Ale coś tknęło jednego z żandarmów. Obudził się i spostrzegł przerażony zniknęcie oskarżonego. Zbudził kolegę.

— Co takiego — zapytał tamten.

A prezes nie podnosząc głowy, zamruczał:

— Co się stało?

Ruchy żandarmów są głośniejsze od głosu adwokata. Zrobiło się wnet wielkie zamieszanie. Ludzie zbrojni wybiegli z sali. Zastraszony woźny pobiegł po pomoc. Sędziowie zaczęli się irytować. Podprokurator uśmiechnął się drwiąco. Sam tylko prezes dobrze wypoczęty zachował spokój.

Czekano cierpliwie na wynik pogoni. Pościg okazał się daremny. Żandarmi wrócili zmięszani. Sapristini w pantoflach więziennych biegł prędzej, niż oni w ciężkich butach z ostrogami. Obaj ci szczigodni ojcowie rodzin czuli się głęboko zawstydzeni. Spadała na nich ciężka odpowiedzialność którą miał z nimi podzielić sąd i urząd prokuratora.

Prezes potoczył wzrokiem po swoich współwinowajcach, uśmiechnął się z ich nosów spuszczonych na kwintę i nie odwołując się nawet do asesorów, wyrzekł spokojnie i obojętnie:

"Sąd, zważywszy, że oskarżenie nie jest dostatecznie ugruntowane... i dowiedzione... uzasadnione, uwalnia od odpowiedzialności oskarżonego Sapristiniego i nakazuje natychmiastowe wypuszczenie go na wolność.

W taki sposób klient mój został uniewinniony według wszelkich form prawnych. Zaiste i ja i upał przyczyniliśmy się do tego.

MROZ.

Wiejska humoreska.

Podpił se Walenty gorzałki w Leżajsku, łyknął jej nawet dwa litry po prawdzie powiedziawszy — i teraz wraca na wieś do domu.

Śnieg skrzypi mu pod butami, bo mróz coraz tęższy bierze pod wieczór.

Zrazu, póki szedł przedmieściem, nie czuł w sobie wszystkiego trunku — trzymał się jeszcze jako tako.

Lecz zaraz, gdy go owiała świeżość od pól, kiedy wiatr z mrozem jęły go szczypać w uszy i w nos — i głowa kręci mu się i nogi plączą, jakby nie jego, tak, że trudno utrzymać mu się na ścieżce wydeptanej gościńcem — trudno nie wpaść do rowu...

Ale tęga głowa u Walentego mądra, bywała głowa, bo chłopisko wciąż mruczy sobie pod nosem obmarzłemi wąsami:

— Wara ci upaść chłopie! wara! bo śmierć niechybna, kiejbyś się położył. I to żeby jeszcze za co — ale tfu! bez ten proces i bez hadwokata!... Zdarł ci mnie mój, ale i Macieja też... cały ten gront po sprawiedliwości nie warta i sto papierków, a kosztuje mnie syćko już trzy setki... a i Macieja też. Ale, że mu nie dom, to nie dom... niechta kośtuje jeszcze i drugich trzy... a i Maćka też... a nie dom!... Wara ci chłopie upaść! wara! Bo śmierć niechybna! — wbija sobie gwałtem w pijaną głowę Walenty, usiłując wytrzeźwić się własnym głosem, mieszającym się ze skrzypieniem butów, po coraz to silniej marznącym śniegu na gościńcu.

Mój ojciec go orał — wraca chłop uporczywiej do nurtującej go myśli — i dziad orał... i orali my z dawniejszej dawności i siali też... a Maciejowi jest zasie do niego. Pili my dziś z Maciejem, bo to jest prawda i nie grzech. Postawił on, stawiłem i ja. Częstunek częstunkiem: a prawo prawem. Obu nas zdarły hadwokaty, czemu nie mamy se popić... a że gront mój, to mój, bo taki hadwokat mój będzie lepszy od tamtego, to jak mu pedział, "parcela przychodzi Walentemu niby jamen w pacierzu" — to tamten drugi jak stanął fizykiem, tak ledwo się opamiętał, choć mu ta prawda w końcu odszczeknął: "W pacierzu jamen będzie, a parcela przychodzi na Macieja!" Na Macieja? Niedoczekanie niczyje... i choćbym miał jeszcze drugich trzy stówek i prosiaki i cieliczkę i krowę i...

— Wara ci upaść, kiejś se podpił, wara zasnąć, bo śmierć niechybna! — powtarza sobie coraz głośniej chłop, gdy tak już się kiwa, że zda się, że lada chwila upadnie na ziemię i zaśnie może na wieki.

— Wara! wara — ostatkiem przytomności w pijaną głowę wbija sobie przez biodra, w które raz po raz uderza rękoma odzianymi w grube, sukienne rękawice.

Zaszło już słońce — z każdą chwilą zmaga się mróz... W ostatnim krwawym blasku zorzy przeciągają na noc stada wron gawronów. Milczą, ciągną ponure, ciche, jakby leciały w jakąś zagadkową dolę niepewną, jak gdyby lękały się zakrakać, załopotać nawet głośniej skrzydłami, aby nie obudzić, nie wywołać czegoś groźnego, czającego się w szklanem przestworzu.

Tak cicho jest, iż słychać sypki, dźwięczny szelest igiełek szronowych, opadających na ziemię. A w ciszy tej mróz bierze coraz tęższy. Stężałym zda się powietrzem napływa z północy, ze wschodu — z ziemi wydobywa się, z lodowej powłoki, którą lśni łąka zakrzepła wzdłuż brzegów rozlanej rzeczułki.

Właśnie do łąki tej dochodzi Walenty. Zamglonym wzrokiem popatrzył na obszar bijący z nod strugi, na mgły skłębione cicno w przedwieczornych półświatkach.

Instynktowo maca się chłop za uszy — dotyka nosa. Bo oto w tej chwili przypomniał sobie zamroczonym mózgiem, jak w dzieciństwie opowiadała mu matka, że w ostre dni zimowe wyłazi z pod lodu rzeki "mróz trzaskający z okropnie wielgimi szklanymi oczyma" — i po ziemi rozchodzi się het, het, het, aż po krajach dalekich.

Przypomina sobie, jak matka mówiła mu, iż mróz nie cierpi pijaków, że gdy spotka którego na drodze, to owija go lodowatem ciałem i ściska, dopóki nie udusi na śmierć. A tu jak na złość widzi przecież, iż biała, oszroniona postać wywija się z mgieł oparzeliska — i płynie cicho nad łąkę, ku gościńcowi. Tak! tak! Coraz wyraźniej dostrzega lodowate widmo, jego ogromne, szklane, świecące ślepia, jego ręce długie, cienkie, podobne zwieszającym się soplom lodowym.

Ot i stanęło przy gościńcu i oczyskami strasznemi wpatruje się w niego, Walentego, jakby wiedziało dobrze, że się napił jak gdyby...

Niby czarne, złowróżbe upiory ciągną nad głową chłopa gdzieś ku lasom gawrony — a on przestępuje z nogi na nogę i kroku naprzód postąpić nie śmie bo widzi wyraźnie, jak mróz trzaskający, z okropnie wielgiemi szklanemi oczyma — z każdą chwilą przybliża się i ręce wyciąga do niego — długie, cienkie podobne do zwisających sopli lodowych.

Z nogi na nogę przestępuje chłopisko, bo naprzód... Nie! Za nic w świecie!... A tu nogi dygocą się pod nim, trzęsą się — chwieją... Tfu! Ze strachu? Z pijaństwa? Może i z pijaństwa, bo morzy go jakoś... Pomimo lęku śmiertelnego przed widmem, pomimo wszystkiego, tak chętnie położyłby się na gościńcu i usnął, choćby na chwilkę...

Ostatkiem przytomności broni się od tej myśli.

— Nie wolno! Nie wolno ci upaść, chłopie! bo śmierć, śmierć niechybna — bełkoce sinymi od mrozu wargami.

— Nie wolno! — zdaje się przywoływać go do przytomności huk pękającego lodu raz po raz na rzece. Ale i naprzód nie ruszy się za nic w świecie, bo i tam śmierć pewna — jeszcze może pewniesza... Tak... Najwyraźniej szkli się ona w świecących, potwórnie wytrzeszczonych ślepiach poczwary, najwyraźniej chrzęści w jej rękach, podobnych piszczelom lodowych sopli!...

A ręce te coraz bliżej już chłopa — coraz bliżej.

— Ej! Chyba taki legnie tu na drodze, przymruży chyba oczy, by nie widzieć choć przez chwilę tej strasznej potwory... Już, już ma się położyć na śnieg, gdy coś czarnego, miękkiego pada tuż przed nim. Cofnął się zrazu — ale potem odruchowo schyla się, maca. To gawron zimny zupełnie — widocznie lecąc stężał od mrozu. Tak! tak! Wszystko, co tylko żyje, musi stężeć, bo mróz coraz mocniej i mocniej naciska. Pewnikiem i jego zamrozi, jego, Walentego... Przecież go już dotyka zmarzłymi rękoma — wpół go bierze, ściska, dławi za szyję... Nie ujrzy już żony, dzieci, nic...

— Jezus Marya! — zachrypiał nagle chłopisko i jakby ostatnim wysiłkiem odstąpił o kilka kroków. Z wściekłością, która nie ma nic do stracenia, której już wszystko jedno, popatrzał w oczy widma. A one jeszcze teraz większe mu się wydają i czerwieńsze, jakby krwią osłonięte — a takie okropne, okropne...

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! Albo tobie śmierć, albo mnie, psia ty paro zatracona! — ryknął Walenty i całą siłą, rękoma naprzód, rzucił się ku ślepiom widma.

Lecz ślepia owe, były to okienka jego własnej chaty, w której Walentowa gotowała wieczerzę — a teraz przerażona brzękiem stłuczonych szybek, wybiegła z warzechą przed dom.

Naprzeciw wystraszonej kobiecie — bełkocząc coś niewyraźnie, stał wytrzeźwiony już prawie zupełnie Walenty.